OTA PAVEL

WYDAWNICTWO STARA SZKOŁA

Śmierć pięknych saren

OTA PAVEL

Śmierć pięknych saren

Przełożył
Mirosław Śmigielski

WYDAWNICTWO
STARA
SZKOŁA

Mamie, która miała za męża mojego tatę

Najdroższa w Europie Środkowej

Przed wojną moja mama bardzo pragnęła pojechać do Włoch. Nawet nie po to, żeby na własne oczy zobaczyć rzeźby Michała Anioła i obrazy Leonarda da Vinci. Dużo bardziej marzyła jej się kąpiel w ciepłym morzu. Mama bowiem pochodziła z Drzynia pod Kladnem, a tam był tylko taki biedniutki kaczy staw, pokryty gęstą, zieloną rzęsą wodną, więc w dzieciństwie nie miała możliwości nacieszenia się wodą. Dlatego wiosną zawsze pytała męża:

– Leoszku, pojedziemy w tym roku?

Mój tata Leon zazwyczaj odpowiadał, że akurat w tym roku zbytnio nas na to nie stać, i przekonywał, że nad Berounką pod Krzywoklatem jest dużo lepiej. Bo głowę mojego taty zaprzątały zgoła inne sprawy. Do jego głównych zainteresowań należały handel i ryby. W obu odnosił wyjątkowe sukcesy, lecz rybom zawsze dawał pierwszeństwo, i to zwykle kosztem naszej rodziny oraz szwedzkiej firmy Elektrolux, w której pracował jako obwoźny sprzedawca lodówek i odkurzaczy. Często wręcz ulatniał się z podróży handlowych. Zazwyczaj zaszywał się wtedy nad Berounką i z najlepszym przyjacielem, przewoźnikiem Karolem Proszkiem, łowili szczupaki na okonki.

Szczytowym przejawem taty miłości do ryb była decyzja o zakupieniu dla naszej rodziny stawu wraz z karpiami. Twierdził, że dzięki temu

zyskamy nie tylko własne karpie, ale ponadto zarobimy na nich podczas wyłowu mnóstwo pieniędzy. Mama patrzyła na to przedsięwzięcie sceptycznie i prosiła, żeby tata z niego zrezygnował, bo to nie jego branża. Ale nie protestowała zbyt stanowczo, bo w takich sytuacjach tata zazwyczaj sporo krzyczał, spytała więc tylko, czy za te pieniądze nie powinni raczej pojechać do Włoch. Tata nawet nie odpowiedział, tylko posłał żonie odmowne spojrzenie. Był bowiem przekonany, że zna się na handlu lepiej niż ona i wszyscy jej wierzący krewni razem wzięci. To jego spojrzenie zawierało tysiąclecia mądrości przodków oraz prosty fakt, że przecież za pieniądze zarobione na karpiach pojedziemy do Włoch z całą rodziną, nawet tą dalszą. Muszę dodać, że tego mama obawiała się najbardziej.

A tata poszukiwał stawu. Wyobrażał go sobie z wielkim rozmarzeniem. Staw otoczony pochylonymi wierzbami, na jego powierzchni tu i ówdzie sercowate nenufary z żółtymi kielichami, a w przeszywanej promieniami słońca wodzie karpie wielkie jak cielaki. Tata podążał za tą wizją niczym pszczoła za pyłkiem. Objechał dużą część kraju, ale nigdzie nie znalazł odpowiedniego stawu na sprzedaż.

Dopiero w Kroczehlawach przyszedł do niego znajomy, doktor Wacławik – wysoki, barczysty facet z wąsikiem pod nosem. Pan doktor powiedział tacie, który miał wówczas, Bóg jeden wie z jakiej racji, tytuł inspektora:

– Panie inspektorze, może chciałby pan kupić moje ryby?

W tatę jakby trafił piorun.

– A za ile, panie doktorze?

Pan doktor:

– Dziesięć tysięcy. Przyniosę rachunek, żeby pan zobaczył, ile zapłaciłem kilka lat temu za narybek. Oczywiście od tego czasu karpie znacznie podrosły. Zresztą sam się pan przekona.

A tata na to:

– Panie doktorze, ja panu wierzę.

A pan doktor:

– Chodźmy, przynajmniej pokażę panu te okazy.

A kiedy tak szli, mojego tatę ogarnęła pewność, że to świetny biznes. Dobrze znał to przeczucie, często podpowiadało mu ono, gdzie sprzeda lodówkę, gdzie odkurzacz, a do których drzwi nie warto nawet pukać. Zawsze miał smykałkę do interesów i w tym wybranym stawie i pływających w nim brzuchatych karpiach również węszył duży zysk.

Zatrzymali się na grobli, a doktor Wacławik pozwolił tacie przez chwilę delektować się widokiem. Roztaczał się tam niewielki prostokątny staw. Jasnozielone wierzby na brzegach nurzały gałęzie w spokojnej wodzie, a tu i ówdzie na powierzchni unosiły się żółtokwietne nenufary. Tata westchnął, a jego przyjaciel, doktor Wacławik, oświadczył podniośle:

– A teraz karpie.

Wyjął z kieszeni bułkę. Rozłamał ją i połowę wrzucił do wody. Uśmiechał się przy tym pewny siebie, a tata nie spuszczał bułki z oczu. Nagle woda się rozstąpiła, wyłoniło się duże żółte ciało, a olbrzymia paszcza zrobiła: KŁAP! Bułka zniknęła. Tata jęknął zachwycony:

– Boże święty, on ma przynajmniej z pięć kilo.

A pan doktor odparł znacząco:

– Sześć.

Klamka zapadła. Tata przyjechał do domu po wszystkie nasze oszczędności, a mama mogła się pocieszać tylko tym, że będziemy mieć staw z własnymi karpiami. Jego jedynym minusem była duża odległość od Pragi.

Lecz od tamtej chwili tata często promieniał, uśmiechał się, zapatrzony gdzieś w dal, a mama mawiała wówczas, że on znów jest myślami przy

karpiach w Kroczehlawach.

Mama zawsze miała zrozumienie dla słabostek taty i prowadziła z nim teraz niekończące się rozmowy o tym, jak też te karpie im tam rosną. Tata zacierał ręce i mówił:

– Herminko, fortunę na nich zbijemy. Fortunę!

Nie wiedziałem, co to jest fortuna, ale musiało to być coś pięknego i dużego, bo tata uśmiechał się błogo i głaskał mamę po ręce.

Zbliżała się jesień, a wraz z nią wyłów naszego pierwszego stawu. Wszyscy, choć przede wszystkim oczywiście tata, szykowaliśmy się na ten dzień jak na wielkie święto. Tata wziął wolne w firmie Elektrolux. Pan dyrektor spytał:

– Znów na ryby? Znów na ryby? Kiedyś to pana zgubi, panie inspektorze.

Mama specjalnie na tę okazję kupiła sobie twarzowy płaszcz z kowerkotu. Musiała zaprosić swoich szwagrów robotników, Karola Pokrzywę i Karola Zgrozę. Obaj byli znani z wilczego apetytu. Dostali proste zadanie: mieli pilnować na grobli, żeby nikt nie ukradł wyłowionych karpi. Przyjechali nad staw z rodzinami. Mój tata sprowadził na wyłów zawodowego rybaka, pana Szczygła z Pragi. Przyjechał on z ośmioma mężczyznami, ubranymi od stóp do głów w gumowe kombinezony. Pan Szczygieł, człowiek silny, stary i doświadczony, nade wszystko wielbił porządek. To, co odbyło się na grobli tego idyllicznego stawu z wierzbami i nenufarami, przypominało raczej atak wojskowy na nieznanego wroga niż wyłów. Na grobli stały dwie transportowe pragi S5T, a w ich skrzyniach ładunkowych spoczywały butle z tlenem oraz zbiorniki do przewożenia karpi. Po grobli kroczyli cicho gumowi mężczyźni i rozkładali sieci.

Ze stawu wypływała woda, a tata, przeczuwając znaczny zarobek ze sprzedaży ryb obiecanych już zakładowi przetwórstwa rybnego Vaňha,

hojnie częstował gości.

Na drugie śniadanie podano ciepłe kiełbaski oraz bułki. I dwie skrzynki piwa.

Na obiad udano się do restauracji pana Niejadalnego. Nastroje poprawiały się z każdym kolejnym piwem. Tylko tata nie pił, nigdy nie przepadał za alkoholem.

O trzeciej po południu na grobli zebrał się już tłum gapiów, a w stawie pozostało niewiele wody.

Pan Szczygieł dał sygnał do ataku. Jeden z rybaków zatrąbił na złotej trąbce i zaczęli ciągnąć. Sieć wygięła się w duży łuk. Bojki kołysały się na wodzie niczym kaczki. Pan Szczygieł wydawał rozkazy, a gumowe postaci podobne do marionetek na sznureczkach ruszały rękami tam i z powrotem. Napięcie wśród widzów rosło z każdą chwilą zbliżającą ich do kulminacji.

Łuk z karpiami skurczył się do niewielkiego kręgu. Na powierzchni powinny się w tej chwili ukazać fale i kłębowisko ryb, ale nic takiego się nie stało. Tata, dobrze znający to zjawisko rybackie, zbladł, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

Rybacy zawężali krąg, aż wreszcie bojki ze wszystkich stron połączyły się ze sobą. Sieć najwyraźniej była pusta. Choć nie! Na granicy błota i wody coś pluskało. Pan Szczygieł wprawnie wyłowił zdobycz podbierakiem i podniósł ją wysoko. Karp! I to jaki! Tata go poznał, jęknął, a grobla wybuchnęła gromkim śmiechem. Śmiali się wszyscy oprócz mojej mamy i mojego taty.

Mama przeżywała ten wstyd szczególnie mocno. Wprawdzie długo mieszkała w Drzyniu, ale Kroczehlawy były jej rodzinnym miastem. Przytulała nas do siebie i szeptała:

– Moje biedne dzieci. Gdybyście wiedziały, jakiego macie ojca!

Tymczasem tata zbiegł do stawu, stał nad próbującą zaczerpnąć powietrza rybą i przyglądał się jej, jakby po raz pierwszy w życiu widział karpia. Pan doktor Wacławik nie kłamał, karp ważył dużo więcej niż sześć kilo. Znacznie przytył, od kiedy tata kupił staw.

Tata pognał do willi pana doktora Wacławika z mocnym postanowieniem załatwienia tej sprawy po boksersku, tak jak podpatrzył to u pana Franciszka Nekolnego.

Otworzyła mu służąca.

– Pan doktor wyjechał z jaśnie panią na urlop do Włoch.

– W takim razie pojechali za moje pieniądze. I to do Włoch!

Tego dnia mieliśmy na kolację karpia. Mama naturalnie nie odzywała się do taty, a kiedy on w furii oświadczył: „Skoro za niego zapłaciliśmy, to go sobie zjemy, dzieci", odparła wściekle, że nawet kolega taty, pan Rotszyld, uznałby taką kolację za dość kosztowną. I zapewne miała rację. Prawdopodobnie był to najdroższy karp nie tylko w Czechosłowacji, ale nawet w całej Europie. Łącznie z pieniędzmi wydanymi na wyłów stawu kosztował mojego tatę równe jedenaście i pół tysiąca koron, a za taką kwotę mielibyśmy – jak nie omieszkała zauważyć mama na koniec kolacji – żywe łososie przywiezione z Kanady.

Wtedy złość taty się ulotniła i już nie próbował wyzywać pana Wacławika na pojedynek bokserski.

Minęło wiele lat. Tata sprzedawał lodówki oraz odkurzacze i jeździł na ryby nad Berounkę.

Kiedyś, gdy siedział w swoim biurze przy Konwiktorskiej, ktoś zapukał do drzwi. Tata powiedział: „Proszę!" – i wszedł… pan doktor Wacławik. Tata natychmiast poczerwieniał, chciał się nań rzucić z pięściami, ale potem się uspokoił. Spostrzegł też, że doktor już zgolił wąsik.

Pan doktor świergotał:

– Panie inspektorze, panie inspektorze, jak się pan miewa? Nie widzieliśmy się kopę lat.

Tata chciał powiedzieć, że miewa się świetnie, bo ciągle je te karpie, które sprzedał mu pan doktor, lecz milczał. Coś mu mówiło, żeby poczekać i że najważniejszy moment dopiero nadejdzie. Pan doktor Wacławik wyjawił, że jego żona chciałaby mieć lodówkę.

– Pomyślałem więc o panu, panie inspektorze, bo wiem, że pan najlepiej nam doradzi. Przecież pochodzimy z tych samych okolic.

I uśmiechnął się do taty.

– Oczywiście, panie doktorze, przecież to moja branża – zaszczebiotał tata i dodał szybko: – Polecam panu typ GV, system Platr-Munsters z marmurową płytą na górze, cena: dziesięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt koron.

Pan doktor Wacławik nie miał najmniejszego pojęcia o cudownym systemie Platr-Munsters, ale przytakiwał gorliwie. Tata wstał, zaprowadził go do magazynu i pokazał mu lodówkę, a on był nią zachwycony, ponadto bardzo podobała mu się ta marmurowa płyta. Potem wrócili do biura, tata poczęstował gościa koniakiem, świetnie im się rozmawiało, pan doktor Wacławik opowiadał, kto się rozwiódł, kto ożenił, kto urodził i kto umarł w Kroczehlawach, a tata sypał jak z rękawa żydowskimi anegdotami o panach Khonie i Abelesie. Gdy pan doktor miał już po tym koniaku trochę w czubie, tata obiecał mu, że firma przywiezie lodówkę najpóźniej za trzy dni, ale zapłacić trzeba już teraz. Pan doktor odparł, że nie ma przy sobie tyle pieniędzy, ale pójdzie do banku. Po godzinie wrócił, zapłacił tacie za lodówkę, a tata wystawił mu pokwitowanie.

Kiedy doktor wyszedł, tata wezwał do siebie magazyniera Szczypawkę.

– Masz tam jakąś starą, wycofaną lodówkę?

– Jedna na pewno się znajdzie.

Potem tata poprosił pana lakiernika Kuczerę o jej polakierowanie, wyciągnięcie z niej układu chłodzącego i pozostawienie pustej obudowy. Następnie umieścił ją w oryginalnym opakowaniu, opatrzył naklejką MADE IN SWEDEN i znów z żalem pomyślał, że ten staw w Kroczehlawach też na pierwszy rzut oka wyglądał tak pięknie, obrośnięty wierzbami i pokryty żółtymi nenufarami. A żeby trochę uśmierzyć ból pana doktora Wacławika, tata kazał dołączyć do obudowy tę marmurową płytę. Lodówkę posłano do Kroczehlaw.

Pan doktor wezwał z Libuszyna montażystę Beznoska, żeby podłączył urządzenie. A montażysta podobno uciekł, wołając z przerażeniem, że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Pan doktor Wacławik natychmiast zadzwonił do mojego taty i krzyczał:

– Panie inspektorze, ta lodówka nie ma żadnego mechanizmu! Przysłał mi pan tylko obudowę. Klatkę dla królików już mam. Kolejnej nie potrzebuję!

Tata odparł na to:

– No cóż, panie doktorze, na to nic nie poradzimy. Tak samo jak z tym stawem. Też był pusty, choć poza tym przepiękny.

I odłożył słuchawkę.

Pan doktor Wacławik nie przyjechał wtedy do Pragi, by załatwić tę sprawę z tatą po boksersku. Nie złożył też żadnej skargi. Ale tamten wieczór był chyba u Wacławików równie smutny jak u nas ten po wyłowie naszego stawu. Przecież pan doktor Wacławik kupił sobie najdroższą klatkę dla królików nie tylko w Czechach, lecz także w całej Europie Środkowej.

W służbie Szwecji

Dyrektor generalny firmy Elektrolux, pan Franciszek Koralik, dla którego pracował mój tata, był bogaczem. Miał trzydzieści tysięcy koron stałej pensji, willę na Orzechowce, co rok nowe amerykańskie auto, był bezdzietny, a w dzielnicy Chuchle mieściła się jego prywatna stadnina Frako (Franciszek Koralik) wraz z cudownymi końmi, również firmy Elektrolux, a do nich angielskimi dżokejami.

Lecz tata twierdził, że pan Koralik to przede wszystkim gangster, a główny dowód na to stanowi jego żona Irma, której w ogóle nie był godzien. Bo pani Irma bardzo podobała się mojemu tacie. Jak na Żydówkę miała niezwykle jasne włosy i błękitne oczy, trochę niżej przepięknie uformowane piersi, prężące się pod imponującymi tkaninami, takimi jak atłas czy szantung, oraz jędrny, krągły tyłeczek. Dorodnością dorównywała klaczom ze stadniny męża, a na jej cudownej twarzy często pojawiała się mina natchnionej inteligentki, co imponowało tacie najbardziej. On robił błędy ortograficzne nawet w najprostszych słowach, ponieważ w młodości został wyrzucony ze szkoły za wiele wybryków, a kroplą, która wówczas przelała czarę, było ciśnięcie w wychowawcę, pana Lukesza, kałamarzem pełnym atramentu.

Nasza mama wiedziała o potajemnej miłości taty, ale zbytnio się nią nie przejmowała. Stwierdziła, że szanse taty są równie nikłe jak

prawdopodobieństwo, że zdobędzie on Mount Everest. Miał przecież na karku nas (trzech chłopaków), nie posiadał koni ani amerykańskiego wozu i znał się tylko na piłce nożnej, boksie oraz rybach, co z pewnością nie mogłoby wywrzeć na pani Irmie żadnego wrażenia. Poza tym przeszłość mojego taty była ogólnie znana. Zanim przeszedł do słynnej szwedzkiej firmy Elektrolux, sprzedawał urządzenia gaśnicze domowej roboty Tutankamen. Wszyscy wiedzieli, że po użyciu gaśnicy Tutankamen spłonęła niejedna fabryka. Gdzieś kiedyś tata opowiedział również komuś, jak żyliśmy w tamtych czasach, i ta wieść rozniosła się po Pradze. A mieszkaliśmy wówczas w wioseczce pośród lasów niedaleko Mariańskich Łaźni i jedliśmy tylko solone grzyby bez jajek i chleb ze zdrową cebulą.

Lecz oto stał się cud. Od chwili gdy ów pan Franciszek Koralik powiedział: „Przyjmujemy pana jako przedstawiciela handlowego" – na nieboskłonie zaczęła wschodzić szczęśliwa gwiazda taty.

Musiało się to stać wkrótce po tym, jak przyjęto tatę na próbę do filii firmy Elektrolux w Pilźnie i dość nieufnie powierzono mu jeden odkurzacz w drewnianym kuferku. Tata nie dostał wtedy diety, więc musiał iść z tym kuferkiem do Rokycan, bo nie było go stać na pociąg. W Rokycanach stał przez dwie godziny na rynku, zanim odważył się zapukać do pierwszego klienta i po raz pierwszy wypowiedzieć wyuczoną formułkę, którą powtarzał sobie przez całą drogę z Pilzna:

– Jestem przedstawicielem firmy Elektrolux i sprzedaję odkurzacze z napisem MADE IN SWEDEN.

Ten pan taty nie wyrzucił. A nawet zamówił jeden odkurzacz. Tamtego dnia tata sprzedał w Rokycanach jeszcze cztery odkurzacze, co było wówczas dla nowicjusza wielkim osiągnięciem, ponieważ ludzie od wieków byli przyzwyczajeni do miotły i szufelki, a odkurzacz za dwa

tysiące koron uważali przeważnie za wynalazek diabła i coś całkowicie zbytecznego. Z Rokycan tata pojechał za pożyczone pieniądze do Radnic (gdzie wujek lekarz polecił go swoim pacjentom) i do Przybramia. Wszędzie powtarzał wyuczoną formułkę, po czym następowała prezentacja sprzętu, uśmiechy, komplementy, wychwalanie. W dziesięć dni sprzedał trzydzieści jeden odkurzaczy. W Pilźnie nikt nie mógł w to uwierzyć. A kiedy przekonali się tam, że to prawda, zawieźli tatę do Pragi niczym objawienie. Gdy szedł korytarzem w siedzibie głównej, otwierały się drzwi i pracownicy szeptali między sobą, wskazując go palcem. Zaprowadzili go do dyrektora generalnego Koralika, a tam czekała już jego jasnowłosa i jasnooka żona Irma. Spojrzała na mojego przestraszonego ojca rozmarzonym wzrokiem, podała mu drobną dłoń i powiedziała:

– Gratuluję panu.

A mój tata znalazł się w siódmym niebie i od razu pomyślał, że to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Na pożegnanie pocałował tę jej drobną dłoń, jąkając się z nadmiaru szczęścia, a kiedy wyszedł, poprzysiągł sobie, że dla tej firmy i dla tej kobiety będzie pracować ze wszystkich sił.

I tak też uczynił.

Firma Elektrolux ubiła na moim tacie świetny interes. Szybko potwierdziło się, że jest on wręcz stworzony do sprzedawania odkurzaczy i lodówek. Trudno zgadnąć, na czym polegał jego fenomen, ale tata okazał się w tej branży geniuszem, a przecież prawdziwy talent trudno rozpoznać nawet wśród geniuszów w dziedzinie sztuki, a co dopiero w sprzedaży odkurzaczy. W oczach mojego taty lśniły wesołość, smutek i pokora, a przede wszystkim urok eleganckiego i przystojnego mężczyzny. Był uparty i bezczelny, ale zawsze w granicach dobrego smaku. Tylko złe języki konkurentów powtarzały o nim tę starą, wyświechtaną frazę, że wyrzucają

go drzwiami, a on wraca oknem. Wkrótce został mistrzem kraju firmy Elektrolux. Firma miała swoich mistrzów sprzedaży na całym świecie, tak jak wyłania się mistrzów w piłce nożnej lub w pływaniu. Dyrektor generalny Franciszek Koralik wręczył tacie podczas uroczystości złoty zegarek MOVADO z podwójną kopertą i efektownie wygrawerowanym napisem 1. MIEJSCE. Pani Irma podała tacie drobną dłoń i powiedziała:

– Gratuluję panu.

I uśmiechnęła się do taty, a on najwyraźniej nie zrozumiał, że to tylko taki towarzyski uśmiech, nieprzekraczający granic poufałości. Zdopingowany wygrał kolejny złoty zegarek MOVADO, również z podwójną kopertą, i wszystko wskazywało na to, że może zostać niepokonanym mistrzem całego świata w firmie Elektrolux. Wznosił się ku niepojętym szczytom, napędzała go wizja zdobycia pięknej pani Irmy. Nasza mama była oczywiście niezwykle zadowolona, wiodło się nam cudownie. Urządziliśmy mieszkanie, nakupiliśmy ubrań, zapełniliśmy spiżarnię, jadaliśmy frykasy u Lipperta. A kiedy już mieliśmy wszystko, co najpotrzebniejsze, mama powiedziała nam:

– Chłopcy, niedługo tata pewnie zacznie dokazywać.

I tak też się stało. Wystroił się jak dandys. Na Příkopie u Meindla-Mecelasa kupił sobie angielski strój, buty u Poppera-Krasy przy Wodiczki, natomiast u Księcia nabył płaszcz z ręcznie tkanego materiału homespun. Był to wówczas bardzo drogi materiał. Korzystając z jego właściwości, tata jakby od niechcenia prezentował klientom, a raz także pani Irmie, drobne sztuczki: wbijał w niego ołówek, tak że wystawała tylko połowa, potem go wyciągał, a materiał się scalał. I – żebym nie zapomniał – w tamtych czasach strzygł się i golił u jednego z najlepszych praskich fryzjerów, pana Webera w pasażu Alfa. Szczytem tatowych ekstrawagancji okazał się amerykański samochód. Wprawdzie nie najnowszy, ale amerykański, marki

Buick, z podwójnymi reflektorami i płóciennym dachem, sześciocylindrowy, spalający dwadzieścia sześć litrów na sto kilometrów. Mama załamała ręce i lamentowała:

– Leoszku, co my poczniemy z takim dużym autem? I kto będzie nim kierować?

– Ja – odparł pewny siebie tata, choć wiedział, że to nie może się ziścić, czymkolwiek bowiem w życiu kierował, kończyło się to katastrofą.

A z rozmiarów auta doskonale zdawał sobie sprawę. Nawet pan dyrektor generalny nie miał tak dużego wozu, ale właśnie o to chodziło. Kierowanie tym autem okazało się niezmiernie trudne, więc musieliśmy załatwić sobie na niedziele szofera Antka Walentę. Był to wysoki blondyn, sympatyczny, miał do mojego taty anielską cierpliwość i woził nas przez Lany do Krzywoklatu, gdzie łowiliśmy ryby. Mój tata siedział obok niego i nieustannie doradzał mu, co ma robić. Każdy inny szofer by tatę zabił, ale Antek Walenta tylko się uśmiechał. Pewnego razu tata namówił go, żeby pozwolił mu przejechać właśnie przez Lany:

– Anteczku, pokaż no, też chciałbym sobie trochę pokierować przy zamku pana prezydenta.

Mama głośno protestowała z tylnego siedzenia, ale na próżno. Tata wparował w zakręt przed zamkiem z takim impetem, że oczywiście nie wyrobił i staranował panu prezydentowi zieloną bramę. Wyciągnęły nas stamtąd krowy, a nasze amerykańskie cacko na jakiś czas opuściło czeskie szosy.

Naturalnie dyrektor generalny pan Koralik jakoś dowiedział się o naszej niedzielnej wizycie u pana prezydenta i nazajutrz spytał mojego tatę z uśmiechem:

– Jak się sprawuje pański buick?

– Doskonale – odparł sucho tata i po raz pierwszy bardzo się wściekł na swojego szefa.

Patrzył na jego ogoloną twarz za biurkiem, widział jego głowę między ramami obrazów, a w każdym biurze wszystko krzyczało do taty: „Koralik, Koralik, Koralik!". Po jakimś czasie tata zaczął go wręcz nienawidzić. A im bardziej rosła jego niechęć, tym bardziej wielbił tę bez wątpienia cierpiącą panią Irmę i jej współczuł.

Tyle że mój tata wciąż był tylko komiwojażerem, chociaż miał płaszcz z homespunu i amerykańskiego buicka. Lecz jakoś nie potrafił zrozumieć własnej pozycji. A pani Irma wciąż kupowała do swojej willi na Orzechowce pieski, najdroższą porcelanę Rosenthala i miśnieńską oraz oryginalne holenderskie radia Philips. Patrzyła z góry na losy mojego nieszczęsnego taty, dobrze wiedząc, że robi do niej maślane oczy.

Jednak tata postanowił, że osiągnie to, co zamierzył, że będzie się piąć coraz wyżej i wyżej i że zostanie niepokonanym mistrzem całego świata.

I rzeczywiście mu się to udało.

W sprzedaży odkurzaczy i lodówek wyprzedził komiwojażerów z pięćdziesięciu pięciu innych krajów, a przecież tylko w samej Japonii Elektrolux miał dwa tysiące sprzedawców walczących o ten tytuł. Zdobył go tata, a drugie miejsce zajął pewien handlowiec z Buenos Aires. Tata sprzedał największą liczbę odkurzaczy, a robił to często w sposób wręcz niewiarygodny. Sprzedał odkurzacz rolnikom w Nesuchyni, choć we wsi nie było jeszcze prądu. Oczywiście obiecał, że pomoże im doprowadzić sieć energetyczną, ale nigdy tego nie uczynił. Sprzedał odkurzacz swojemu szkolnemu wychowawcy, panu Lukeszowi, w którego w dzieciństwie cisnął kałamarzem, a także wachmistrzowi Króliczkowi, który przyłapał go kiedyś na kłusownictwie i zabrał mu strzelbę. Przekonał premiera Malypetra, że

musi zakupić lodówkę, a doktorowi Edwardowi Beneszowi wcisnął aż dwie.

W hotelu Alcron wręczono tacie tytuł mistrza świata. Złoty medal przypiął mu do klapy prezes spółki, pan Venegreen (przyleciał specjalnie na to wydarzenie z Londynu). Całą ceremonię filmował amerykański Fox (operator przyleciał ze Stanów Zjednoczonych). Mój tata znikąd nie przyleciał, tylko przyjechał wraz z mamą tramwajem (nasz buick wciąż stał rozwalony).

Na bankiecie podano jako przystawkę pieczone kurczaki. Wszyscy się z nimi zmagali, tylko nie mój tata. Wziął widelec, mama nie zdążyła go powstrzymać, zastukał nim w kieliszek, dzięki czemu w sali zapanowała cisza, i oświadczył:

– A teraz pokażę wam, jak je się u nas w Busztiehradzie.

Chwycił kurczaka w dłoń, wgryzł się w niego, a pozostali poszli za jego przykładem. Komiwojażerowie, a zjechało się ich tu trzystu, szeptali nawet słowa uznania w stylu:

– Ale to równy chłop, ten Popper.

Lecz u szczytu stołu zapanowała grobowa cisza. Prezes Venegreen i dyrektorowie generalni wciąż dłubali w kurczaku widelcami i nożami, a pan Koralik i pani Irma wymienili znaczące spojrzenia i one mówiły wszystko o moim tacie. On też to zrozumiał, gdy zerknął na panią Irmę, spodziewając się, jako mistrz świata, uznania. I owszem, uśmiechnęła się, ale ten uśmiech nie oznaczał nic więcej niż przedtem, a ponadto jej źrenice zostały naznaczone tym pieczonym kurczakiem, wciąż dzierżonym przez ojca w prawej dłoni. Dopiero wówczas tata ujrzał przepaść dzielącą jego i panią Irmę i pojął, że jej nie przeskoczy, choćby nawet sprzedał odkurzacz samemu Panu Bogu. I troszkę posmutniał, nie rozweseliły go nawet lodowe słonie podawane pod koniec bankietu, chociaż je uwielbiał.

Ale wkrótce wydarzyło się coś dziwnego i niespodziewanego, dzięki czemu, jak mawiają sportowcy, tata wrócił do gry.

W Pradze mieszkał malarz Vratislav Nechleba, słynny i poważany jak mało który z żyjących artystów. Znajomość z nim oznaczała wejście na wyższy szczebel w hierarchii społecznej, natomiast przyjaźń… O nie, o niej zwykły śmiertelnik nie mógł nawet marzyć, głównie dlatego, że pan Nechleba zachowywał się dość ekscentrycznie i trzymał ludzi na dystans.

I właśnie ten pan, niski, długowłosy, podszedł na praskich targach przemysłowych do stoiska mojego taty, sprzedającego tam lodówki, i się przedstawił:

– Moja godność Nechleba.

Naturalnie tata nie miał pojęcia, kim jest Nechleba, znał tylko nazwiska mistrzów boksu od czasów Heřmánka i Nekolnego, ale skinął głową na znak, że wszystko jasne. Pan Nechleba zmrużył oczy pod gęstymi brwiami, uśmiechnął się, wskazał na lodówki i rzekł:

– Jestem zainteresowany tym wynalazkiem. Niech mnie pan odwiedzi, drogi panie, w akademii.

A zatem tata udał się do akademii i powiedział portierowi:

– Ponoć pracuje tu niejaki pan Nechleba.

– Owszem, to nasz pan profesor. Atelier na pierwszym piętrze.

Tata wszedł na piętro, zadzwonił, a drzwi otworzył mu właśnie ten niski pan z długimi włosami.

– A, to pan, drogi panie. Proszę chwilę poczekać. Muszę coś dokończyć.

Tata usiadł w skórzanym fotelu i przez chwilę obserwował, jak pan profesor ulepsza pędzlem twarz człowieka wyglądającego jak rozczochrany wariat. Mężczyzna na obrazie nie podobał się mojemu tacie. Emanował z niego jakiś wewnętrzny niepokój, mój tata czuł się źle, patrząc na niego,

więc rozejrzał się po pomieszczeniu. Ujrzał dziesiątki obrazów na sztalugach, ścianach i tak po prostu opartych o ścianę. Spoglądali z nich prezydenci, artyści, przedstawiciele finansjery, postaci biblijne. Przed tatą otworzył się nagle nowy świat, te obramowane twarze przyciągały go z niezaznaną wcześniej magiczną siłą, tak jakby wszyscy ci ludzie byli tu obecni i pragnęli z nim rozmawiać. Tata wstał, zaczął przechadzać się po atelier i nagle ujrzał tam bliski sobie świat. Jako człowiek znający się na ludziach, dobrze go rozumiał. Każda z tych osób wyglądała jak żywa, tak jakby lada chwila mogła wyjść z ramy, podać dłoń i się przedstawić. A tata przyłapał się na rozważaniach, komu z nich sprzedałby lodówkę, komu odkurzacz, w jaki sposób rozmawiałby z każdym z nich, a ponieważ naprawdę znał się na ludziach, wyczytywał z ich twarzy szczęścia i nieszczęścia, które spotkały ich podczas ziemskiej wędrówki. Przerwał mu głos:

– Podoba się, drogi panie?

– Bardzo, panie profesorze, to niewiarygodne, że można tak realistycznie namalować człowieka – odparł szczerze tata, niemający pojęcia o istnieniu Leonarda da Vinci, Rubensa, Rembrandta. A potem zaczął opowiadać o ludziach tak, jak zna ich on. O tym, jakie mają oczy, gdy umierają lub kogoś zabijają. O małym kulawym człowieczku, który w hamburskim klubie nocnym rzucił w alfonsa stołkiem i rozłupał mu głowę na pół, aż mózg opryskał mojego tatę. O oczach przyjaciela, Zubana, pijącego podczas ucieczki przez pustynię własny mocz. I wiele innych podobnych historii opowiedział mój tata panu profesorowi, a on słuchał z równie wielkim zainteresowaniem, z jakim przedtem tata przyglądał się jego obrazom.

Potem pan profesor zaprosił tatę do mieszkania. Przedstawił mu swoje olbrzymie psy. Złotego chudego doga:

– To jest Helios.

I mrukliwego angielskiego mastifa:

– A to Sam.

Pokazał mu też papugi, które krzyczały do taty:

– Masz dupę? Ty łajdaku!

Otworzył przed tatą drzwi do wszystkich pokoi, a także swoje serce, ponieważ mój tata był tak właściwie złodziejem serc. W godzinę podbił serce pana profesora, leżało na jego dłoni, a tata chuchał na nie ciepłym oddechem wprost z arsenału broni doświadczonego komiwojażera. W końcu pan profesor powiedział:

– Wezmę dwie lodówki. Jedną do mieszkania, a drugą do atelier. Niech pan mnie jeszcze kiedyś odwiedzi.

Tata całkowicie zapomniałby o profesorze, gdyby jakiś czas później w siedzibie dyrekcji nie padło przy czarnej kawie nazwisko Nechleby. Zabrzmiało ono bardzo dźwięcznie, a tata natychmiast powiedział półgłosem:

– To mój przyjaciel.

Te słowa podziałały niczym cios pięścią. Pana dyrektora generalnego Koralika zatkało, choć wątpił w ich prawdziwość, ponieważ od tamtego ważnego bankietu, podczas którego tata jadł kurczaka rękami, upłynęło niewiele czasu, a dyrektor miał już wyrobioną opinię na temat poziomu kultury mojego taty i nie omieszkał jej wyrazić:

– Chyba z kimś go pan pomylił. Rozmawiamy tu o Vratislavie Nechlebie, czołowym współczesnym portreciście. Malarzu, rozumie pan?

– Oczywiście, panie dyrektorze, akurat niedawno dyskutowaliśmy w jego atelier o tym, co potrafią wyrażać ludzkie oczy, a czego nie potrafią.

Prokurentka, pani Gut, od razu spytała:

– A zatem co potrafią wyrażać ludzkie oczy?

A tata odparł oschle:

– To mogą zrozumieć tylko artyści.

Te słowa wywyższyły go ponad pozostałych, ponieważ nikt z obecnych, ani żaden komiwojażer, ani dyrektor generalny, nie umiał sobie wyobrazić, co mogą wyrazić ludzkie oczy. Pod koniec zebrania pan dyrektor generalny Koralik skinął do taty głową, żeby poszedł z nim do biura, miał rozanieloną minę i bez ogródek spytał:

– Może Nechleba namalowałby moją żonę Irmę?

To było jak grom z jasnego nieba! Jezus Maria, dlaczego on nie wpadł na to wcześniej?! Dlaczego kiedy tam siedział, nie powiedział panu profesorowi, że zna najcudowniejszą kobietę w Pradze?! Przecież kiedy ją ujrzy, zaniemówi, piękniejszej modelki nie mógłby sobie wymarzyć! Natomiast Irma będzie szczęśliwa i wdzięczna. Znów uśmiechnie się do taty tak słodko jak kiedyś i może pójdzie z nim do kawiarni, a może też gdzie indziej. Lecz tata był zbyt dobrym handlowcem, by okazać swój zachwyt nad pomysłem pana dyrektora. Wręcz przeciwnie, postanowił kręcić nosem, grać na zwłokę, udawać nieprzekonanego i niedostępnego. Dzięki temu spotka go jeszcze sowitsza zapłata. Siedział i milczał.

– Czy pan nie słyszał, co mówiłem? – spytał niecierpliwie dyrektor generalny Koralik.

– Słyszałem, ale to nie takie proste.

– Tyle to wiem i bez pana. Ten Nechleba powiedział Bacie, że szewców nie maluje, a od prezydenta Masaryka wziął za portret trzysta tysięcy. Ale dla mnie, wie pan, dla mnie cena nie gra roli. Mogę zapłacić nawet pół miliona.

Mój tata najpierw spojrzał zaskoczony, bo znał skąpstwo pana Koralika. Ponieważ jednak znał się na ludzkich oczach, widział w tych piwnych

przed sobą olbrzymie pragnienie posiadania czegoś, czego nie mogą sobie tak po prostu kupić inni bogacze. Temu mężczyźnie, opowiadającemu ciągle jakieś bzdury pracownikom, nie chodziło o sztukę, ani nawet o piękny portret żony, tylko o to, by móc w nieskończoność powtarzać zdanie: „Moją żonę maluje Nechleba". O to, by móc wymawiać to zdanie przy obiedzie, przy kolacji, żeby wysłać je rodzinie w Anglii i Stanach Zjednoczonych, żeby móc powtarzać je w czasie przeszłym przed obrazem, żeby to zdanie wybuchało w określonych miejscach jak bomba.

Mojemu tacie przyszła nawet do głowy dziwna myśl, że pan dyrektor generalny nie ma zbyt dobrego zdania o urodzie swojej żony Irmy, bo w przeciwnym razie nie oferowałby tak zawrotnej kwoty, i znów ogarnęła tatę wielka wściekłość na pana Koralika.

Pan profesor Nechleba namaluje Irmę, szanowny panie dyrektorze generalny, ale z innych powodów. Jej obraz musi przetrwać wieki. Musi ukazać jej piękno, a jednocześnie cierpienie kobiety żyjącej z panem. Pani Irma powinna mieć na sobie błękitną suknię pasującą do jej błękitnych oczu, a obraz powinien zostać oprawiony w masywną złotą ramę.

Kiedy ta myśl przyszła tacie do głowy, poczuł ulgę i rzekł:

– W takim razie porozmawiam o tym z profesorem.

I już nazajutrz udał się do pana Nechleby. Szedł po szerokich schodach do atelier i wyobrażał sobie już, jaki jego świat stanie się cudowny, kiedy portret pani Irmy będzie gotowy. Koniec końców fakt, że Koralik jest jego szefem, też może okazać się pomocny. Kiedy tata tak wchodził po tych schodach, zaczęła go dręczyć jedna myśl: czy profesor będzie potrafił uchwycić piękno Irmy? Wprawdzie malował już prezydentów i ministrów, ale uwiecznienie takiej kobiety to przecież coś zupełnie innego. Te jej miękkie włosy, błękitne oczy, pełne wargi. Ale jeśli jednak mu się to uda, cóż to będzie za obraz!

Po ostatnich stopniach tata wręcz wbiegł i szybko nacisnął dzwonek, tak jakby profesor nie miał ani chwili do stracenia. Drzwi się otworzyły i stanął w nich pan Nechleba.

– A, to ty, syneczku. Skąd ten pośpiech?

Tata, rozpalony wizjami najpiękniejszego obrazu pana profesora, wiedział, że nie może wykrzyknąć: „Niech mi pan szybko namaluje Irmę!".

Zamiast tego powiedział dyplomatycznie:

– Przyszedłem pana odwiedzić, panie profesorze.

– A zatem niech pan wejdzie i usiądzie.

Tata usiadł i się rozejrzał. Panu profesorowi pozował dziwny mężczyzna z brodą, czytający gazetę przy lampie naftowej. Profesor pracował powoli, każdy ruch pędzla poprzedzała chwila zastanowienia. Tata przez moment go obserwował, a potem znów rozejrzał się po atelier. Po raz kolejny jego uwagę przykuły twarze mężczyzn, niejako paradujących przed nim w dziwacznym korowodzie niczym apostołowie na praskim orloju. Jeden był zasępiony, drugi uśmiechnięty, twarz trzeciego wykrzywiała się w grymasie. Gdy tylko tata spojrzał na któregoś z nich, ów od razu też patrzył mu w oczy. Tata mógłby się tak bawić w nieskończoność. Lecz nagle całe ciało taty przeszył chłód. Chryste Panie! Przecież tu nie ma ani jednego portretu kobiety. Tatę oblał zimny pot. Jeśli nie ma tu żadnego obrazu kobiety… Pan profesor w ogóle nie maluje kobiet, dyrektor Koralik to wiedział i dlatego zaproponował tak bajońską sumę. Od tej chwili tata siedział w fotelu jak na szpilkach, a pozostałe obrazy nie cieszyły go tak jak wcześniej. Gdy pan profesor skończył, tata zapytał wprost:

– Czy pan nie maluje kobiet, panie profesorze?

– Wie pan, drogi panie, ja za tymi waszymi kobietami nie przepadam. Bardzo działają mi na nerwy. Kiedy siedzą, a ja je maluję, ciągle coś

mówią, z kolei kiedy milczą, nie widzę w nich nic ciekawego.

– W ogóle ich pan nie maluje, panie profesorze?

– Czasem robię wyjątek. Zazwyczaj raz w roku. Najbardziej ze wszystkich kobiet lubię Lukrecję.

Tata odetchnął, nadzieja jeszcze nie umarła. Jego duszę znów ogarnęło rozanielenie. Jedna w roku. Irma. Lecz dzięki żyłce handlowej zrozumiał, że nie może przedstawić swojego pomysłu prosto z mostu, jak początkowo zamierzał, i że musi pracować na plony cierpliwie niczym rolnik. A to może się okazać trudniejsze niż sprzedanie dziesięciu lodówek. Najpierw musi poznać tę Lukrecję i porównać ją z Irmą. Tyle że na razie niczego o niej nie wiedział, a wstydził się zapytać, więc pożegnał się i wyszedł.

– Przyjdź znów kiedyś, Popperku – zapraszał go pan profesor już zdrobniale, polubił tatę, bo nie chciał od niego żadnych obrazów ani pieniędzy na cele charytatywne i najwyraźniej lubił spędzać czas w jego towarzystwie.

Ku swojemu zaskoczeniu i uciesze tata odkrył, że wysoko urodzona dama Lukrecja przyśpieszyła swe odejście z tego świata sztyletem wbitym w serce. To, że Lukrecja nie będzie już konkurować z panią Irmą, ucieszyło go tak bardzo, że oświadczył dyrektorowi generalnemu Koralikowi:

– Załatwię to, ale potrzebuję trochę czasu.

Po tych słowach mój tata żył w firmie Elektrolux jak baron. Pan dyrektor generalny Koralik co rusz wołał go na brazylijską kawę, a naszą rodzinę, wraz z mamą, zapraszano na różne bankiety. Sprawa z kurczakiem szybko odeszła w zapomnienie, a pani Irma ciągle posyłała tacie uśmiechy. Państwo Koralikowie zaprosili nawet tatę i mamę do swojej wilii na Orzechowce, a kiedy tata przyglądał się prążkowanym skalarom w akwarium, a pan Koralik gdzie indziej uprzejmie wypytywał mamę o nas, o dzieciaki, pani Irma podeszła do taty i szepnęła mu bardzo cicho:

– Kiedy pan profesor Nechleba mnie namaluje, uczcimy to. Tylko we dwoje.

To wlało w żyły taty energię, która niemal sprowadziła na naszą rodzinę tarapaty. Tata, zamiast sprzedawać odkurzacze i utrzymywać w ten sposób mamę, trzech chłopaków i amerykański automobil marki Buick, chodził do pana profesora Nechleby, przesiadywał u niego godzinami i obserwował go przy pracy. Mój tata, który jeszcze niedawno nie miał nawet pojęcia o istnieniu jakiegoś malarstwa olejnego czy żywych malarzy, zaczął się orientować w teorii różnych technik malarskich, a pan profesor zapoznał go z całą plejadą słynnych współczesnych mistrzów pędzla. Tata wiedział, ile obrazów namalował pan profesor, pamiętał, w co są ubrane wszystkie sportretowane osoby i jakie mają miny. Wiedział, że pan profesor namalował redaktora Boučka w 1909 roku, a aktora Eduarda Vojana dwa lata później. Stał się również znawcą dywanów perskich, a kiedy pan profesor był zajęty, tata karmił za niego doga Heliosa, psa Sama i papużki.

Nasza mama, która dobrze wiedziała, że to wszystko dzieje się z powodu pani Irmy, straciła cierpliwość i oświadczyła tacie stanowczo:

– To twoje zamiłowanie do sztuki trwa już zbyt długo. Wpakujesz się w jakąś kabałę. Dzieci zaraz nie będą miały co jeść.

Lecz on nie potrafił odpuścić. Gdzieżby! Właściwie już niemal dobiegał do mety, zamierzał wyjawić panu profesorowi to, co najistotniejsze. I pewnego zimowego dnia, kiedy Praga wyglądała jak z waty cukrowej, nad Hradczanami uśmiechało się słońce, a pan profesor był w świetnym humorze i wciąż ssał mały palec, bo to uwielbiał, mój tata zebrał się na odwagę:

– Panie profesorze, od dawna noszę się z zamiarem powiedzenia panu, że znam najpiękniejszą kobietę w Pradze. Mógłby ją pan namalować. Sprawiłoby mi to wielką radość.

Pan profesor natychmiast się zasępił.

– Nie jestem w nastroju – odparł, ale gdy zobaczył, że tata posmutniał, dodał: – Może kiedy indziej.

I tyle.

Pan profesor malował wówczas swą Lukrecję. Kobietę z czarnymi włosami i bladą twarzą, kobietę, która nie mogła mówić i nie potrafiła się bronić, gdy pan profesor formował ją według własnych wizji. Była piękna, ale to piękno było nieludzkie, tata o tym wiedział, lecz nie wspomniał o tym panu profesorowi ani słowem, ponieważ pan profesor umiłował sobie Lukrecję chyba właśnie dlatego, że już nie żyła, i była to z pewnością inna miłość niż ta, którą mój tata darzył moją mamę lub z którą wpatrywał się w panią Irmę.

Minęła zima, minęła wiosna, a sprawa obrazu wciąż stała w miejscu. Lecz tata jako wędkarz i handlowiec potrafił czekać. Na początku lata pan profesor wypowiedział obiecujące słowa:

– Myślę, że mógłbym obejrzeć tę pańską najpiękniejszą kobietę, Popperku.

– A kiedy, panie profesorze? – zachwycił się tata, który sięgał już finansowego dna, a ciągłe ocenianie obrazów, dywanów perskich, psów i papug doprowadziło go do kresu sił.

– Wkrótce, gdy tylko dokończę… – Profesor wskazał nabożnie na Bóg wie którą wersję Lukrecji, która tym razem dla odmiany wbijała sobie ozdobny sztylet w prawą pierś.

Mój tata znienawidził Lukrecję przez ten rok, ale teraz w jednej chwili wszystko jej wybaczył, zwycięstwo było bowiem na wyciągnięcie ręki. Pan profesor zobaczy Irmę, a Lukrecja umrze na dobre. Niecierpliwemu Koralikowi, który od roku słuchał rozpaczliwych zapewnień: „Uda się.

Niech mi pan wierzy, panie generalny", tym razem mój tata oświadczył triumfalnie:

– Pan profesor niedługo zechce zobaczyć panią Irmę. Bo on musi się każdemu przyjrzeć, zanim zacznie go malować.

Zachwycony dyrektor generalny skinął głową i zaprosił tatę do Alcronu na obiad.

A tata kuł żelazo, póki gorące. Wtajemniczył w swój plan naszą nieszczęsną mamę i obiecał jej, że to wszystko niebawem się skończy. Jeszcze tylko zaprosimy pana profesora Nechlebę na łono natury, bo on chyba rzadko bywa w takich miejscach. Zabierzemy go na ryby do „Agenta". Mama upiecze mięso, ciasto i bułeczki.

Pan profesor z radością przyjął zaproszenie.

Wyruszyliśmy naszym buickiem z Antkiem Walentą. My zamieszkaliśmy w pokojach gościnnych gospody „U Agenta", natomiast tata i pan profesor rozbili namioty nad Berounką, wtedy jeszcze piękną i pełną ryb. Był czerwiec, a przy brzegu kwitła chyba najpiękniejsza łąka, jaką znam. Pan profesor, który widział Londyn, Paryż, Amsterdam i najwspanialsze galerie całego świata, nigdy nie bywał na łonie natury, więc ta łąka pana Klabala wprawiła go w szczery zachwyt. Kucnął i podskakiwał jak małe dziecko. Obserwował koniki polne, żuki i kwiatki, krzycząc:

– Och, Popperku, to jakiś cud, to piękno, ta przyroda wygląda jak najprawdziwszy kicz!

Tata przytakiwał gorliwie i szykował wędki, a w duchu modlił się, żeby w nocy nadciągnęły chmury, ponieważ pod niebem pozbawionym gwiazd i księżyca ryby będą żerować jak szalone, a zachwyt pana profesora będzie rósł i rósł, aż wreszcie eksploduje słowami: „W takim razie proszę przyprowadzić tę kobietę".

Mój tata zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił i co jest wbrew kodeksowi wędkarskiemu. Pożyczył od znajomych wędkarzy około dwudziestu wędek i rozstawił je wzdłuż brzegu, a na czubku każdej z nich przyczepił dzwoneczek jak na choince, żeby zasygnalizował branie.

Pana profesora posadził na ozdobnej poduszce przed namiotem, a mama przyniosła mu flaczki, nerkę cielęcą, szynkę na ciepło, bułeczki drożdżowe, ciasto i piwo. Pan profesor pocałował ją w rękę i dopiero trzydzieści lat później wyznał naszemu tacie, że mama tak mu się podobała, że chciał poprosić tatę o zgodę na jej sportretowanie, ale nie zdobył się wówczas na odwagę.

Potem nadszedł wieczór taki, jaki uwielbiają dobrzy wędkarze. Letni, cieplutki, aż chciałoby się go pokroić i spakować do plecaka turystycznego. A żydowski Bóg w niebie wysłuchał modlitw mego taty: nad rzeką zapanowała nieprzenikniona ciemność, a w niej pan profesor siedział na poduszeczce i rozanielony ssał swój palec. Nagle w tej boskiej ciszy rozległo się: dzyń! dzyń! Pan profesor powiedział:

– Popperku, ktoś dzwoni!

– Ja nic nie słyszę. – Tata udawał głuchego.

– Niech mi pan zaufa! Mam słuch jak sowa.

– Racja! Szybko, do roboty!

I tata zaprowadził go prościutko do wędki kołyszącej się i dzwoniącej nad wodą. Pan profesor ją podniósł, zaciął i wyciągnął waleczną, rzucającą się brzanę, długą jak przedramię. Płonęła w trawie srebrem, jakby to księżyc spadł z nieba. Pan profesor, który nigdy wcześniej nie pokonał żadnej żywej istoty, poczuł w sobie żar i podniecenie z polowań dalekich przodków. Pochłonęło go to bez reszty. Natomiast tacie przyszli tamtej nocy z pomocą chyba wszyscy jego rzeczni przyjaciele. Umięśnione brzany, wężowe węgorze i mądre klenie podpływały do jego pożyczonych wędek

i ciągnęły za dżdżownice i rybki-przynęty, dzwoniąc dzwonkami jak w Boże Ciało. Pan profesor biegał podczas tego koncertu wzdłuż brzegu, a tata obsługiwał go jak na strzelnicy odpustowej, nawlekał mu przynęty, ściągał ryby z haczyków i obaj byli szczęśliwi.

Rano nasza mama (pan profesor znów tak ładnie się do niej uśmiechał) przyniosła flaczki, szynkę na ciepło, bułeczki, ciasto i czarną kawę.

A po tej czarownej nocy bez wątpienia musiały paść tak oczekiwane słowa pana profesora:

– Niech pan przyprowadzi do mnie tę damę.

Tata zachowywał się, jakby postradał zmysły. Natychmiast wsiadł do taksówki, pojechał do pana dyrektora generalnego, powiedział mu, żeby Irma włożyła tę błękitną suknię, pan dyrektor generalny pognał swoim amerykańskim wozem na Orzechowkę po panią Irmę, ona ubierała się przez godzinę, a potem pojechała do fryzjerskiego mistrza kraju, pana Pohla, żeby ją uczesał. Tymczasem tata pojechał do domu, włożył swój najlepszy garnitur z angielskiej tkaniny i również udał się do fryzjera, pana Webera, mającego salon w pasażu Alfa. Przeżywał swój wielki dzień.

O godzinie drugiej po południu przed słynną firmą Elektrolux stało amerykańskie auto pana dyrektora, a obok niego mój tato z wyglądem i miną angielskiego dyplomaty oraz pani Irma. Pani Irma miała na sobie błękitną suknię i buty z wężowej skóry. Tata nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Szofer otworzył tylne drzwi, a dyrektor Koralik żegnał się z nimi, jakby wysyłał ich w podróż poślubną.

Po drodze tata próbował wziąć panią Irmę za rękę, ale ona powiedziała:

– Dopiero po wszystkim, mój drogi.

Wysiedli i ruszyli po schodach na piętro, do atelier pana profesora. Pani Irma szła powoli, blada, a tata próbował dodać jej otuchy uśmiechem.

Zadzwonił do drzwi, długo nikt nie otwierał. Zadzwonił ponownie i wtedy pojawił się pan profesor. Gdy ujrzał mojego tatę, znów przypomniał sobie tamtą piękną łąkę i tę magiczną noc. Zaświergotał:

– A, to pan, Popperku! – Potem ujrzał panią Irmę i przypomniał sobie także swoją obietnicę. – Prowadzi mi pan tę damę.

Tata spodziewał się, że pan profesor zaprosi ich dalej, ale nic takiego się nie stało. Pan profesor tylko patrzył i patrzył, przyglądał się twarzy pani Irmy, wyglądało to tak, jakby nie dowierzał własnym oczom. Nagle przemówił niemal szeptem:

– Niech się pani odwróci. Przyjrzę się pani jeszcze z drugiej strony.

Odwróciła się, pokazując krągły tyłeczek wystający znad smukłych nóg w wężowych pantofelkach na wysokich obcasach. Z piękną fryzurą pełną loków przypominała kolorowego motyla zamierzającego wzbić się w powietrze na ciemnym korytarzu nudnej akademii i odlecieć.

A potem rozległo się coś, co wybuchło jak bomba i przypominało krzyk krnąbrnego dziecka:

– Takiej paniusi na pewno malować nie będę! Za żadne skarby! Nie i koniec!

Mój tata podpierał płaczącą panią Irmę przez całą drogę po schodach i do amerykańskiego samochodu marki Ford stojącego przed stoiskiem z dziełami sztuki.

W samochodzie ziścił się wielki sen taty. Trzymał panią Irmę w ramionach. Tyle że w snach wyobrażał sobie całą tę sytuację zgoła inaczej. Tymczasem ona spazmatycznie płakała, a on ją pocieszał. Czuł jej uległe piersi na swojej klatce piersiowej, dotykał jej delikatnych włosów, głaskał jej ramiona, jej łzy ściekały mu po rękach. Ale trzymał ją tak po raz pierwszy i ostatni. Albowiem gdy tylko trochę się opamiętała, nie chciała już widzieć mojego drogiego taty i przypomniała sobie, jak jadł kurczaka

rękami. Rozpowiadała na lewo i prawo, że cała ta sytuacja wcale jej nie zaskoczyła, bo od dawna miała swoje zdanie na temat zdrowia psychicznego mojego taty, zresztą tak samo jak ten szacowny profesor Nechleba, który podobno mojego taty wręcz nie cierpi i to dlatego jej nie przyjął. Na zachowanie pana dyrektora generalnego Koralika wolałbym spuścić zasłonę milczenia. Chciał tatę zastrzelić, bo już dawno poinformował wszystkich swoich krewnych i znajomych w Europie i Stanach Zjednoczonych, że profesor Nechleba namaluje jego żonę. Po prostu między naszą rodziną i rodziną dyrektora generalnego Koralika wybuchł stan zwany w terminologii wojskowej wojną, a tatę przed zwolnieniem z pracy uratowało tylko to, że w poprzednim roku zdobył tytuł mistrza świata. Nieszczęśliwa miłość do pani Irmy jeszcze długo go męczyła, ale jego ból chyba nieco koiło to, że przynajmniej raz w życiu trzymał ją w objęciach.

Natomiast nasza mama była niezmiernie zadowolona z takiego przebiegu wypadków. Ziściły się jej słowa o tym, że tata nie jest w stanie zdobyć Mount Everestu. A nasza spiżarnia znów się zapełniła i zaczęło się nam dobrze powodzić. Tata porzucił obrazy, dywany perskie, psy oraz papugi i poświęcił się swojej branży, którą miał doskonale opanowaną: odkurzaczom i lodówkom.

Drugim zadowolonym człowiekiem był pan profesor Nechleba. Znów malował swoją Lukrecję. Kilka lat później tata odwiedził go i przyznał, że jest piękna, a uradowany pan profesor podarował mu jej obraz. Podczas wojny zerwał nam go ze ściany pijany esesman o niebieskich oczach i jasnych włosach, rozciął sztyletem i tym samym tak właściwie uśmiercił Lukrecję po raz drugi. Tata miał wówczas łzy w oczach, ponieważ o pani Irmie już dawno zapomniał, a Lukrecję darzył skrywaną miłością.

Śmierć pięknych saren

My, trzej chłopcy, uwielbialiśmy jeździć w okolice zamku Krzywoklat. Wówczas nie rozumiałem dlaczego, ale dziś rozumiem. Mój tata już wtedy wiedział, że w przyszłości zobaczę bulwary Paryża i nowojorskie wieżowce, ale już nigdy nie będę mieszkać w chatce, w której pachnie chleb w piecu, a w maselnicy ubija się masło, ponieważ przy takich chatkach będą w przyszłości parkować škody MB, w pokojach będą migać telewizory, będzie się w nich podawać lurowatą czarną kawę i blady chleb.

Kiedyś tata szukał tego miejsca na węch. W latach trzydziestych minęli z naszym prywatnym kierowcą Antkiem Walentą zamek Krzywoklat i jechali w górę strasznymi serpentynami na zachód, wzdłuż Berounki, w której wówczas pływały szczupaki wielkie jak krokodyle, a na płyciznach przewalały się klenie i brzany tłuste niczym pnie. Tata obserwował to wszystko i jechał dalej, aż do zajazdu „U Agenta", gdzie spędziliśmy dwa sezony. Ale to jeszcze nie było to. Wprawdzie pani Franiek była piękną, miłą kobietą, potrafiącą ugotować wyśmienity gulasz oraz flaczki, ale w soboty i niedziele bywało tam bardzo głośno. Zjeżdżali się różni wędrowcy, trampowie, włóczykije oraz kowboje i zmieniali tę cichą gospodę w piekło godne Dzikiego Zachodu. Mama z początku wysyłała tatę, żeby poprosił ich o trochę cichsze zachowanie, ale po kilku próbach się poddała. Wkrótce bowiem w piosenkach o tym, że życie jest

podłe, a najlepiej byłoby żyć bez kobiety nad rzeką Jukon, najdonośniej brzmiał piękny głos taty, a na nas, nieszczęsnych dzieciach, największe wrażenie robił dźwięk jedynych instrumentów, na jakich nasz ojciec potrafił grać, czyli miotły i pokrywek pożyczonych od pani Franiek. Rano mama znajdowała wstawionego tatę przy studni. Brzdękał na grzebieniu sentymentalne pieśni o górniczym Kladnie.

W tamtej okolicy mieszkali cudowni ludzie, tacy jak tułacz Bambas. Od wiosny do jesieni nie pracował, łowił ryby przy Diabelskiej Skale. Na każdy dzień miał w płóciennym woreczku przygotowanych pięć kostek cukru z zimowych miesięcy, w których jako tako pracował. Jego życie mnie oczarowało i nawet w latach późniejszych, kiedy wszyscy chcieli zostać pisarzami lub inżynierami na budowach komunizmu, ja chciałem zostać Bambasem. Spał w rozpadającej się chatce i przykrywał się wyleniałym futrem jelenia. Potrafił doskonale łowić ryby na wszystkie dozwolone, a przede wszystkim niedozwolone sposoby. Mama nie lubiła, gdy spędzałem czas z Bambasem, bo bała się, że sprowadzi mnie on na złą drogę. Niestety to mu się nie udało.

Ale wróćmy do mojego taty i do nas. Po jednej z takich prześpiewanych nocy tata został zmuszony do znalezienia spokojnego, sielskiego domku. Wpakował nas więc na szkuner i popłynął pod Branow, do miejsca zwanego Łęgiem. Tam, w domku przewoźnika Karola Proszka (wąsik miał dokładnie taki jak Adolf Hitler), znaleźliśmy dach nad głową na długie lata. Były tam prawdziwy piec chlebowy, w piwnicy mleko i masło z maślanką, w obórce krowa, na zboczu ziemniaki, w lesie prawdziwki, a w wodzie, którą widzieliśmy przez okno, stada ryb. To był ten raj, o którym kiedyś śpiewał pan Werich, a później pan Matuška, i nawet morze piwa dało się kupić w knajpce przy skrzyżowaniu, zwanej „Annam".

Dzięki zaradności i ciężkiej pracy Karola Proszka oraz pieniądzom mojego taty domek w mig stał się najbogatszym domostwem w Łęgu. W piwnicy chłodziły się kamionkowe garnki z rybami marynowanymi w occie i cebuli, a gdy te ryby się z nich wyciągało, zalewa ściekała między palcami i odrywały się pyszne kawałki, aż się człowiekowi uginały kolana i łokcie, takie to było dobre. Były tam też gary z zamarynowaną sarniną i wisiały warkocze kiełbasek od pana Maceszki, stały kanki ze śmietaną i konwie z mlekiem. I piekło się chleb i ciasta. Tata kupił nam oryginalną angielską gałę, graliśmy przed domem w piłkę nożną, a w oknie naszego pokoiku stał gramofon na korbę. Kiedy się go nakręciło, grał:

Za kierownicą wciąż przed siebie,
Cel jest w oddali,
Niebezpieczeństwa tysiąca mil pokonamy
Dzięki nerwom ze stali.

Sarninę Karol Proszek zdobywał w jakiś tajemniczy sposób w krzywoklackich lasach. Przez wiele lat nikt nie miał pojęcia, jak on to robi. Lecz w Proszku od urodzenia krążyła kłusownicza krew. Już jego dziadek zasłynął zakładem, że przewiezie w południe największą sarnę z krzywoklackich lasów tuż obok posterunku żandarmerii – i rzeczywiście zrobił to, w trumnie, na karawanie. Innym znów razem jego mama podczas inspekcji żandarmów kołysała sarnę w kołysce. Kiedy rozniosła się wieść o tych dwóch upokorzeniach, funkcjonariusze stali się na Proszków bardzo cięci i Karol wiedział, że już sobie w lasach nie postrzela, więc zamienił strzelbę na wędkę.

Na sarny mój przyszywany wujek Proszek, dla mnie ciekawszy niż wszyscy prawdziwi wujkowie, znalazł inny sposób. Od rolnika Nowaka załatwił sobie szczenię wilczura i nadał mu imię Holan, po słynnej praskiej

firmie spedycyjnej. Bo Holan był tak silny, że mógłby samodzielnie przesuwać meble. Miał potężną klatkę piersiową, silne nogi i olbrzymią paszczę, w dodatku nos wystawał mu nad pyskiem, a ślepia miał żółte i inteligentne, lecz za tymi oczami skrywało się coś jeszcze. To były wilcze oczy. Po prostu w gałęziach jego drzewa genealogicznego coś się wydarzyło i Holan tak właściwie był wilkiem. Już jako szczenięca kulka, ledwo trzymająca się na nogach i wytrzeszczająca oczy, zabijał kwoki. Ciągle hau i hau. Grrrr i grrrr. A przede wszystkim kłapnięcie, szarpnięcie i śmierć. To później. Dlatego rolnik Nowak chętnie się go pozbył. A był to dokładnie taki pies, jakiego potrzebował wujek Proszek.

Zaganiał mu gęsi do domu, a tę, którą wujek Proszek wskazywał mu przed jarmarkiem, pożerał z rozkoszą. Sprowadzał krowę i kury z pastwisk. Rano Proszek znajdował na progu chaty martwe szczury lub tchórze, a zagryzione, milczące zwierzęta leżały ułożone w rządku jak kury na grzędzie. Kiedyś widzieliśmy, jak Holan walczył z silnym lisem niosącym do lasu skradzioną kaczkę. Holan dogonił go na zboczu i rzucił mu się do gardła. Ale lis był zaprawiony w bojach. Przez godzinę wokół latały kudły i tryskała krew. Miotające się kłębowisko przemieściło się o kilometr w stronę rzeki, gdzie w końcu Holan, który potrafił łapać pstrągi, tak długo trzymał lisa pod wodą, aż ten się utopił.

Między wujkiem Proszkiem i psem Holanem rodziła się przyjaźń, jakiej nie widziałem nigdy nawet między ludźmi. Z miłości do Proszka Holan skakał do wody. Zawsze kiedy Proszek nie chciał go ze sobą zabrać na drugą stronę rzeki, gdy woda była wzburzona i mętna lub gdy płynęły po niej kry, Holan rzucał się w nurt i płynął za swoim panem.

Tam, po drugiej stronie, w knajpce „Annam" pan popijał piwo, a jeszcze chętniej rum, a Holan czekał bez ruchu na zewnątrz całymi godzinami, z głową i oczami zwróconymi ku drzwiom. A trzeba dodać, że wstawiony

Proszek zawsze był zły. Kiedy wreszcie wychodził, bluzgał na psa i rzucał w niego grudkami z pola i kamieniami z drogi, a Holan biegł za nim w bezpiecznej odległości. Proszek klął na hipotekę swojej chatki, wykrzykiwał też wyzwiska na mojego tatę. Potem jego drobniutka żona Karolina przewoziła go wraz ze skomlącym psem do Łęgu, a Proszek kładł się na trawie pod wielką, piękną akacją, w której kwiatach bzyczały wiosną pszczoły i trzmiele, i spał tam jak w bajce. Natomiast Holan, nocny tułacz, nigdy niewidujący swojego pana śpiącego w łóżku, nie rozumiał tego i zawsze myślał, że on umiera, więc wył i popłakiwał. Po jakimś czasie zawsze kładł się panu na kolanach, przykładał pysk do jego nosa, a kiedy wyczuwał oddech, też usypiał. Gdy się budzili, Proszek mówił do Holana: „Durne bydlę" i schodził do piwnicy po kwaśne ogórki marynowane w occie i koprze.

Nazajutrz znów spulchniał motyką kamieniste poletka, a Karolina znosiła ciężkie naręcza trawy i chrustu z odległej o kilka kilometrów łąki nazywanej Brtwą. I tak wyglądało ich życie. Ale nie tylko tak…

Nad wysepką rzeczną wznosiło się zbocze, a było to zbocze szczególne, bez kamieni, tylko z kępkami wysokiej, giętkiej trawy wśród rosłych dębów. Pasły się tu dzikie zwierzęta i biegały tędy do rzeki, żeby się napić. Właściwie był to piękny ogród czy park zamkowy, ale oprócz tego również ogród śmierci. Mógłby się nazywać: Śmierć pięknych saren.

Jakiś czas wcześniej Karol Proszek podszedł do Holana, ujął jego psią głowę w dłonie, zwrócił ją w stronę brązowej kropki i powiedział:

– Holan, bierz!

I Holan, wczoraj jeszcze szczenię, pognał, jakby polował od zawsze. Złapał wiatr, dzięki czemu sarna go nie wyczuła, i biegł lekko niczym babie lato. Z początku skakał, a jego łapy zmieniły się w nadmuchiwane poduszeczki, natomiast ostatnich kilkadziesiąt metrów szedł przykulony.

Potem zaczął się czołgać. W końcu zaatakował, a w odróżnieniu od sarny miał błyskawiczny start, co okazało się najważniejsze. Sprzyjał mu również moment zaskoczenia. Sarna zabeczała, ruszyła, ale za późno. Holan przez kilka chwil mknął u jej boku, potem skoczył jej na szyję, powalił ją na ziemię dwukrotnie większą wagą i złamał jej kark. Potężnym pyskiem dodatkowo przegryzł tętnicę szyjną. Zanim Proszek doszedł do sarny, już nie żyła. Rozegrało się to cicho, dęby milczały, wyżej, nad zboczem, przechodzili akurat gajowi, licząc drzewa do wywiezienia, a gajówka tonęła w słońcu.

Proszek wcisnął sarnę do wielkiego plecaka, w stodole ją oprawił i spalił wszystko oprócz mięsa. Tego mięsa wystarczyło im na miesiąc, a gdy miesiąc minął, żywili się ziemniaczkami wydzieranymi motyką z kamienistego poletka. Ci ludzie nie potrafili patrzeć na to inaczej. Skrywała się w tym wszystkim również żądza przygód, choć nie nazywali tego tak jak ludzie z miasta.

A co wydarzyło się potem? Otóż potem leśniczy i gajowi zaczęli liczyć oprócz drzew również sarny i nie mogli się ich doliczyć. Przypomnieli sobie o kłusowniku Proszku, wybrali się do Łęgu, a gdy ujrzeli tam Holana, w mig zrozumieli. Proszek przewoził leśniczego Nowotnego i jego pomocnika przez rzekę, a Holan akurat gonił za czymś po zboczu. Nowotny powiedział bez ogródek:

– Ten pies to kłusownik, panie Proszek.

– A gdzież tam, panie leśniczy. On się tak tylko bawi.

– Niech mi pan nie wciska kitu! Tropi zwierzynę. Już coś zwęszył.

– Gwizdnę, a zanim dopłyniemy, będzie na nas czekać na brzegu.

Proszek puścił żerdź, gwizdnął na palcach i beztrosko płynął dalej. Przybił do brzegu pod tę piękną akację, a Holan już tam stał i merdał ogonem. Proszek powiedział do niego:

– A gdzie krówka? Przyprowadź ją do domu!

Holan potrząsnął głową i pobiegł na zbocze, a potem dalej, na pole. Nowotny go obserwował.

– Nie, to nie kłusownik. To dobry pies, panie Proszek.

Od tamtego dnia panował tam pod tym względem beztroski raj. Z gramofonu Odeon leciała piosenka Tysiąc mil, gotowała się sarnina na śmietanie z knedlami oraz wszystkie te miejscowe branowskie potrawy, na przykład ziemniaki z kluskami, czyli tak zwany węglarz, bułeczki z maślaną polewą zwaną kalinka czy placki kartoflane z piekarnika, znane tu jako bum. Boże święty, jakież to były pyszności! Ale nagle wszystko się skończyło, bo przyszedł były starszy szeregowy Adolf Hitler, noszący pod nosem taki sam wąsik jak mój ukochany wujek Karol Proszek.

W Łęgu nie mieli jeszcze wówczas radiowęzła, więc nad domkami walił w bęben Karol Kowarzyk, policjant z gminy, z austriacką czapką na głowie, były szewc, głuchy jak dwa pnie, porządnie sfatygowany przez życie. Grał niebieskimi pałeczkami na czerwonym bębenku, a kiedy skończył, żebrał od nas, chłopaków:

– Daj mi koronę!

Zazwyczaj tata podawał mi monetę, ja dawałem ją Kowarzykowi, a on tak bardzo się z tego cieszył, że szedł przez las do odległego Kourzymca i do Emilowny, po drodze walił pałeczkami w czerwony bębenek, a sarny i jelenie już go znały i zbiegały się wzdłuż drogi, żeby go zobaczyć, bo wiedziały, że z tego hałasu wynika tylko dobro. Dopiero pod koniec życia Kowarzyk chyba zbzikował, bo podobno chodził po lesie i wołał do dzikich zwierząt, żeby też dały mu koronę. A gdy nadszedł ten Adolf Hitler, pan Kowarzyk wybębnił i wykrzyczał:

– Podaje się do wiadomości, że w tym kraju został powołany protektorat Böhmen und Mähren.

Tatę bardzo przybiło to, że nie może jeździć do Krzywoklatu, bo gdyby nie nasza mama, której bał się tylko odrobinę mniej niż Adolfa Hitlera, na pewno by tam pojechał. W trzecim roku wojny wezwano do obozów koncentracyjnych moich braci Hugona i Jurka, a tata wówczas powiedział:

– Chłopaki muszą się przed wyjazdem porządnie najeść. Mięsa. Przywiozę jakieś ryby.

Tata mógł jeździć na rowerze tylko do pracy, nie wolno mu było bez pozwolenia opuszczać miejsca zamieszkania, a ryb to już w ogóle nie mógł łowić, bo nie mieszkał na riwierze, tylko w protektoracie, otoczony czujnymi żołnierzami i gestapo. Odwiedził więc swojego dobrego kolegę, doktora Gwidona Jarząbka, a on wystawił mu zaświadczenie o niezdolności do pracy z powodu choroby. Gwidon nie miał pojęcia, że tata wybiera się na weekend pod zamek Krzywoklat.

Tata wyszedł z naszego busztiehradzkiego domu nr 54 bez gwiazdy, odpruł ją i wcisnął do kieszeni, ułożył na tandemie plecak, worki i składany sadz na węgorze. Mama się złościła, i to bardzo.

Była jeszcze noc, gdy tata jechał przez Żehrowice i Lany, a drogę oświetlały mu inne gwiazdy niż ta w kieszeni, z napisem JUDE. Na szosie w Lanach zatrzymał się na kilka sekund przed cmentarzem, zdjął czapkę i pokłonił się w ten sposób panu Masarykowi. Potem najróżniejsze myśli kotłowały mu się w głowie, również takie, jaki ten świat jest pokręcony i popieprzony, że niedawno jeździł tędy swoim amerykańskim buickiem jak panisko, a teraz przemyka się przy zboczu na rozklekotanym rowerze jak biedny Żyd. Potem zjechał po serpentynach, wprowadził tandem pod górę nad Wiśniową, a następnie pedałował wzdłuż rzeki Berounki, gdzie piana zbierała się w szczupaczej toni jak przed laty i huczała również tak samo jak wtedy, a w tym upale już pełzały po jezdni żmije. Pojawiła się piękna Willa Czecha, młyn i pobielona chatka Proszka z dwoma oknami

i czerwonym dachem, przyciągała mojego tatę jak magnes i dojechałby aż do niej i do tej kwitnącej akurat akacji, gdyby między nim a tą chatką nie płynęła rzeka. Był tam już wcześniej ze sto razy, lecz teraz domek wydał mu się najpiękniejszy, niczym zamek, pałac czy coś w tym rodzaju; coś, czego nie da się nawet opisać. Nie wiedział, dlaczego tak jest, ale było tak dlatego, że długo jej nie widział, że napocił się na rowerze, żeby tam dotrzeć, i że przez kilka lat tłumił w sobie strach przed przyjazdem. Pedałowanie to coś zupełnie innego niż siedzenie na tyłku w wygodnym buicku. A to, że tata widział teraz tę chatkę, oznaczało, że wciąż tam stoi i że pewnie będzie stać, kiedy Niemców już tu nie będzie, zatem przetrwa to również Karol Proszek, a może także my, Żydzi, pół-Żydzi i ćwierć-Żydzi.

Tata siadł na miedzy, wciąż patrzył na chatkę i krzyknął:

– Przewóz!

W innych czasach wszyscy wybiegaliśmy w takiej sytuacji na podwórze, rzucaliśmy pod igłę Tysiąc mil, a mama wbiegała tak, jak stała, w sukience, do rzeki, żeby było wesoło. Jurek, który kopał najlepiej z nas, na cześć powrotu taty wykopywał wysoko w powietrze tę żółtą angielską gałę, my zaczynaliśmy krzyczeć, a Holan szczekał jak szalony. Po prostu euforia.

Lecz tym razem w chatce panowała cisza, jakby gdzieś w pobliżu już mordowano. Po chwili stanął na progu tylko mężczyzna w kapeluszu, a do niego dołączył duży pies. Proszek wypłynął łódką na drugą stronę, a gdy powoli poznawał tatę, rozjaśniał się jak słońce. Po raz pierwszy w życiu się ucałowali.

Tata nie spał u Proszka. Odstawił tylko rower do stodoły i wziął na wysepkę słomę żytnią, położył się na niej tej nocy i przykrył się gumowym płaszczem. Karol przyniósł mu na śniadanie mleko, masło, chleb i świeże

bułki z makiem od pani Karoliny. Tata mącił wodę i łapał malutkie kiełbiki na duże węgorze, przygotowywał żyłki i składany sadz. Rolnicy w Busztiehradzie obiecali, że za węgorze dadzą mu mięso i smalec ze świniobicia. Tyle że noce były akurat jasne, czyli złe. Księżyc świecił mocno, jak dla poetów, a węgorze, te nocne drapieżniki, bały się i nie żerowały. Tata wpadał w rozpacz, całymi nocami nie spał i nabijał na haczyki rybki i dżdżownice. Lecz rano świeciły pustkami, a tata bił się po głowie i przeklinał zasrany świat. Karol obserwował, jak gotuje w kociołku knedle z malinami, i powiedział:

– Niech się pan nie zadręcza. Zawiezie pan mąkę i masło!

– Karolu, ja potrzebuję dla swoich chłopaków mięsa. Muszą jeszcze raz porządnie najeść się mięsa.

– Panie Leonie, mięsa nie mam, musiałbym dla pana zabić krowę. Ale jeśli pan chce, to zabiję dziś tę naszą krasulkę.

Wówczas tata wyrzucił z siebie coś, co prawdopodobnie przyszło mu do głowy już w domu, a czego nie wyjawił mamie, ale przyjechał tu przede wszystkim po to:

– Karolu, przynieś mi sarnę.

To była prośba, a jednocześnie rozkaz.

Karol odparł:

– Odkąd pojawiły się szkopy, nie chodzę z Holanem do lasu. Pomyśli pan, że jestem mięczakiem, ale ja mam sześcioro dzieci. A za kłusownictwo grozi teraz kara śmierci.

– Rozumiem, Karolu. Pożyczysz mi Holana?

– Nie wiem, czy z panem pójdzie. Jeszcze nigdy nie szedł z nikim obcym.

– Ze mną pójdzie.

– Jeśli pójdzie, to pożyczę.

– Przyjdę po niego, Karolu, kiedy nadejdzie właściwy moment.

Karol oddalił się przygarbiony, ta sytuacja była dla niego nie do zniesienia.

Tata rozłożył w trzcinach gumowy płaszcz, położył się na nim i obserwował zbocze przez teatralną lornetkę babci. Minął dzień, drugi. Sarna nie nadchodziła. Tata pił z kanki mleko, które przynosił mu Proszek. Ale nie rozmawiali, jakby wyrósł między nimi mur.

– Przyszła?

– Nie przyszła.

Tylko tyle.

Nadszedł ostatni dzień, w którym mogła się pojawić. Nazajutrz tata musiał wracać. Leżał w trzcinach i przyciskał małą lornetkę do zaczerwienionych oczu, aż płynęły z nich łzy zmęczenia i wściekłości. Przyroda sprzysięgła się przeciw Żydowi: te jasne księżycowe noce, te nocne węże wodne, a teraz również las z cichymi dębami, w których nie pojawia się nawet wiewiórka. Po południu tata usnął, czapka osunęła mu się na potylicę, lornetka babci Malwiny spadła w trzcinę. Gdy się obudził, było popołudnie, takie późne popołudnie, kiedy owady już gdzieś odlatują, krowy zagania się z łąki do domu, a ryby zaczynają żerować. Tata przetarł oczy. Naprzeciw, na zboczu, całkiem blisko, pasła się sarna, najwyraźniej zesłał ją tam w ostatniej chwili żydowski Bóg. Tata chwycił lornetkę i zaczął się przyglądać. Piękne poroże, piękniejsze niż wszystkie, które widział przed wojną w zamku Krzywoklat. Ta sarna była wręcz boska. Masywna głowa spoczywała na silnej, niemal jeleniej szyi, a całe zwierzę płonęło nietypową rudozłotą barwą, jakby wyszło z rozżarzonego piekła, a nie od samego Pana Boga.

Tata prawie się utopił w bagnistej zatoczce, gdy pośpiesznie przedzierał się na ląd. Pod chatkę dobiegł zasapany i brudny.

Proszek go przywitał:

– Co pan wyprawiał?

– Karolu, gdzie Holan? Tam jest fantastyczna sztuka, sarna jak cielę.

– Na pańskim miejscu nie robiłbym tego. Po południu szli tędy Niemcy w stronę gajówki. Spora grupa. Mieli na szyjach małe karabiny maszynowe.

– Mówiłeś, że pożyczysz mi psa.

– Jeśli z panem pójdzie. Holan!

Holan wyczołgał się spod drewna. Stanął i patrzył na Proszka.

– Pójdziesz z nim i będziesz robić, co ci każe! Rozumiesz?

A do taty:

– Ujmie pan jego głowę w dłonie i powie pan: Holan, bierz! Nic więcej nie musi pan robić.

Proszek wrócił do chatki i zamknął za sobą drzwi, żeby Holan zrozumiał, że ma teraz innego pana.

Pies usiadł i przyglądał się tacie ociekającemu błotem. Nigdy wcześniej nie widział takiego straszydła. Potem go rozpoznał, pomerdał ogonem, wstał, a tata myślał, że już wszystko załatwione. Ale mylił się. Holan znów usiadł i czekał, aż tata rzuci mu, jak to miał w zwyczaju, kilka praskich serdelków.

– Holan, za mną. Przecież pamiętasz te serdelki, które ci woziłem. Chodź, przyjacielu.

Holan siedział, mrugał oczami i wciąż przyglądał się mojemu tacie. Było jasne, że nigdzie z nim nie pójdzie, nigdy nie chodził z obcymi. Mój tata prosił go tak, jak nie prosił nigdy nikogo, lecz na próżno. Mówił: „Holan, Holaneczku", ale na nic się to nie zdało. Potem tatę zaczęła ogarniać rozpacz i znalazł się na skraju stanu zwanego szaleństwem.

Wyciągnął z kieszeni tę małą płócienną gwiazdę z napisem JUDE, pokazał ją Holanowi i zaczął krzyczeć:

– Teraz jestem Żydem i nie mam żadnych serdelków. Mnie też by się one przydały. Jestem Żydem i potrzebuję mięsa dla moich cudownych chłopaków, a ty musisz je dla mnie zdobyć!

Łzy popłynęły mu z oczu, obrócił się i ruszył ku dróżce prowadzącej na wysepkę, klnąc na Proszka i na Holana. Postanowił iść przed siebie, już nigdy nawet nie spojrzeć na tę białą chatkę, spakować płaszcz, narzędzia i wrócić do domu z pustymi rękami. Lecz na początku dróżki jednak nie wytrzymał i się odwrócił.

Oczy psa i człowieka się spotkały. Wpatrywały się w siebie nawzajem długo, jak przez całe stulecia, światło w nich gasło i rozpalało się, a co ci dwaj sobie w ten sposób mówili, tego nikt się nie dowie, ponieważ obaj już nie żyją, a nawet gdyby żyli, i tak nikt by się nie dowiedział, bo oni sami tego nie wiedzieli. Może narzekali na pieskie życie, może na żydowskie, ale to tylko domysły. Holan wstał, przeciągnął się i leniwie ruszył jak zwykły pies przewoźnika za moim tatą, tak jakby od zawsze należał do niego. Na dróżce zmienił się w wilka.

Mój tata szedł wzdłuż rzeki w stronę zbocza, na którym pasła się sarna, a trzy kroki przed nim kroczył Holan. Tata miał za sobą wiele polowań, ale teraz było to coś zupełnie innego niż strzelanie, nawet to mistrzowskie, ponieważ tata nauczył się strzelać w Afryce, gdzie nie mieli nic do roboty i strzelali przez cały czas. Kiedyś pod Bakowem ustrzelił dwoma nabojami z dubeltówki dwie słonki, które latają zygzakiem nisko nad ziemią. Wówczas podszedł do niego mistrz kraju w strzelaniu, architekt Kostrba, wyjął z kapelusza pióro sójki i mu je podał. Tata szedł po zboczu, a oczami wyobraźni widział przed sobą Niemców. Siedzieli na kłodach przed śnieżnobiałą gajówką, kroili sztyletami boczek i popijali go sznapsem.

Śmiali się, na ich kolanach leżały żelazne karabiny maszynowe, a nagle zmienili się w ukraińskich kozaków i polskich żołdaków i wyrywali Żydom włosy z głów i z bród. Tata wiedział, że jeśli go złapią, to go pobiją i rozstrzelają, a potem wrzucą do rzeki. Popłynie obok tych miejsc, które dla niego były najpiękniejsze na świecie, a pod skałą Szymów zahaczy się o wielki czarny głaz i tam wlezą weń węgorze, które wyżrą wnętrzności, serce i mózg, odpłacając się w ten sposób za to, że wyciągał je z ich najpiękniejszej rzeki na świecie.

Do wysepki było już niedaleko. Kilka grabów, następnie skupisko cienkich brzóz z liśćmi w kolorze mokradła, a potem już dęby. Pies się zatrzymał. Dojrzał sarnę.

Jeszcze mogli zawrócić, Holan by usłuchał. Ale tata ujął jego głowę w dłonie i wyszeptał te mordercze słowa:

– Holan, bierz!

I Holan pognał. Obrał kierunek i niemal unosił się między dębami. Potem biegł przykulony, a na ostatnich metrach zniknął tacie z oczu, czołgał się w wysokiej trawie. Tata zapomniał o ostrożności oraz o tym, że może spłoszyć sarnę, i kroczył zafascynowany coraz dalej i dalej. Potem dostrzegł atakującego psa i usłyszał szczeknięcie sarny. Holan nie polował od kilku lat i pierwsze podejście okazało się nieudane. Skoczył sarnie na grzbiet i zsunął się po jej zadzie. Mój tata oparł się o dąb, już nie miał siły iść ani działać. Obserwował ten spektakl, cichy, lecz zbyt głośny jak na las. Zwierzęta sapały, osypywało się zbocze, trzaskały stare gałęzie, a w koronach dębów krzyczały ptaki. Sarna była potężniejsza, niż wydawało się z wyspy. Zmierzała podskokami ku rzece niczym wyrzucana przez mocną sprężynę. Około dwudziestu metrów od brzegu Holan zaatakował po raz drugi i ostatni. Sarna zrobiła fikołka jak zając dobrze trafiony śrutem. Ale wciąż żyła. Walka trwała, oba ciała koziołkowały ze

zbocza, a zielona trawa późnej wiosny barwiła się krwią. Nad rzeką sarna leżała, a Holan nad nią stał. Mój tata był spocony od stóp do głów. Odszedł od dębu i chciał ruszyć ku wodzie, lecz nagle ujrzał dwóch mężczyzn odganiających psa. Zaczął się trząść, znów przypomnieli mu się ci niemieccy strzelcy, którzy już chyba nie siedzą przy śnieżnobiałej gajówce. Ale ci dwaj to byli wędkarze, na plecach nieśli wędki tak, jak inni noszą strzelby. Odgonili psa, wyciągnęli noże i zaczęli z jakąś dziwną oczywistością oprawiać sarnę, jakby należała do nich. Holan wrócił z uszami po sobie, jakby dostał porządne lanie. W jego oczach malowało się poczucie winy.

Wrócili smutni do chatki przewoźnika. Karol Proszek zobaczył pusty plecak taty i przywitał ich niemal z radością.

– Rogacza już nie było? Zwiał?

Tata opowiedział, co zaszło. Wujek Proszek nie zniósłby, gdyby ktoś zwinął mu rybę z haczyka, a co dopiero sarnę. Potem pojął, że już za daleko zaszło to, z czym na początku nie chciał mieć nic wspólnego, a w końcu i tak został w to wmieszany. Powiedział:

– Niech pan mnie dobrze posłucha! Pan pójdzie po tej ścieżce górą, a ja niżej, tak jakbyśmy czegoś szukali. Tylko szybko. Psa zostawimy tutaj.

Szli, niemal biegli, a przy tym zboczu martwych saren Proszek zaczął krzyczeć:

– Panie nadleśniczy, to było tu!

A tata odpowiedział jak kiepski aktor teatru amatorskiego:

– Rzeczywiście, chyba gdzieś tutaj.

Potem usłyszeli głośne tupanie. Ujrzeli dwóch wędkarzy uciekających w górę rzeki, w stronę „Agenta" i prądów, w których zazwyczaj dobrze brały brzany i dało się przebrodzić na drugą stronę, a później uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Proszek podszedł do sarny. Była już wypatroszona, oprawiona, obłożona świerkowymi gałązkami jak w sklepie z dziczyzną, najwyraźniej zajęli się nią fachowcy. Nieopodal leżała głowa z zamkniętymi oczami. Proszek jeszcze spojrzał za wędkarzami i powiedział:

– Bardzo dziękujemy, chłopcy.

Wcisnęli sarnę do plecaka, a wówczas w lesie rozległy się pierwsze strzały. Niemcy rozpoczęli polowanie. Tata i Proszek biegli po ścieżce, na przemian taszcząc plecak. W chatce ukryli go na strychu, a tata spędził tę ostatnią noc na wysepce. Nie spał, obserwował milczące gwiazdy i jasny księżyc, wzdłuż wysepki płynęła rzeka, gdzieś w pobliżu polowała wydra, a tata się cieszył, że tam jest i że wszystko udało się tak, jak zaplanował.

Przed świtem wyruszył w drogę powrotną. Biedny Proszek zdobył gdzieś dla niego sto papierosów na drogę. Na tandemie tata wiózł mąkę, masło i ciasto, a w plecaku sarnę. Głowę z parostkami zostawił u Proszka. Mozolnie wjechał pod górę, a potem mknął po serpentynach do miasteczka Krzywoklat. W miasteczku roiło się od Niemców. Tacie puściły nerwy i zamierzał porzucić rower, ale jedna kobieta zwróciła mu uwagę:

– Proszę pana, pan jest cały we krwi.

Ta Czeszka, której nazwiska tata nie znał, zaprowadziła go do swojego domu, wraz z mężem przepakowała sarnę, zrobiła mojemu tacie kawę, żeby posilił się przed dalszą drogą, i sprała mu plamy z płaszcza. A potem mój zaradny tata pojechał dalej, już trochę spokojniejszy, bo po tym, co przeżył w krzywoklackim lesie i teraz, wiedział, że dziś i jutro też będzie mieć fart i że nic mu się nie stanie. Wracał więc jak z wycieczki, a kiedy po brzasku minęło go obojętnie pancerne auto Wehrmachtu, tata zaczął sobie podśpiewywać piosenki legionowe, także tę nieprzyzwoitą niemiecką:

Der Elefant von Indien,

Der kann das Loch nicht finden.

Zaczynało się lato i było pięknie, kwiaty opadały już z czereśni, spadały kwiaty z grusz i jabłoni i zaczynały się zawiązywać owoce w tym trzecim roku wojny.

Do Busztiehradu tata dotarł po południu, a sarna została sprawiedliwie podzielona. Jeden udziec daliśmy Blahowi, bo traktował nas podczas wojny bardzo dobrze, jeden trafił do gospodarstwa Burgrów, oni traktowali nas jeszcze lepiej, a resztę mama zamarynowała w takim pięknym kamionkowym naczyniu i zrobiła moim braciom Hugonowi i Jerzemu swoje dania popisowe: mięso w sosie i befsztyki. Chłopcy objadali się na kolejne lata, żeby przetrwać Terezin, Oświęcim, Mauthausen, pochody śmierci w trzydziestostopniowym mrozie i noszenie kamieni po schodach Mauthausen w trzydziestostopniowym upale, a także wszystkie pozostałe rozkoszne rozrywki, które zgotowali im nasi szacowni sąsiedzi Niemcy. Hugo wrócił w dość dobrej formie. Natomiast kiedy Jurek przyjechał z Mauthausen, ważył czterdzieści kilo i przez pół roku umierał z głodu i cierpienia, zanim znów zaczął żyć. W Mauthausen jadł nawet zupy z ludzkim mięsem. Nigdy mi o tym nie opowiadał, tylko raz, a kiedy rozmawialiśmy o tej sarnie, powiedział:

– Możliwe, że ta sarna uratowała mi wtedy życie. Może dzięki tym ostatnim kawałkom porządnego mięsa udało mi się to wszystko przetrwać.

Wujek Proszek spreparował głowę tej sarny i powiesił ją nad drzwiami swojej śnieżnobiałej chatki. Zrobił to, chociaż było to wbrew jego zasadom. Leśniczym wmówił, że te piękne parostki dostał z Alp. A swoim dzieciom i wnukom opowiadał, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, polowanie na tę sarnę było dużo niebezpieczniejsze niż polowania na afrykańskie drapieżniki. I obiecywał, że kiedyś im to wszystko wyjaśni. Ale

nie zdążył. Parostków z sarny też nie zaniósł na mój ukochany zamek Krzywoklat, jak obiecywał. Ktoś je ukradł, bo Holan już nie żył. A wujek zmarł po wojnie tuż po nim i nie zostało mu już na nic czasu.

Kiedy przyjechałem na pogrzeb, orkiestra na brzegu grała pieśń o wiernym przewoźniku, a wujka w dużej czarnej trumnie wkładali na jego najstarszą łódź, którą przewiózł na nezabudicki brzeg dziesiątki martwych kolegów, rozumiałem już wszystko i płakałem jak nigdy w życiu. Leżał w tej trumnie z pięknym wąsikiem pod nosem, blady jak ciotunia śmierć we własnej osobie. Przewozili go na drugą stronę, rzeka pod nami płynęła, tak jak płynie od milionów lat, i nie mogli mnie uspokoić. Byłem już wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że to pogrzeb nie tylko wujka Proszka, ale też całego mojego dzieciństwa i wszystkiego, co jest z nim związane. W tej trumnie znajdowały się także oryginalna angielska gała, zimna maślanka, marynowane ryby i sarnina, pies Holan, praskie serdelki i płyta gramofonowa Tysiąc mil.

Karpie dla Wehrmachtu

Kiedy tylko zaczęła się okupacja, mojemu tacie odebrano busztiehradzki staw.

– Pomyśl sam: czy Żyd może hodować karpie? – przekonywał tatę starosta.

Busztiehradzki dolny staw już wcześniej podbił serce mojego taty. Zakochał się w nim jak w panience (nawiasem mówiąc, w panienkach też się podkochiwał). A przecież ten staw bynajmniej nie wyglądał tak pięknie jak te stawy na południu Czech, z których unosi się para, gdzie szeleszczą szuwary i krzyczą mewy, ale był to spory staw w środku miasta, po jednej jego stronie znajdował się browar, a po drugiej stały topole, domki i chatki. Tata pływał po nim w drewnianym korycie już jako chłopiec, pływali tak po nim także jego ojciec, dziadek i pradziadek, łączyła go więc z tą wodą więź przodków (a mówiąc między nami, również to, że w tym stawie rosły smaczne karpie, nie śmierdziały mułem, a tata mógł sobie na nich dorobić do pensji obwoźnego sprzedawcy lodówek i odkurzaczy słynnej firmy Elektrolux).

W czasach pokoju tata chodził wzdłuż stawu, w papierowym woreczku trzymał bułki i karmił swoje karpie jak kury.

– Cip, cip, cip, zajadajcie, chłopaki.

Karpie przypływały, zawsze szeroko rozdziawiały pyszczki, połykały bułkę i siup! obracały się ładnie z powrotem pod wodę. Dokarmiał je również młótem z sąsiedniego browaru, a karpie okrągliły się od tego jak bułeczki. Rosły jak na drożdżach. Gdy przyszli Niemcy, wzięli je do niewoli tak jak wiele innych rzeczy. Nic innego Niemcy nie mogli nam zabrać, bo tata był mądry i już długo przed wojną mawiał, że w naszej rodzinie wszystko się zawsze przeje, przepije i przehula (mama czasem mu wyrzucała, że zazwyczaj hula sam). Ale trochę mijała się z prawdą, bo pamiętam czasy, kiedy zarabiał dużo i dawał nam wszystko, co mógł, a w spiżarni wisiały wspaniałe bażanty z pięknymi, długaśnymi ogonami i szynka, z której mogliśmy sobie codziennie odkrajać do woli. Lecz były też czasy, kiedy komornicy rekwirowali nasze meble, a my stawaliśmy na baczność. My, trzej chłopcy, stawaliśmy na baczność przy jeszcze jednej okazji, czyli wtedy, gdy z radia dobiegał hymn Gdzie jest mój dom. Pewnego razu hymn się rozległ, kiedy już usypialiśmy. Poderwaliśmy się wtedy i staliśmy na łóżkach w koszulach nocnych, a dumny tata pokazywał gościom, jak patriotycznie zostały wychowane jego dzieci.

Tata ogólnie bardzo kochał swój kraj, chyba bardziej niż nasza mama chrześcijanka, ale dla niej to, że ma ojczyznę, było czymś oczywistym, podczas gdy mój tata poszukiwał jej za pośrednictwem przodków przez całe stulecia, zanim ją odnalazł. A za ostatnie duże przedwojenne pieniądze nie zrobił zapasów jedzenia, tylko kupił oryginalne popiersie prezydenta Masaryka wykonane przez rzeźbiarza Štursę i tłumaczył zapłakanej mamie, że tak przyzwoitego i wykształconego człowieka, jakim był pan prezydent, każdy powinien mieć w domu. I to był cały nasz majątek w chwili nadejścia Niemców. Ze spakowanym popiersiem i meblami przeprowadziliśmy się na początku wojny z Pragi do Busztiehradu, gdzie było rodzinne gniazdo taty i gdzie znajdował się jego jedyny staw.

Gdy wówczas pan starosta oświadczył nam: „Zabieramy wam ten staw", tata nie zwiesił ramion, nie przygarbił się, tylko odparował: „Obyście się też łaskawie udławili ośćmi moich karpi".

Pan starosta wytrzeszczył oczy, ale nie zareagował, bo nie chciał mieć mojego taty na sumieniu.

Potem tata i moi bracia pracowali w kopalni w Kladnie, tata jeździł na rowerze, a jego rower skrzypiał po drodze i śpiewał taką dziwną piosenkę, której nie dało się zrozumieć, ale była naprawdę dziwaczna. Możliwe, że opowiadała o upodleniu i buncie człowieka. Może rower śpiewał o tym, co działo się w duszy mego taty?

A potem zaczął na tatę spadać cios za ciosem.

Wiedzieliśmy, że on wciąż chodzi nad swój staw i do swoich karpi. Chociaż mieliśmy mało chleba, tata wciąż karmił nim ryby i chyba wierzył, że podczas wojny nikt mu ich nie wyłowi i karpie doczekają szczęśliwego końca. Chodził nad staw w dzień i w nocy, był nim wręcz opętany. Pewnego razu stanął na grobli między topolami i zamarł. Na mulistym brzegu stali czterej faceci w czyściutkich zielonych mundurach, z wędkami w rękach. Zahipnotyzowany tym widokiem tata zbliżał się do nich krok po kroku, jakby chciał spytać, na cóż to sobie pozwalają nad jego stawem. Kiedy pierwszy z nich, szczupły, w wysokich butach jeździeckich, obrócił się ku niemu, tata ujrzał trupią czaszkę esesmanów i roześmianą twarz.

– A ty tu czego, Żydzie? Karpia ci się zachciewa?

Tata milczał, a trupia czaszka rozkazała:

– To chodź i go sobie weź.

Oficer wyjął karpia z wiadra i rzucił go w błoto między siebie a tatę. Karp się zapadał, skazany na pewną śmierć. Wszystkie cztery trupie czaszki się roześmiały. Potem jedna z nich przestała się śmiać i wykrzyknęła:

– Spieprzaj, Żydzie!

Mój tata się obrócił i ruszył tak samo wyprostowany jak zawsze, nigdy się nikogo nie bał i nawet Niemcy nie nauczyli go jeszcze czołgania się. Okupacja wszędzie była zła, ale w Busztiehradzie chyba odrobinę gorsza. Zagłada Lidic poruszyła cały świat. Ale Busztiehrad, mój tata, mama, bracia i ja, my widzieliśmy, jak Lidice płoną, my słyszeliśmy zza góry, jak Lidice krzyczą, chodziłem z Przygodą do szkoły, a nagle jego miejsce w ławce było rozpaczliwie puste, grywaliśmy tam w piłkę nożną, tata miał tam kolegów, Niemcy wpadali do nas na rewizje z nasadzonymi bagnetami. A mama, drobniutka, jasnowłosa, musiała potem chodzić pracować na lidickie pola i często wracała zapłakana, bo na grobach wyrastała z krwi i ciał wysoka, gęsta trawa. My nigdy nie zapomnimy o zagładzie Lidic, wgryzła się w nasze serca jak kleszcz, który zamiast szczękoczułków i nóżek ma czarną swastykę.

Tata się wtedy załamał, w jego oczach pojawił się ten przeklęty smutek, noszony przez naród żydowski od wieków.

I przestał chodzić nad staw, już nie wierzył, że kiedyś odzyska karpie.

Potem otrzymaliśmy kolejny cios. Moi bracia zostali wezwani do obozu. Zostaliśmy tylko we troje i czasem wysyłaliśmy im na specjalnych terezińskich znaczkach dwudziestokilowe paczki. Tata zdobywał pieniądze na paczki, a ja chodziłem po rolnikach w Busztiehradzie i po okolicznych wioskach, żeby zdobyć pożywienie. Byłem taki niepozorny, słaby i chudy, miałem przecież dopiero dwanaście lat, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Owszem, znaleźli się cudowni ludzie, na przykład Burgrowie czy piekarz Blaha, ale byli też inni. W zimie chodziłem od wioski do wioski z tobołkiem na plecach, pukałem przemarznięty w wielkie wrota, w jednym gospodarstwie czekałem na podwórzu dwie godziny, aż gospodyni przyniesie mi woreczek mąki. Nikt nie zapraszał mnie do środka i nie proponował białej kawy z makowcem, jak się o tym pisze, ludzie pewnie

się bali. Nigdy nie przynosiłem wiele, ale mama zawsze mnie chwaliła, głaskała po włosach i mówiła:

– Ty mój mały handlowcu.

A najbardziej się cieszyłem wtedy, gdy tu czy tam udawało mi się wyżebrać papierosa dla taty. Mama i tata siadywali wówczas naprzeciw siebie, palili na zmianę i opowiadali, jak to będzie, kiedy skończy się wojna.

Tuż przed Bożym Narodzeniem tata również został wezwany do obozu koncentracyjnego.

Wiodło się nam już wtedy kiepsko, mama płakała, że nie może mu dać nic na drogę.

Dwa dni przed odjazdem tata odśnieżał przed domem. Mieliśmy w tamtym czasie jakieś długi w gminie żydowskiej i spodziewaliśmy się w związku z tym wizyty. Przed domem zatrzymało się auto i wysiedli z niego trzej cywile, a pierwszy z nich od razu krzyknął:

– Spójrzcie na ten cud, Żyd coś robi!

– Za to pan się obija – odrzekł tata.

A on:

– Za kogo ty nas bierzesz?

Tata zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów, jeden z nich wyglądał bardzo żydowsko, więc stwierdził:

– Wyglądacie jak cała gmina żydowska razem wzięta.

Tamten mężczyzna odparł, że dość tych żartów, wyjął odznakę i oświadczył:

– Geheime Staatspolizei.

Czyli gestapo – pomyślał tata, a na głos powiedział:

– No to serwus, Kaiser.

Tym gestapowcom chyba przypadł do gustu, bo jeden z nich, z wąsikiem, zauważył:

– Widzę, że nie jest pan śmierdzącym tchórzem, więc proszę nam pokazać te ukrywane strzelby i karabiny maszynowe.

A potem przetrząsnęli nasz dom od piwnicy po strych. W pokoju stanęli jak wryci na widok obwieszonej folią cynową choinki bożonarodzeniowej w rodzinie żydowskiej, a ten z wąsikiem nawet uśmiechnął się dyskretnie do mamy. Potem weszli na strych i tam, głęboko w rogu, znaleźli pakunek z popiersiem. Kazali tacie go otworzyć.

– No proszę, bolszewik Masaryk – powiedzieli. – Znieś go na dół!

I już z tatą nie żartowali, a ten z wąsikiem już się nie uśmiechał do mamy. Tata sam musiał wyrzucić popiersie pana prezydenta przez okno na wybetonowane podwórze, a potem jeszcze kawałek po kawałku roztłuc je siekierą. Odjechali, a mama, która miała już w tym zakresie pewne doświadczenie, stwierdziła, że jednak jeszcze istnieją przyzwoici Niemcy. Ale tata tylko splunął. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że ci przyzwoici Niemcy, którzy byli u nas, wybili tego dnia w pień dwie inne rodziny żydowskie.

Potem urządziliśmy przyśpieszoną Wigilię, bo rano tata miał wyjechać. Na choince płonęły świeczki, folia cynowa mieniła się srebrzyście, a pokój pachniał lasem. Tata w sobie tylko znany sposób zdobył gdzieś dla mnie stare buty z łyżwami, bo kiedyś marzył o tym, że zostanę słynnym hokeistą. Natomiast ja załatwiłem mu od chłopaków ze szkoły dwie szkatułki papierosów na drogę do obozu. Mama z tatą wyglądali na wesołych, podśpiewywali sobie, ale robili to raczej ze względu na mnie – żeby z tego wieczoru zostały mi miłe wspomnienia. Na pewno czuli się fatalnie. Przecież to mógł być ostatni ich wspólny wieczór w całym życiu.

W nocy ktoś zaczął mną potrząsać w ciemności.

– Wstawaj, kolego, wstawaj.

Potrząsał mną tata, czasem mówił do mnie „kolego". Nie chciało mi się wychodzić spod kołdry, w pokoju było strasznie zimno. Szczękałem zębami, cały dygotałem. Ubrałem się, w sąsiedniej izbie stała mama, włożyła mi płaszcz zimowy i czapkę. Coś się działo, a ja nie miałem pojęcia co. Mama powiedziała:

– Tata czeka na ciebie na podwórzu.

Zszedłem po schodach, tata tam stał, a w ręce trzymał siekierę i worki. Obleciał mnie strach. Tata skinął na mnie głową. Kroczyłem za nim po stwardniałym śniegu, pękał nam pod nogami, trach-trach. Tata milczał i szedł w stronę stawu. Za topolami wyłonił się ten jego staw, wyglądał bajkowo, cały zamarznięty, a nad nim świecący księżyc. I wszędzie cisza. Niczym niezmącona cisza.

Tata zaczął opukiwać lód. Był coraz dalej od brzegu, lód pod jego siekierą brzmiał jak organy kościelne. Potem obrócił się do mnie.

– Karpie się duszą. Nie zrobili im przerębla.

Stanął w rozkroku i uderzył w taflę. Ten dźwięk wypełnił noc, a ja zadrżałem.

– Zrobimy ją tutaj! – zdecydował.

Stał i rąbał, a lodowa fontanna obsypywała jego ubranie i twarz. Wyrąbał kwadrat i wyciągnął go z wody. Spojrzał na mnie.

– Musimy poczekać, kolego. Za kilka minut przypłyną.

Jak zaczarowany wpatrywałem się w przejrzystą wodę, pod którą widziałem każdą nierówność dna i każdy kamyk. Woda drżała i wnikały w nią z powietrza życiodajne bąbelki, ten kwadrat wyglądał jak studzienka dla karpi-wędrowców.

Tata znał się na rzeczy. Nagle w kryształowej wodzie pojawił się ciemny, owalny cień i przepłynął między nami. Potem powrócił. Karp. I to

jaki! Wystawił z wody okrągły pyszczek i chwytał powietrze tuż pod powierzchnią. Potem przypłynął kolejny. Zachowywały się jak odurzone, wcale im nie przeszkadzało, że tam stoimy i je obserwujemy. Po kilku sekundach przerębel się nimi wypełnił i wciąż nadpływały następne. Wtedy tatę ogarnęło coś głębokiego, nieznanego, uklęknął na lodzie, podwinął rękawy i zaczął głaskać ryby po głowach i grzbietach, pieścił je i mamrotał:

– Karpiki moje. Karpiki.

Bawił się z nimi, a one przypływały do jego dłoni jak dzieci, w blasku księżyca złote i srebrne, lśniły jak święte, nigdy później nie widziałem już takich karpi. Tata przesuwał je rękami, podnosił i wpuszczał z powrotem, wciąż coś przy tym pomrukując.

Potem wstał, księżyc świecił mu prosto w twarz, a tata miał taką zadowoloną minę. Podszedł do worków i wyciągnął schowany podbierak. Wziął jeden worek, ruszył w stronę przerębla i wyłowił pierwszego karpia. Dopiero teraz wszystko zrozumiałem i ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie. Pociągnąłem tatę za rękaw.

– Tato, chodź już. Jak nas złapią, to zabiją.

Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, a dziś wiem, że gdyby go wtedy złapali i zabili tam na miejscu, byłoby mu to całkowicie obojętne. Nie mógł odejść i zostawić Niemcom swoich karpi.

Już nie pieścił się z rybami. Wkładał je do worków, nosiliśmy je do domu, a mama rozkładała je do różnych naczyń. Nasz dom od piwnicy po strych wypełniał się wodą. Karpie pływały w wiadrach, w wannie, w kadziach, w starych końskich korytach w stajni.

Nad ranem, kiedy księżyc już przestawał świecić, a mróz narastał, byliśmy przemarznięci do szpiku kości, a mama zdrapywała nam z pleców lód od mokrych worków. Ale staw opróżniliśmy, karpie przeprowadziły się do swojego właściciela. Tak właściwie to tata ukradł własne karpie.

Rano odprowadziliśmy tatę na autobus do Pragi. W ręce trzymał walizeczkę i po raz pierwszy zwiesił ramiona. Lecz w moich oczach bardzo urósł tej nocy.

Jeszcze tego samego dnia ja i mama zaczęliśmy wymieniać ze sprzedawcami i z rolnikami nasze ryby na inne jedzenie. Przed Bożym Narodzeniem karpie otwierały mi bramy i wrota nawet tych najpilniej strzeżonych twierdz. Kiedy otwierałem torbę i pokazywałem olbrzymie, brzuchate okazy, gospodynie piszczały z zachwytu, a mój zimny pokoik wypełniał się smalcem, wędzonym mięsem, mąką, bochnami białego chleba, cukrem i paczkami papierosów. Kilkakrotnie zostałem też zaproszony do stołu, na którym stała biała kawa i świąteczna chałka, już nie czekałem długo przed bramą, tylko witano mnie jak króla, któremu karpie utorowały drogę do wielkiego świata. To było moje najobfitsze wojenne Boże Narodzenie.

A w kolejnym roku zorganizowano wyłów tego dolnego busztiehradzkiego stawu. Wśród rybaków pojawiały się mundury Wehrmachtu, karpie miały zostać zarekwirowane przez niemieckie siły zbrojne.

Stałem z innymi chłopakami na grobli i czekałem, co z tego wyniknie.

Na początku było bardzo hucznie, na grobli grała amatorska orkiestra dęta i wszystko wyglądało niezwykle obiecująco. Ale staw okazał się pusty i nikt nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. A ja wówczas pomyślałem, że ta muzyka tak właściwie gra tylko na cześć mojego taty, który z gwiazdą Dawida na płaszczu przechytrzył Niemców.

Jak rywalizowaliśmy z Wilkami

Po wojnie przyjechaliśmy do Łęgu. Wujek Proszek przywitał się z nami i od razu zagaił:

– Coś wam powiem. Roi się tu od szczupaków. Już nie buszują tuż pod powierzchnią tak jak kiedyś, więc wędkarze nie mają o nich pojęcia.

Wybrałem się więc z tatą łódką na szczupaki.

Łowienie szczupaków na bombkę, czyli na spławik niemal tak duży jak jajko, jest stosunkowo proste, ale ekscytujące. Godzinami czeka się, aż ten duży spławik się zanurzy, a kiedy wreszcie znika pod wodą, człowiek zaczyna drżeć albo się pocić, bo jest szansa, że nie bierze żaden drobiazg, tylko ryba ważąca od jednego do piętnastu kilogramów.

Złowiliśmy tego pierwszego dnia osiem szczupaków. Rozniosło się to po okolicy, tak jak kiedy ktoś znajdzie prawdziwki lub czerwone borówki. Zjechało się mnóstwo wędkarzy. Lecz wówczas od Skryi aż do Branowa rzeka Berounka była prawdziwym szczupaczym rajem. Tata złowił ich podczas urlopu ponad sto, ja sześćdziesiąt cztery. Niektóre były porządne – wtedy jeszcze nie było zbyt dużo tytoniu ani jedzenia, więc na pewno były porządne, skoro krzywoklacki rzeźnik dał mi za jednego szczupaka prawie dwa kilo smalcu ze skwarkami, a krzywoklacki trafikant za inny okaz – sto papierosów dla mamy, która kopciła jak lokomotywa. Owszem, po jakimś

czasie uwolniliśmy tę rzekę od drapieżnych szczupaków, a prawdę mówiąc: niemal doszczętnie ją splądrowaliśmy. W wodzie ostały się tylko większe, sprytne szczupaki i te malutkie chudziny, szczupacze dzieci, których nikt przy zdrowych zmysłach nie wziąłby do domu.

To w tamtym czasie doszło pewnego dnia do nieoficjalnych zawodów między rodziną Wilków z Łęgu i naszą rodzinką, której drużyna składała się przede wszystkim z taty i ze mnie. Wujek Proszek nie mógł do nas dołączyć, bo coś mu akurat dolegało. U Wilków wędkowali głównie Adolf i Franek, obaj pracowali na kolei. Adolf w parowozowni, a Franek dojeżdżał pociągiem na praski Smíchow do księgowości. Przez trzydzieści trzy lata chodził na pociąg, lato czy zima, dziesięć kilometrów na piechotę! Coś niesamowitego! W te wszystkie mrozy, zawieje, ulewy… To było jedno z największych sportowych osiągnięć, trwało przez całe dekady. Przecież w tej okolicy mnóstwo jest lasów, wądołów, wzgórz i wąskich ścieżek. Zawsze myślałem, że Wilkowie nas nie lubią, ale po latach, szczególnie kiedy przestaliśmy u nich łowić ryby, okazało się, że nas lubią, tylko wkurzaliśmy ich jako prażanie, ciągle wchodzący im w drogę, a właściwie w rzekę.

I żebym nie zapomniał: Adolf miał i wciąż ma w tym Łęgu piękną żonę Marię, która bardzo mi się podobała, gdy byłem szesnastolatkiem. Na górze miała wszystko na swoim miejscu, a to się liczy. I z tymi właśnie Wilkami rozpoczęliśmy zawody, wtedy to chyba jeszcze nie były zawody socjalistyczne, bo komuniści jeszcze nie byli przy władzy.

Wiedzieliśmy, że Wilkowie są świetnymi wędkarzami. Znali tę rzekę od małego, wiedzieli, w których miejscach jest głęboka, umieli odgadnąć, gdzie poleguje zapomniany szczupak i czeka na ofiarę, spędzali nad wodą tyle czasu, że wiedzieli, gdzie jest wzburzona, a gdzie spokojna. Łapali na przynętę ciągniętą po dnie i byli w tym dobrzy, potrafili zwabić nawet

przejedzone szczupaki. Ale to nie robiło na moim tacie żadnego wrażenia i pewny siebie wszędzie rozpowiadał, że pokażemy im, jak się łowi.

Wyruszyliśmy przed świtem, popłynęliśmy aż do łąki Brtwy, gdzie wiły się najpiękniejsze szczupacze zakola i tonie, ale trudno się tam wtedy wędkowało, wszędzie rosły wysokie pokrzywy i trawa. Właściwie to już nie było wędkowanie, tylko harówka. Po południu tata powiedział:

– Kończymy. – I dodał: – Dziś skopaliśmy Wilkom tyłki.

Jakoś niezbyt mnie te słowa przekonały. Złowiliśmy trzy szczupaki, ale tylko o jednym można by powiedzieć, że jest spory, pozostałe dwa nie były ani duże, ani małe. Takie średnie. Płynęliśmy łodzią w dół rzeki do przystani i obaj się zastanawialiśmy, co złowili tego dnia Adolf i Franek.

Kiedy wyszliśmy na brzeg pod akacją, tata rozkazał stanowczo:

– Idź pożyczyć wózek!

Zdębiałem. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

– Po co nam wózek, tato?

Mojemu tacie nie można było się zbytnio sprzeciwiać.

– Idź po wózek, mówię! Nasze szczupaki powieziemy dziś w wózku – odparł nieustępliwie, a potem półgłosem, jakby sam trochę w to nie wierzył, dodał: – Są ciężkie.

No więc poszedłem po wózek. Był to taki miniaturowy wóz drabiniasty z kratkami, ale na tyle duży, że tych szczupaków prawie nie było w nim widać. Największą z ryb tata ułożył tak, żeby wystawał jej z tyłu ogon. Nie wiem, z czego zrodził się we mnie wtedy ten bunt, ale oświadczyłem rezolutnie:

– Ja nie będę ciągnąć tego wózka. A już na pewno nie przez Łęg.

Właściwie prawie to wykrzyczałem i pomyślałem o pani Marii, która na pewno akurat stałaby przy drzwiach, kiedy przechodzilibyśmy obok.

Tata spojrzał na mnie, nad czymś się zastanawiał, może nad tym, czy spuścić mi lanie, albo nad tym, czy wyjąć te szczupaki z wózka. Widziałem, jak jego głębokie oczy błądzą po okolicznych zboczach, a on jak większość ojców, szczególnie żydowskich, próbuje zrozumieć, za co życie pokarało go żoną, a za co dziećmi. Potem podszedł do mnie, podał mi wędki, a sam chwycił za wózek. Wózek kołysał się i podskakiwał na kamienistej dróżce między domkami Łęgu. Ta droga nigdy nie wydawała mi się tak krótka jak właśnie wtedy. Wręcz pędziliśmy z tym wózkiem, choć pragnąłem, żebyśmy do domu Adolfa Wilka szli przez cały wiek, a jeśli nie, to chociaż przez całe życie. W rzeczywistości szliśmy bardzo powoli, bo kiedy mój tata ujrzał z daleka wędkarzy Adolfa i Franka, to pomimo całej jego odwagi ugięły się pod nim kolana.

Podjechaliśmy pod ich ładny domek.

Ja wpatrywałem się tylko w panią Marię, która – tak jak przewidywałem – stała na progu w wyprasowanym białym gorseciku z rękami założonymi pod piersiami. Jej mina wyrażała pogardę i to mną wstrząsnęło. Kiedy oprzytomniałem, mój wzrok spoczął na ich trzepaku.

Na pręcie wisiało pięć szczupaków. Dużych. Trzy pochodziły z rodu pięknych, królewskich, długich zielonych szczupaków, a dwa żółtawe były grube, jakby specjalnie dla Wilków wykarmił je wodnik spod skały Szymów.

W tej samej chwili tata się potknął, prawie upadł, zatrzymał się, słyszałem jego głęboki oddech. Nie wiem, jak długo tam staliśmy. Cisza, niezmącona cisza, właściwie nie trzeba było mówić. Potem tata spojrzał na mnie i wysapał:

– Pomóż mi, są ciężkie.

Zrobiło mi się go żal. Z pewnością wózek naprawdę stał się dla niego nagle wielkim ciężarem. Nie sprzeciwiałem się, przestałem myśleć o pani

Marii, położyłem wędki na wózku i pchałem go z Łęgu pod górę. Przecież jesteśmy rodziną i musimy trzymać się razem. Szliśmy ze zwieszonymi głowami, dobrze wiedząc, że Wilkowie bez słowa, jak to mówił tata, skopali nam tyłki.

Kwestia owadów rozwiązana

Po drugiej wojnie światowej interesy taty nie szły tak dobrze jak przedtem. Największy szok przeżył, kiedy zgłosił się do słynnej firmy Elektrolux. Włożył swój najmniej znoszony garnitur (brązowy w jasne prążki), a w klapę wpiął nowiutką odznakę komunistyczną dla świeżo upieczonych komunistów. Kiedy panowie zobaczyli tatę z tą odznaką, oczywiście od razu go wyrzucili.

Tata się wściekł. Złoty zegarek MOVADO, nagrodę za mistrzostwo świata, wyrzucił do kosza (na papier), a złoty medal mistrza świata – przez okno. Zegarek wyciągnęliśmy, medalu szukaliśmy na ulicy Strossmayera do późna w nocy, ale na próżno.

Mama płakała, a tata zapewniał nas, że w innej firmie zarobi pieniędzy jak lodu, a potem zaczął w kółko powtarzać jedyne zdanie, jakie znał z propagandy komunistycznej: „nie ma na świecie twierdzy, której nie mogliby zdobyć bolszewicy".

Rzucił się w wir powojennego handlu, ale niezbyt mu się wiodło. Był już za stary, by oczarowywać młode kobiety, a przecież to one kupują najchętniej. Stracił chyba również część swojego dawnego uroku, a dodatkowe piętno odcisnęły na nim przeżycia z czasów wojny, z wyjazdu do Afryki i z kolejnej wojny: z obozu koncentracyjnego. Chciał wzbić się

w powietrze, ale wciąż podskakiwał w miejscu jak motyl z uszkodzonymi skrzydłami.

Żył przeszłością. Wspominał, jak przed wojną wracał do domu i roześmiany zaścielał nasz okrągły stół banknotami stukoronowymi. Rzeczywiście, był w tym dobry jak cyrkowiec, upuszczał te banknoty znad głowy albo przyklejał je dłonią do blatu. Mama wydawała z siebie okrzyki podziwu i klaskała, a my, chłopcy, staliśmy z rozdziawionymi ustami. Wprawdzie po tych sztuczkach zazwyczaj odbywało się też drugie i trzecie przedstawienie, których tata nie lubił wspominać: kiedy wyciągał od mamy pieniądze z powrotem dla siebie, ale to znamy tylko z opowiadań, więc w naszej pamięci pozostał tylko tata z pierwszego aktu.

Kiedy tak wspominał to po raz setny, mama powtórzyła:

– Leoszku, to już przeszłość. Niestety…

Tata westchnął, a nazajutrz rzucił się – jak to mówią obwoźni sprzedawcy – w wir pracy. A my, jego najbliższa rodzina, nagle pojęliśmy, że jego zmęczenie życiem to bzdura. Kipiał energią. Tyle że nie mógł handlować towarem, który by był godzien jego zapału i umiejętności. W tym tkwił problem! Po wojnie nie było dobrych produktów, „sam szmelc i barachło" – jak powiedziałaby nasza babcia Popper z Busztiehradu, zagazowana później przez Niemców w Oświęcimiu.

Sprzedawał więc unowocześnione sprzączki do szelek, maści na świerzb i skrzyneczki reklamowe, one schodziły najlepiej. W skrzyneczce przesuwał się dziurkowany pasek, światło wnikało przez dziurki do środka i można było przeczytać, w jakie słowa układają się te dziurki. Na przykład:

POŃCZOCHY CERUJEMY W TRZY TYGODNIE BUTY
NAPRAWIAMY W TRZY MIESIĄCE
(nie dziwcie się, było po wojnie)

Te skrzyneczki schodziły nieźle, ale i tak nie był to bynajmniej rozchwytywany towar. Na odpowiedni produkt nasz tata czekał przez całe dwa lata, tak jak pustynia czeka na deszcz lub biedak na szczęście. Tata też czekał na szczęście i zawsze się uśmiechał, gdy o nim mówił.

Aż wreszcie pewnego dnia (brzmi to niemal jak bajka) szczęście się do nas uśmiechnęło. Nadeszło dziwnie, niespodziewanie, tak to już ze szczęściem bywa. Tata nie wrócił z pracy wniebowzięty, raczej skruszony. Powiedział:

– Herminko, skończyłem z tymi skrzyneczkami.

Mama czekała, aż wydusi z siebie coś więcej.

– Przyszedł do mnie inżynier Igiełka. Ma najlepszy produkt na świecie. Zostanę milionerem.

Mama nie rzuciła się tacie na szyję, tylko od razu spytała o najważniejsze:

– Co będziesz sprzedawać?

Tata z lekkim uśmiechem odparł:

– Lep na muchy.

Mama pobladła. Po szwedzkich lodówkach i odkurzaczach, po niemieckich sprzączkach do szelek i czeskiej maści na świerzb odebrała to jako całkowitą degradację, tak jakby z gwiazdkowego generała zrobili szeregowca. Lecz oprócz tego pobladnięcia nie dała po sobie nic poznać, przeżyła z naszym tatą niejedno i mało co mogłoby ją jeszcze zaskoczyć. Ale spytała złośliwie:

– A kiedy dokładnie zostaniesz tym milionerem?

– Za jakiś rok. Bo posłuchaj. To nie jest zwykły lep. – Tata się zamyślił. – Jest wyjątkowy.

– W czym wyjątkowy?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale tak mówił ten inżynier. Że to bomba na skalę światową. Zalejemy nim Czechosłowację! – A kiedy tata mówił, oczy trochę mu się rozjaśniły i dodał: – I Europę. A może nawet cały świat.

– I ty w to wierzysz? – spytała mama.

Tata milczał, a jego oczy na powrót zgasły.

– Ty wierzysz, że na muchach można zarobić milion? – nie odpuszczała mama.

– Herminko, pan inżynier Igiełka ukląkł przede mną i powiedział, że jeśli mu tego nie sprzedam, to palnie sobie w łeb. Zainwestował w produkcję fortunę.

– Obyś ty nie musiał sobie palnąć w łeb – odparła sceptycznie mama.

Lecz pomimo licznych ostrzeżeń mamy przed tym tajemniczym lepem tata udał się do jaskini much, czyli siedziby firmy Dersol. Firma składała się z wysokiego inżyniera Wacława Igiełki z krzaczastymi brwiami, chudego kierowcy Franka Hodka – męża cudownej Polki, w której potem zakochał się mój starszy brat, auta DKW 600, dwóch dużych pomieszczeń, kilku mebli i jednego przepięknego dywanu z domu pani Igiełkowej, która pożyczyła go tutaj, życząc mężowi, żeby biznes dobrze się kręcił.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił mój tata, by ów biznes rozkręcić, było natychmiastowe sprzedanie tego perskiego dywanu. Pan inżynier niemal zemdlał, gdy się dowiedział, że tata wraz z zachwyconym kierowcą Hodkiem wynieśli dywan na barkach (do DKW dywan się nie zmieścił, taki był duży). Pan inżynier położył sobie mokry ręcznik na głowę, ale nie odważył się nic powiedzieć, żeby tata od niego nie odszedł. Sprzedaż dywanu okazała się jednak podwójnie korzystna: inżynier Igiełka z miejsca przekonał się na własnej skórze, jak świetnie mój tata potrafi sprzedawać, a ponadto od razu pojawiły się pierwsze pieniądze.

Tyle że wiadomo: lep na muchy to nie dywan. Lepu nikt nie kupował. Kolejne partie produkcyjne gromadziły się w magazynie jak niepotrzebna broń. Leżały tam w pudłach setki tysięcy sztuk, piętrzyły się od podłogi aż po sufit niczym kolumny doryckie, zapełniały halę od lewej strony do prawej i z góry na dół. Tata przyglądał się tym ilościom i kręciło mu się od nich w głowie. A jednocześnie obserwował pana Igiełkę, marszczącego gęste brwi i opowiadającego o cudownych właściwościach lepu. A mój tata, sam niezwykle kochliwy, w mig pojął, że pan inżynier również jest zakochany – w swoim lepie na muchy o dźwięcznej nazwie Bomba-Chemik. Pieścił się z nim jak z dzieckiem. A było to dziecko wyjątkowe, bo przecież miało mu przynieść sławę i fortunę, a dzieci zazwyczaj tego nie przynoszą. Kiedy pan inżynier mówił o lepie, jego głos nabierał szczególnej barwy, takiej, którą ludzie opowiadają o swoich ulubieńcach z boisk lub torów wyścigowych. I chyba pobrzmiewała w tym głosie również złowieszcza nuta, może strach, że pan inżynier będzie musiał się zastrzelić, jeśli tata tego lepu nie sprzeda. A może była to nadzieja, że zostanie milionerem, jeśli jednak sprzeda?

– Co pan myśli o nazwie Bomba-Chemik? – zapytał z dumą.

Tata odpowiedział pytaniem:

– Ile pan ich sprzedał?

– Ani jednego – odparł smutno pan inżynier.

Może i pan Igiełka nie był handlowcem, ale rozumiał, że musi zarazić swoim zapałem mojego tatę. Powiedział więc, że jeszcze przed wojną biwakował tydzień na Szumawie. Biegał nago po polanach i próbował znaleźć skuteczny środek na muchy, smarował się olejkiem z kminku i anyżu. Wprawdzie drwale chcieli go zawieźć do wariatkowa, ale wszystko im wyjaśnił. Jego badania przynosiły obiecujące wyniki. Tyle że wynalazek

Szwajcara Müllera przygasił ambicje pana inżyniera. Odkrycie Müllera to był przełom. Po całym świecie krążyły telegramy:

WYNALEZIONO DDT
KWESTIA OWADÓW ROZWIĄZANA

– Od tego czasu ukazały się tysiące artykułów prasowych i publikacji na ten temat. A przecież nawet jedna milionowa grama tego proszku jest toksyczna – twierdził inżynier.

A potem wziął swój lep na muchy i po raz pierwszy rozłożył go przy moim tacie. Lep rozciągał się jak mały akordeon, który nigdy nie wyda z siebie żadnego dźwięku, ale wygląda jak bezlitosny morderca. Był to pasek zwykłego papieru nasączonego: miodem (zwabia muchy), żółtą farbą (też zwabia), proszkiem DDT (zabija).

– Ten lep wygląda estetycznie aż do chwili, gdy w danym pomieszczeniu pokryje się kurzem. Czyli długo, panie Popper. Bardzo długo.

Tata zbladł, okazało się bowiem, że ów lep wcale nie był lepem. On się nie lepił! A zatem jego właściciel nie mógł obserwować przyklejonych much wymachujących nóżkami i dokonujących swego muszego żywota. I to był feler, olbrzymi feler. Cholera, fatalnie – pomyślał mój tata. Ponadto według pana inżyniera muchy po kontakcie z lepem przejawiają wzmożoną aktywność i gorączkowo poszukują ucieczki z pomieszczenia. A to już gwóźdź do trumny. Ludzie chcą oglądać śmierć swoich wrogów na własne oczy, więc muchy nie powinny odlatywać i umierać w ukryciu. Ludziom jest obojętne, czy to jest estetyczne czy nieestetyczne, a wielu wręcz delektuje się widokiem much zdychających na lepie. Przecież już nasi przodkowie z upodobaniem chodzili na egzekucje osób im bliskich i dalekich.

– Pana to wszystko smuci, prawda? – spytał inżynier i też posmutniał.

I tak siedzieli nad milionem lepów, które może i były lepsze i bardziej estetyczne niż normalne lepy, ale nikt nie potrafił wytłumaczyć tego ludzkości. Jakiś czas później tata dowiedział się, że pan inżynier Igiełka wypróbował przed nim aż ośmiu innych przedstawicieli handlowych, ale żaden z nich nie podołał zadaniu.

Przez głowę mojego taty przelatywały tysiące myśli. Przede wszystkim jak zawsze użalał się nad sobą, że nie zostanie milionerem, choć wszystko zaczęło się tak obiecująco od sprzedaży dywanu perskiego. A potem uświadomił sobie, że trujące pułapki na muchy są nowością na rynku, a to zawsze sprzyja sprzedaży, nawet bardzo, bo wszyscy o tym mówią i tak dalej. W pomieszczeniu zapadał zmrok, ale w głowie taty się rozjaśniało. Działo się tak również dlatego, że tata zrozumiał, iż cała ta sytuacja jest jego ostatnią szansą na sukces, tak jak piłkarz ma szansę zabłysnąć w ostatnim ważnym meczu, nawet jeśli wydaje się on niezwykle trudny. A poza tym tata wstydził się stanąć przed naszą mamą, przyznać jej rację i powiedzieć, że żadnych milionów nie będzie, a inżynier Igiełka palnie sobie w łeb. Pana inżyniera też zrobiło się tacie żal, bo siedział obok na skrzyni z lepami, a twarz skrył w dłoniach, jakby zamierzał się zastrzelić już lada chwila. Gdy tata się nachylił, by poklepać go po ramieniu, i ujrzał to smutne szare oblicze, powiedział prosto i jasno:

– Sprzedamy te lepy.

Na inżyniera Igiełkę te słowa podziałały jak balsam. Nazajutrz zorganizował wyprawę na wieś, pojechali tam on i mój tata, a wiózł ich kierowca Hodek autem DKW. Rano rozwiesili w wielkiej końskiej stajni pełnej much sto Bomb-Chemików i przez cały dzień siedzieli przed stajnią i popijali piwo. Kiedy w południe tata poszedł sprawdzić, czy muchy znikają, kopnął go koń, bo tata chciał pokazać woźnicom i personelowi

firmy Dersol, jak doskonale potrafi się obchodzić z tymi szlachetnymi zwierzętami.

Wieczorem kulejący i trochę wstawiony tata ujrzał cud: stajnię bez much! Wprawdzie nigdzie nie leżał ani jeden trupek, ale muchy zniknęły, pewnie postanowiły umrzeć na jakimś nieznanym cmentarzysku, tak jak kiedyś robiły to mamuty. Tata zacierał ręce. Był drugim człowiekiem, zaraz po inżynierze Igiełce, który dał się złapać na lep na muchy. Na razie było ich tylko dwóch, jak rycerz Don Kichot i jego wierny sługa Sancho Pansa.

To, co wydarzyło się później, należy raczej do sfery czarów niż biznesu. Pan inżynier mianował mojego tatę dyrektorem firmy Dersol. Miała więc trzech pracowników: szefa, dyrektora i kierowcę, nie licząc oczywiście kobiet produkujących chałupniczo pułapki na muchy. Tata przyszedł do domu i z dumą poinformował nas o swoim awansie, mama tego nie skomentowała, wiedziała swoje. Wciąż uważała lep na muchy Bomba-Chemik za straszny szmelc.

Sprzedaż całkowicie zaprzątała tatę. Działo się to wiosną, w praskich parkach kwitły tulipany, na wsiach bez, a much jeszcze nie latało zbyt dużo. Tata sprzedawał tak, jakby miały się już nigdy nie pojawić. Był wspaniały. Sugestywny. Raz zabrał mnie ze sobą na spotkanie z handlowcami. Przymknął swoje piękne piwne oczy, uśmiechnął się, machnął ręką, odegnał wątpliwości, ludzie nie zwracali nawet uwagi na to, co on mówi i oferuje, wiedzieli tylko jedno: ten towar jest świetny, trzeba go kupić. Niektórzy handlowcy naprawdę nie mieli pojęcia, co kupują. Natomiast innym mój tata wbił do głowy zdanie, które usłyszał od pana inżyniera: KWESTIA OWADÓW ROZWIĄZANA. Ta praca pochłonęła tatę bez reszty. To już nie była rola, którą chciał grać. Porwał go prąd wydarzeń. A jednocześnie kryło się w tym coś fantastycznego: przecież sprzedawał coś na kształt chleba, którego nie można od razu zjeść, lub ubrań, których

nie można od razu nosić. Czasem rozpakowywał lep, balansował z nim na jednej nodze jak cyrkowiec, innym znów razem wcale go nie wyjmował, rozmawiał o pogodzie, o pięknych kobietach w Hamburgu i zdobywał dużo większe zamówienie niż wcześniej. Nie rozumiałem tylko jednego: dlaczego handlowcy zamawiali tak duże dostawy, choć nie potrafili sprzedać tego towaru ludziom tak, jak potrafiłby to zrobić mój tata. Ale tacie było to obojętne. On przyszedł na świat, żeby sprzedawać, tak jak tysiące lat temu na świat przychodził wojownik, żeby zabijać. Po powrocie z pierwszego wyjazdu służbowego z kierowcą Hodkiem wyrywał z księgi zleceń kolejne zamówienia i układał je na biurku jak niegdyś w domu banknoty stukoronowe. Inżynier Igiełka prawie zemdlał.

A zatem Bomba-Chemik wybuchła, na razie w Czechach, a działo obsługiwał mój tata.

Lepy rozwożono samochodami i dostarczano pocztą. Magazyn szybko pustoszał.

Tata znów wracał do domu tak jak przed wojną, przynosił duże bukiety róż i mieczyków, rzucał na okrągły stolik setki koron, tryskał humorem, a nasza mama nareszcie się uśmiechała i mówiła, że te lepy muszą być całkiem niezłe i że kiedy w lecie te muszyska zaczną latać, rozwiesimy w pokojach. Tata miał teraz forsy jak lodu, zaczął budować domek letniskowy przy zaporze na Wełtawie, koło Wranego, nie, to nie był domek, to był taki mały zamek z łukami i już z daleka wszyscy widzieli, że jest olbrzymi i naprawdę piękny. Na tę wysoką skałę wnosiliśmy w koszykach ziemię, a tata sadził tam jagody i agrest.

Najlepiej powodziło się jednak inżynierowi Igiełce. Przeżywał to, co zazwyczaj przeżywa się tylko raz w życiu. Upajał się niczym dowódca, który po pierwszej zwycięskiej bitwie planuje podbój całego świata. Na

początek kupił mapę Europy, powiesił ją na ścianie i obliczał, ile lepów wystrzeli do poszczególnych krajów jego generał Popper.

Pierwsze zostały zdobyte Czechy.

Leżały u stóp mojego taty, podbił je, na ich mapie tkwiły w każdym mieście i miasteczku wbite czerwone flagi oznaczające, że tego a tego dnia dyrektor firmy Dersol Leon Popper pokonał tam lepkie pułapki na muchy (tata zawsze powtarzał, że zdobędzie wszystkie twierdze). W zaledwie dwa miesiące podbił Czechy i zarobił dla pana inżyniera milion koron. Dzięki temu obaj mogliby zostać takimi malutkimi milionerami, ale inżynier Igiełka brawurowo przepuścił tę fortunę. Od angielskiej firmy Morgan-Korda zamówił mnóstwo DDT, więc przez kanał La Manche płynęły do Pragi dziesiątki beczek morderczego proszku. Kupił też amerykańskiego forda do rozwożenia lepów (palił trzydzieści pięć litrów na sto kilometrów), zatrudnił dziesiątki kobiet do produkcji, zakupił też tony drogiego miodu, papieru i farb.

Nadeszła kolej na podbicie Moraw.

Tacie nie chciało się wtedy jechać na Morawy, bo pod naszym nowym domkiem letniskowym zaczynały akurat brać leszcze. Miały małe pyszczki, pływały srebrno-czarne w wodzie i smakowały wybornie na smalcu z kminkiem. Może i brzmi to idyllicznie, lecz zawsze kiedy te bestie zaczynały brać, oznaczało to dla naszej rodziny katastrofę. Tata bowiem zazwyczaj przestawał wówczas pracować.

– Na Morawy pojedziesz ty – oświadczył mi, a inżyniera Igiełkę poinformował, że jestem handlowcem, który przywiezie z Moraw największe zamówienie. To z kolei przekona naszych największych praskich kontrahentów, że na Morawach też pójdzie z tymi lepami jak z płatka, więc wezmą od nas kolejne partie towaru. Gdyby sprzedał je tam

dyrektor firmy, nie byliby przekonani. Może i tata miał trochę racji, ale przede wszystkim miał chrapkę na leszcze wielkie jak łopaty.

Nie wiem, na jakiej podstawie tata uwierzył w moje zdolności handlowe, nigdy w życiu niczego nie sprzedałem, tylko raz podczas wojny jedenaście tomów Tarzana, które dostałem od kuzyna, Karola Pokrzywy, a mama spuściła mi za to lanie biczem na psy i dołożyła jeszcze za kilka innych wybryków, głównie za to, że nie nałapałem w stawie żab dla kaczek. Byłem przerażony tym handlowaniem, za nic nie potrafiłbym poczynać sobie tak odważnie jak tata ani opowiadać w wieku osiemnastu lat o pięknych kobietach w Hamburgu, ale tata próbował przegonić ten mój strach na różne sposoby. Zamówił mi u krawca ekspresowe szycie nowego niebieskiego garnituru i bilet lotniczy Praga–Brno. Potem wcisnął mi w dłoń książkę Amerykanina Dale'a Carnegiego Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi i powiedział, że znajdę w niej wszystko, co będzie mi potrzebne. Wprawdzie wiele lat później wygadał się, że jej nie czytał, ale dla mnie w samolocie ta książka stała się ostatnią deską ratunku. Trzymałem się jej tak kurczowo, że aż zarzygałem ją podczas turbulencji nad czechosłowacką Wysoczyzną.

W Brnie podczas wizyty w hurtowni dzierżyłem plecak z książką Dale'a Carnegiego i myślałem o jednej z jego rad: zawsze się uśmiechaj! Inna dobra rada, jaką zapamiętałem, zalecała pochwalenie jakiegoś niezwykłego przedmiotu w biurze rozmówcy. A zatem gdy stanąłem przed starszym panem z wąsikiem, nie zacząłem mówić od razu o lepach, tylko uśmiechałem się od ucha do ucha (jak idiota) i rozglądałem w poszukiwaniu odpowiedniego przedmiotu do pochwalenia. Uznałem, że mogą to być meble, więc powiedziałem temu panu, że ma wspaniałe dębowe meble. Mężczyzna strasznie się wkurzył i odparł, że to jest akurat świerk, w dodatku koszmarny, a te meble wcisnęła mu tam żona, żeby

pozbyć się ich z domu, więc jeśli nie mam do powiedzenia nic ciekawszego, to lepiej, żebym się stamtąd zabierał. A zatem się zabrałem, nie odważywszy się wspomnieć choćby słowem o lepach Bomba-Chemik.

W drugiej hurtowni postanowiłem milczeć i się nie uśmiechać, choć tam również meble wydawały mi się dębowe i również piękne. I oto stała się rzecz niezwykła, tamten pan, białowłosy, o oczach błękitnych jak niezapominajki, od początku się do mnie uśmiechał, mówił, że mam piękną skórę i że piękny ze mnie chłopiec. Rozmawialiśmy na wiele różnych tematów, a potem on powiedział, że chciałby mnie mieć za syna, i spytał, czy spędzę u niego noc. Zrozumiałem, że woli chłopców niż dziewczyny, więc zacząłem się wykręcać, że muszę wracać do Pragi. Ale pozwoliłem się dotykać, pozwoliłem głaskać się po włosach, bo nie potrafiłem sobie wyobrazić smutku mojego taty, gdy wrócę z pustymi rękami. Skończyło się to wspaniale. Ten pan zamówił pięćdziesiąt tysięcy lepów Bomba-Chemik, a ja wyszedłem przed wieczorem. To było prawie tyle, ile potrzebowała firma Dersol, by udowodnić, że jej lepy można sprzedawać nawet w tak pięknym i wiernym tradycjom regionie jak Morawy.

Tata był wniebowzięty, jego oczy błyszczały jak po alkoholu i powtarzał mamie z dumą, że kiedyś zostanę najlepszym przedstawicielem handlowym na świecie oraz jednym z najbogatszych ludzi na kuli ziemskiej (niestety się to nie sprawdziło).

Pamiętam do dziś, jak wielki był to wówczas sukces. Do Brna jechały ciężarówki ozdobione po bokach wielkimi napisami ŚMIERĆ MUCHOM! Drukarnie drukowały ulotki o nowych lepach. Mój tata już nacieszył się leszczami i znów poczuł chęć do pracy.

Tak to wyglądało w czasach, gdy poległy Morawy.

Poległyby również kolejne kraje, może nawet Związek Radziecki i Monako, ale stało się to:

ZACZĘŁY LATAĆ MUCHY.

Pojawiły się wszędzie i było ich wyjątkowo dużo. Wówczas w równie świetny sposób, w jaki sprzedawał lepy mój tata, powinni zacząć je sprzedawać także handlowcy. Ale czyż handlowcy mogli się uśmiechać, balansować na jednej nodze, stroić przekonujące miny i opowiadać o cudownych właściwościach lepu? Oni zazwyczaj mówili po prostu:

– Przysłali nam w tym roku coś takiego. Ponoć to działa.

Tysiące kobiet przyniosły do domów Bombę-Chemika i dopiero tam się zorientowały, że ten lep nie jest lepki. A muchy po kontakcie z żółtym papierem latają jak oszalałe. Nikt nie widział, że giną. Cóż z tego, że nagle zniknęły? Może wywiał je przeciąg? Przecież drzwi są otwarte.

– Oddaję to dziadostwo. Niech mi pan da jakiś porządny lep na muchy!

I tak jak w morzu fala dokądś dociera, a potem powraca, tak również ta fala dobiła do naszych uroczych klientek i powracała do firmy Dersol. Tyle że tym razem chodziło o falę ogromną, zalewającą całe wybrzeże. Mój nieszczęsny tata siedział akurat na brzegu i to w jego ręce trafił pierwszy telegram ostrzegawczy, gdy pan inżynier Igiełka szukał na słowackiej ziemi najlepszego z najlepszych miodów.

PANIE POPPER. MUCHY NIE ZDYCHAJĄ.
ONE OD TEGO ROSNĄ!
NIECH PAN SOBIE WSADZI W DUPĘ TAKI CUD!

Po tym telegramie przychodziły następne, a potem listy, a zanim szef wrócił z miodem, zaczęły się pojawiać przesyłki z lepem od klientów nieoczekujących nawet zwrotu pieniędzy. Równie szybko jak magazyn wcześniej pustoszał, teraz się zapełniał. Lepy wpychały się jak żywe drzwiami i oknami, ale nie było nikogo, kto by je układał lub powstrzymał, sterty rosły bez ładu i składu, a tata siedział na krześle i bezsilnie kiwał

głową. Nie wierzył w to, nie chciał w to uwierzyć, stwierdził tylko, że to na pewno pomyłka. Wszystkim odpisze, wszystko im wyjaśni, a oni jeszcze będą prosić, żeby odesłać im te lepy z powrotem. Tata chodził po biurze i rozdawał uśmiechy, ale tak naprawdę płakał. Wiedział, że musi okłamywać sam siebie, bo w przeciwnym razie sięgnie po rewolwer. Jako żołnierz rozumiał, że bitwa została przegrana. Jako porządny generał wyjął flagi ze wszystkich miejsc, w których pokonał tradycyjny lep, włożył je do pudełka i przewiązał różową kokardką od którejś ze swoich kochanek. Potem wziął jeden lep Bomba-Chemik i powiedział do pana inżyniera:

– To na pamiątkę. Było pięknie.

Szedł wzdłuż nabrzeża do domu, patrzył na fale Wełtawy i myślał, że naprawdę było pięknie, tak jak piłkarz lub wojownik myślą o bitwie, która została przegrana, ale była piękna. Wspominał te chwile, gdy wracał do domu z bukietami kwiatów i pieniędzmi, gdy tryskał humorem, a także ile ekscytacji przyniosła mu sprzedaż tak trudnego towaru. Szedł i wciąż się uśmiechał, jak ludzie, których przelotnie spotkało szczęście i nie potrafią o nim zapomnieć. Dopiero przed drzwiami, jak to się mówi, zrzedła mu mina, bo w domu czekała mama, i to akurat na pieniądze. Tata wszedł i żeby mieć to za sobą, już na progu powiedział:

– Herminko, nie będzie już żadnych pieniędzy. Miałaś rację. Rzuciłem to. To szmelc.

W ten sposób wytrącił mamie z ręki wszystkie argumenty i było po sprawie. Lecz później zrozumieliśmy, że jednak nie jest po sprawie i że to bynajmniej jeszcze nie koniec. Od tamtej pory tata był przybity jak bokser w ringu po ciężkim nokaucie. Wstydził się, bał się spojrzeć ludziom w oczy, gdy coś im oferował, ta klęska złamała jego serce handlowca.

Później mój cudowny tata wysłał mnie jeszcze do pana Igiełki po jakąś dopłatę. Po dwóch dniach poszukiwań znalazłem pana inżyniera na

wysypisku pod Radotinem, siedział obok wagonu swoich lepów, palił je i coś do siebie mamrotał.

Lepy pięknie płonęły, zabójczy proszek DDT gdzieś się z nich ulotnił, a nad żółtawym paleniskiem unosiła się słodkawa woń słowackiego miodu. Wabiła muchy z całej okolicy, więc zlatywały się i tańczyły chmarami zwycięski taniec nad płonącymi lepami Bomba-Chemik.

Kilka lat później ponownie spotkałem pana inżyniera. Już nie był taki wysoki, przygarbił się. Wykrzyknął do mnie:

– A nie mówiłem! To hit. Produkują je Holendrzy i nazywają się Fly Killer. Wie pan, co znaczy Fly Killer? Zabójca much. Sprzedają je już w całej Europie.

I wyciągnął ten holenderski lep, miał go na podorędziu, był podobny do naszego jak dwie krople wody, z tą różnicą, że na opakowaniu nie wybuchała bomba, tylko leżała olbrzymia, ohydna mucha przebita białą strzałą.

– A jak się pan ma, panie inżynierze? – spytałem (żeby zmienić temat), ale to był błąd.

Uśmiechnął się smutno, machnął ręką, łzy napłynęły mu do oczu i szybko odszedł w swoją stronę.

A ja po tym spotkaniu czułem nieodpartą chęć, by pobiec do taty i powiedzieć mu, że nie sprzedawał szmelcu. Może postawiłoby go to na nogi. Ale nie miałem już dokąd biec. Chyba że w górę, do Pana Boga, a tam już raczej nie trzeba niczego sprzedawać. I pewnie nie latają tam muchy. A jeśli latają i trzeba sprzedawać, to tata i tak już o tym wie. I rzucił się tam w wir pracy.

Prosiaka nie będzie

Tatę znów ciągnęło do pracy na roli. Tyle że nie miał już stawów, a w nich karpi, tylko pole pod Hrzebcem, a na nim pszenicę. Pozostał mu domek letniskowy, pod którym łowił leszcze, ale one pewnego dnia zniknęły i nadszedł kres wędkowania.

Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Vrané, pan Łozówka, spytał tatę, czy chciałby u niego karmić prosięta. Tata się ożywił.

– Nareszcie piękna i porządna praca. Zbiję tam fortunę. – Mamie zaś powiedział: – Jeśli chcesz, zajrzyj tam do mnie.

Wziął na plecy koc jak podczas swych młodzieńczych wędrówek i ruszył wzdłuż zalewu, pogwizdując. Gwizdał pięknie, miał mięsiste, uwodzicielskie wargi, w młodości wygwizdywał kobietom Marinarellę, więc dźwięk niósł się po całej okolicy, a ludzie we wsi Skochowice rozglądali się, jakby nadchodził ktoś, kto powraca po wielu latach.

Tata chciał wykarmić najpiękniejsze prosięta w Czechosłowacji, różowiutkie i pulchne, jakie widuje się na życzeniach noworocznych wraz z zieloną czterolistną koniczyną. Chyba nawet spał przy tych prosiakach, w ogóle się nie mył. Prosiaki rozkwitały, a nasz tata wiądł. Kiedy mama się o tym dowiedziała, stwierdziła, że nasz tata to meszuge, czyli ktoś między wariatem, szaleńcem i głupkiem, zapakowała wózek i ciągnęła go wzdłuż

zalewu, zastanawiając się, czy utopić się w tej brudnej wodzie, czy ciągnąć ten wózek dalej tak, jak nakazuje jej życie. Było to w nocy, żeby ludzie nie widzieli, że nawet na stare lata musi się włóczyć za chłopem.

Mojego styranego tatę zastała wśród prosiaków. Akurat je karmił. Uśmiechnął się do mojej mamy od ucha do ucha, nie różnił się zbytnio od swoich nowych dzieci, pewnie nawet miał wszy. Mama wywlekła go z chlewa i wyszorowała w drewnianym korycie do parzenia świń. Umyła mu wszystko, z przodu dyndaska, z drugiej strony tyłek.

Pracowali tam razem przez rok. Była to ciężka harówka. Nadrzeczny klimat nie sprzyjał prosiętom, chorowały. Moi rodzice myśleli, że to z brudu, więc czasem na czworakach czyścili szczotkami ryżowymi koryta i chlewy. Jeździłem tam do nich i widziałem, jak wygląda socjalizm w praktyce, nie ten socjalizm gębowy, zza mównicy. Przybyli tu z nadzieją, że doczekają do emerytury, ale powaliło ich to na kolana. Mama wynosiła z chlewa w ramionach zdechłe prosięta, jakby to były jej własne dzieci. Uciekłem wtedy do lasu, nie mogłem na to patrzeć. A potem dzięki nadludzkiemu wysiłkowi udało im się podnieść. Obiecano im nawet w nagrodę porządne prosię. A tata znów wspinał się na szczyt, tak jak wtedy, gdy był niepokonanym mistrzem świata w sprzedawaniu. Już dzielił skórę na niedźwiedziu. Wyobrażał sobie świniobicie, pasztetową z chrzanem, beczki piwa, dzieci. Wnuki dokazujące na prosiakach. Oczywiście to najładniejsze i najdorodniejsze prosię karmił dla siebie. Miało ryjek jak czterolistna koniczyna na sąsiedniej zielonej łące. Czasem moi rodzice chodzili popatrzeć na te prosięta i myśleli wtedy o dniu, kiedy nagotują wody, a my wszyscy przyjedziemy autami i pociągami.

A potem im oświadczono:

– Prosiaka nie będzie!

Tata nic nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi domku, w którym mieszkali, i zaczął wynosić rzeczy. Miskę, pierzyny, koce, kilka krzeseł. Rodzice nie mówili ani słowa. Gdy przy ich niskim domku zatrzymała się ciężarówka, mama i tata spojrzeli na siebie, a tata krzyknął do okolicznych zboczy, do rzeki i do całego miasteczka:

– Prosiaka nie będzie!

Roześmiali się. I za każdym razem, kiedy spoglądali na siebie w tym aucie, wybuchali śmiechem:

– Prosiaka nie będzie!

I całowali się, obejmowali, a ciężarówka ich kołysała. Od tego czasu powiedzenie „Prosiaka nie będzie" oznaczało w naszej rodzinie, że przegraliśmy, ale jednocześnie wygraliśmy, i że to zwycięstwo jest większe niż porażka.

Z tej spółdzielni produkcyjnej przysłali potem mojemu tacie takie dziwne pismo, z którego wynikało, że ci, którzy tam pracowali, muszą jeszcze dopłacić jakieś pieniądze.

Niniejszym oświadcza się, że w wyniku kontroli zarządzania naszą spółdzielnią produkcyjną dniówka robocza na rok 1957 wyniosła minus 0,60 korony, w związku z czym wzywamy do uregulowania należności wobec spółdzielni w wysokości 530 koron 52 halerzy.

Tata czasami wymachiwał tym pismem i krzyczał:

– Czy to pismo stanie się cegiełką w historii naszego zdestabilizowanego kraju, czy może pozostanie tylko naszym rodzinnym żartem?

Na razie nikt mu na to pytanie nie odpowiedział.

Króliki z mądrymi oczami

Rodzice sprzedali domek letniskowy i kupili nieduży dom pod Radotinem, nad jego dachem kwitła jabłoń. Była to ich ostatnia stacja tu, na ziemi, i była to stacja szczęśliwa. Pracowali i żyli, naiwnie marząc o Mesjaszu i o tym, że jeszcze staną na nogi. Ale ponieważ więcej pracowali, niż marzyli, nie było tak źle. Tata już nie uganiał się za kobietami, burza minęła, nastał spokój. Tylko pieniędzy brakowało.

Znów postanowił, że zbije majątek, tym razem dzięki królikom. Króliki z początku kupował, a potem je rozdawał lub sprzedawał. Pracował ciężko jak nigdy wcześniej. Zbudował dla nich dziesiątki klatek, ozdobił je zasłonami, wyglądały jak zamki uszatych władców. Hodował wyjątkową rasę: króliki szampańskie. Futro miały w kolorze amerykańskiej rakiety startującej na Księżyc, czasem bardziej srebrzyste, czasem szare, a oczy – piękne i mądre, jakby wiedziały wszystko. Tata dyskutował z nimi godzinami i drapał je pod brodą. Myślę, że króliki go kochały.

Rano i wieczorem przynosił im trawę, żeby miały zawsze świeżą. Wstawał wcześnie, gdy cała okolica jeszcze spała, a trawa nie zdążyła zwiędnąć. Uczynił z tego obrzęd. Świtało, na zielonych łodyżkach połyskiwała rosa, wokół harcowały zające, których na hałdach zawsze było mnóstwo, a nieopodal skrzeczały bażanty, wszyscy już tu znali mego tatę. Przyklękał na jedno kolano. Zawsze miał porządnie wyklepany, ostry sierp

nieszarpiący trawy. Kładł go, sierp syczał: psss i psss, a trawa układała się od razu w bukiety. Dla każdego królika, jak dla każdej damy w pierwszej loży, jeden bukiet. A potem tata zaprzęgał się do wózka, ciągnął go i pogwizdywał. Wpychał królikom trawę do klatek, zwierzaki mrugały zaspanymi oczami, a on je budził:

– Dzieńdoberek, chłopcy. Niosę wam jedzonko.

Oczywiście króliki były przekarmione, wywoził od nich tony gnoju, prawie tyle, ile przynosił trawy. A mimo to w klatkach panował niespotykany porządek. Tata mówił przyjaciołom:

– Zaskoczony, co? Można tu jeść jak ze stołu!

Natomiast mama z powodzeniem hodowała indory i kury, sprzedawała jajka. Wkrótce zaczął się ziszczać ten mały cud, jak w tej znanej amerykańskiej książce Betty MacDonald Jajko i ja.

I tak żyli tam przez prawie dziesięć lat.

Tata przyjaźnił się z ogrodnikami z niedalekiej Waltrovki i dostawał od nich krzaki róż, najpiękniejsze z pięknych. Po drodze zapominał nazwy odmian, więc nadawał im nazwiska prezydentów: prezydent Roosevelt i prezydent Masaryk, a także Bedek Peroutka i Karol Proszek. Róże te rosły wprost do nieba, miały grube łodygi i liście, a kwiaty jak z wosku. Tata nigdy nie obcinał ich własnoręcznie, nie znosił widoku kwiatów spadających na ziemię, musiała je obcinać mama. Z tyłu, w ogródku, skąd roztaczał się widok na zbrasławski zamek, miał rabatki z mieczykami. Rosły tam też truskawki, porzeczki, agrest. A w cieniu skrywał się przed słońcem betonowy basen, pływały w nim zielone węgorze z pozornie złymi oczami, złowione w Berounce.

Zimą, gdy przed okna napadał śnieg, tata zastawiał pułapki na gawrony. Kiedy gawron się złapał i trzepotał skrzydłami, mój tata wybiegał po niego choćby w kapciach. Odwiedzało go wówczas wielu mądrych ludzi z Pragi,

a on gotował im zupę z mądrych gawronów. Opowiadał o swoich bogatych krewnych, o rolnikach Popperach i Abelesach z Horszowskiego Tyna, którzy jeszcze przed wybuchem wojny uciekli przed Hitlerem do Kanady. I byli tak bogaci – twierdził tata – że zabrali ze sobą nie tylko szwajcarskich pasterzy, lecz także szwajcarskie krowy. W naszych snach te sceny jawiły się niczym najpiękniejsze obrazy, jak spod pędzla Aleša, i wyobrażaliśmy sobie, jak nasi wujkowie Hugo i Alojzy z rodzinami jadą pociągiem dla ludzi, a na kolejnym składzie, towarowym, widnieją takie napisy, jakie widniały na cyrku Busch lub Humberto, a przez okna wyglądają szwajcarscy pasterze w kapelusikach i szwajcarskie krowy z rogami, takie, jakie znaliśmy z opakowań szwajcarskiej czekolady. Później okazało się, że rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Szwajcarskiego pasterza, pana Schmockera, wieźli ze sobą tylko jednego, a krowy żadnej. Kupili farmy, ale strasznie na nich harowali i właściwie harują do dziś. Z ich dzieci wyrośli profesorowie i profesorki, na przykład z Vilmy Iggers, która najpierw doiła krowy, potem pracowała w fabryce słodyczy, następnie ukończyła studia, a później wykładała na uniwersytecie. Mieli nad nami wielką przewagę: nikt z nich nie wyleciał przez komin.

Mój tata nigdy się nie dowiedział, jak było naprawdę. I całe szczęście, bo dzięki temu zawsze, gdy opowiadał o kanadyjskich Abelesach i Popperach, błyszczały mu oczy, mówił, że już na pewno połowa Kanady należy do nich wraz z jeziorami i że kiedyś zaproszą go tam na łososie. Tata opowiadał o różnych rzeczach. Najsmutniejsza historia była o tym, jak podczas wojny wiózł autobusem naszego psa Tamika i kota starej pani Löwy do Pragi, żeby je oddać, bo Żydzi nie mogli mieć zwierząt. Tak właściwie były to psy-Żydzi i koty-Żydzi, a on wiózł je na egzekucję. Kot w autobusie narobił ze strachu pod siebie, a tata musiał wysiąść i umyć go w śniegu. Autobus oczywiście odjechał bez nich. Przez całe popołudnie tata

nosił te zwierzaki po Pradze, wyciągał z klatek i pokazywał im Zamek, a na Rynku Staromiejskim miejsce egzekucji dwudziestu siedmiu czeskich panów. Oddał Tamikowi i temu kotu swoje jedzenie, a potem był głodny.

Tych dziesięć lat minęło szybko jak lot kamienia rzuconego do ukochanego stawu taty w Busztiehradzie.

Potem ktoś z towarzystwa króliczego wmówił tacie, że gdyby zrobił swoim królikom tatuaże, mógłby zdobyć mnóstwo nagród i pieniędzy. Pomysł mu się spodobał.

Zaprosił tatuażystę. Ze stoma królikami było mnóstwo pracy. Królikom trzeba było wypisać na uchu numery, bo dopiero dzięki temu ich krew staje się czysta i szlachetna, tak jak u szlachcica, który wreszcie może udokumentować swoje pochodzenie. Potem tata obserwował je całymi dniami, marzył o tym, że większość z nich sprzeda na najbliższej wystawie, a królikarze w całej okolicy będą je potem hodować i mówić, że pochodzą od starego Poppera.

Przyjaciele Nowakowie ze spółdzielni produkcyjnej pożyczyli tacie skrzynki do transportu, a za ostatnie pieniądze zamówił ciężarówkę. Załadował króliki, a zanim odjechał, wziął mamę za rękę i zaprowadził do spiżarni. Ostatnimi laty to pomieszczenie świeciło pustkami: garstka mąki, ryżu, kaszy, butelka oleju, świeczki, zapałki i nic więcej. Bolało go to, przed wojną zawsze rozpierała go duma, że półki się uginają. Otworzył drzwi tej spiżarni i powiedział:

– Herminko, daj to kurom! Przywiozę nowe zapasy. Zrób miejsce i wyłóż wszystko czystym papierem!

Potem pocałował ją uroczyście, jakby jechał na wojnę, którą z pewnością wygra.

Pojechał ciężarówką do zamku Karlsztejn. Tak myślę, że to był Karlsztejn. Tam ciężarówkę odesłał, bo króliki sprzeda, a do domu zabierze

tylko kilka do dalszej hodowli, przede wszystkim pięknego samca Michaela.

Kiedy jury zaczęło przyglądać się królikom taty, ścisnęło go w sercu, jakby oceniali jego dzieci. Ważyli je, dmuchali w sierść, oglądali ze wszystkich stron.

A potem oświadczyli, że tata nie zrobił jakiegoś specjalnego, rozszerzonego manicure'u czy pedicure'u, nie obciął pazurków i nie umył siusiaków, co było tak poważnym uchybieniem, że nie pozwalało przyznać im żadnej nagrody. A tym samym stało się jasne, że królików nikt nie kupi.

Tata zbladł, a potem zaczął krzyczeć:

– Wy, nikczemnicy! – A później niespodziewanie: – Wy, antysemici!

O to w tym chodzi! Nie lubią Żydów. Po tym okrzyku wystawa ucichła, szum ustał, nawet króliki jakby opuściły słuchy aż do ziemi. Królikarze podeszli do taty, żeby go pocieszyć, a pierwszy z nich powiedział do niego przyjaźnie, jak to hodowcy mają w zwyczaju:

– Pavle, przyjacielu!

Już od dawna nazywaliśmy się Pavlowie. Stwierdziliśmy, że skoro żyjemy w Czechach, to powinniśmy nosić porządne czeskie nazwisko zamiast tego Popper, a pewnie też dlatego, że przesadnie robiliśmy w portki ze strachu.

Tata ryknął na tego królikarza:

– W dupie mam takich przyjaciół!

Siedział tam i czekał na coś, co mogłoby go uratować. Mógłby to być syn Jurek, który wraz ze swoim fiatem tak często wyciągał go z tarapatów, albo drugi syn, Hugo, złota rączka. Albo wujkowie Hugo i Alojzy mogliby przylecieć aeroplanem z Kanady i przywieźć największe kanadyjskie króliki. Nimi tata zakasowałby wszystkich. Mógłby się też pojawić

wujaszek Ota, który po wojnie pracował w północnych Czechach i którego kochaliśmy równie mocno jak praską ciocię Helenkę.

Ale nie wydarzyła się żadna z tych rzeczy. Zapadał zmrok. Królikarze się rozeszli, a tata został tam sam. Przeciągnął przez płot skrzynki z królikami na sąsiednią łąkę i otworzył wszystkie drzwiczki. Zaskoczone króliki powoli wychodziły, nigdy nie widziały nad sobą nieba i nigdy nie miały pod brzuszkiem koniczyny.

Powiedział im:

– Biegnijcie, chłopaki.

Ale nie pobiegły, były do niego przyzwyczajone, podchodziły do jego nóg i ocierały się o nie jak koty. Odganiał je, ale wciąż wracały, bo wiedziały, że nigdzie nie będzie im tak dobrze jak u niego, że nigdzie trawa nie będzie tak chrupiąca, jak była tam, w tych pięknych klatkach, w których żyły sobie jak w pałacu. Szły do niego, choć przez jego niedoinformowanie nie zdobyły żadnej nagrody.

W końcu uciekł, nadłużej biegł za nim jego ulubieniec, piękny Michael, ale jemu też zwiał. Kiedy ujrzał dworzec, sięgnął do kieszeni, ale znalazł tam tylko garść zgniecionych papierosów.

Zobaczył rzekę. Rzeka była dla niego w życiu wszystkim. Ruszył więc ku niej, wzdłuż tej rzeki dojdzie przecież do swojego domku i do żony. Szedł przy świetle księżyca, które zmieniło rzękę w srebrną szosę. Co jakiś czas kładł się w trawie, wszystko go bolało. Serce chciało pęknąć, a nogi jakby się zatrzymać. Po raz pierwszy w życiu przeszedł taki szmat drogi, nie gwiżdżąc i nie podśpiewując, nie nucił sobie nawet tej piosenki z legii o słoniach ani o czerwonej chuście. Tak jakby pękła sprężyna w gramofonie, jakby skończyła się melodyjka w pozytywce obrazu z wesołym wędrowcem i rybakiem. Szedł i tylko jakby na niebie co jakiś czas błyskała mu spiżarnia wyścielona czystym papierem, dokładnie tak,

jak polecił. Potem podobno ujrzał przy brzegu rybę. Była to długa ryba z dużymi, wytrzeszczonymi oczami. Patrzyła na niego, a on patrzył na nią. Była tak mądra, że przez całe życie nie zabiła jej żadna inna ryba i nie złowił żaden mądry rybak. Tylko dzięki temu mogła być tak duża i stara. Tata twierdził, że przypłynęła zobaczyć jego śmierć, bo on zabił w swoim życiu tysiące ryb. Ryba pomachała płetwami i odpłynęła. Wyruszył w dalszą drogę. Rano dokuśtykał do furtki. Uginały się pod nim nogi i trzymał się za serce. Mama się wystraszyła i zaprowadziła go do izby. Kiedy przechodził obok spiżarni, odwrócił wzrok, bał się, że go posłuchała i rozłożyła tam ten czysty papier. Ale potem mimo wszystko spojrzał. W spiżarni były te same brudne papiery, a drzwi były chyba celowo uchylone. Na półkach stało trochę mąki, ryżu, kaszy i butelka oleju. Tata usiadł na krześle i uśmiechnął się do mamy.

– Ty mój najlepszy kumplu.

Mama wezwała karetkę. Przyjechali, wyprowadzili go na podwórze i chcieli zawieźć do szpitala. Wyzywał ich, przy furtce się im wyrwał, jakby o czymś zapomniał. Nie wrócił po radyjko tranzystorowe, jakie ludzie często biorą do szpitala. Kiedyś zamówił sobie piękną tabliczkę, z której był bardzo dumny. Teraz powiesił ją na furtce, żeby każdy mógł przeczytać ten napis. Brzmiał on:

ZARAZ WRACAM.

Ale już nie wrócił.

OTA PAVEL

Moje spotkania z rybami

DZIECIŃSTWO

Koncert

Każdy wędkarz powinien zacząć swoją przygodę z rybami już jako dziecko, a w tajniki łowienia powinien go wprowadzić tata, wujek lub jakiś przewoźnik. Jeśli chodzi o nas, przewoźnikiem tym był Karol Proszek z Łęgu pod Branowem, który stopniowo stał się dla nas wujkiem.

Nauczył łowić ryby nie tylko mnie oraz moich braci Hugona i Jurka, lecz także naszego zaradnego tatę. Wujek Proszek urodził się w Berounce chyba jako wodnik, a na brzeg w Łęgu wyrzuciła go wielka woda. Miał piękne wąsy niczym dragon, dźwięczny głos i zgrabną sylwetkę. Umiał zrobić wszystko. Orać i siać, doić krowy, przygotować kluski z ziemniakami smażone na smalcu, znajdować prawdziwki i koźlarze poza sezonem, polować na sarny, ratować ludzi i przemarzniętą dziką zwierzynę, dawać idiotom po pysku, a także się śmiać. Kilka razy przewiózł na drugi brzeg wezbranej rzeki położną, panią Flybert, z jej nieodzowną walizeczką. Znał się również na rybach. W księżycowe noce nabijał je z łodzi na specjalne widełki, tak zwane grondle, rozstawiał wiklinowe wiersze, rozwijał sieci, a dla pozorów łowił również jak panisko, na wędkę.

To było jeszcze za czasów starej Austrii, gdy w krzywoklackim zamku panował książę pan Max Egon Fürstenberg, jadał pikantny gulasz i popijał piwo z Rakownika. Pozwolił on Proszkowi, jako najlepszemu rybakowi w okolicy, łowić na wszystkie sposoby na całej długości rzeki. Tylko

węgorze, mające mięso jak kwiat lotosu, Proszek musiał zanosić do zamku. Żona Karolina uszyła mu na nie worek z kanafasu. Nosił te ryby żywe wzdłuż rzeki. Brama sama się przed nim otwierała jak przed rycerzem. Wysypywał węgorze do wysmołowanej kadzi z wodą, a co któryś raz dostawał za nie złotą monetę. Widniał na niej cesarz, a moneta lśniła jak słońce.

Kiedy książę odjechał karetą za cztery obce góry i cztery obce rzeki, zakazano Proszkowi łowienia ryb na wszystkie możliwe sposoby i powiedziano, że wystarczy mu jeden sposób, czyli wędka.

Proszek miał długą żółtą wędkę z bambusa. Bat bez kołowrotka. Czasem szedł w górę rzeki, żeby ryby go nie widziały, świstał batem i stroszył dragońskie wąsy, dlatego nazywano to łowieniem „zamaszystym".

Pewnego razu przyjechaliśmy tam naszym samochodem. Ojciec Leon, matka Hermina, bracia Hugo, Jerzy i ja. To była cała nasza rodzina. Obserwowaliśmy Proszka spod olszy na drugim brzegu rzeki. Chodził po śliskich kamieniach jak polująca wydra. Spławik lądował zawsze w zamierzonych miejscach. A ryby? One jakby same wyskakiwały z wody. Srebrne klenie z czerwoną płetwą sterniczą przy dupce i eleganckie brzany z wąsami. Brzuchate płocie z cichych wód i jelce płynące z prądem. Trafiały w sieci, wolność się kończyła, albowiem oto nadszedł ich pan, król kłusowników.

Tata krzyczał zachwycony:

– Hermino! To koncert! Jak u dyrygenta Kubelíka.

W mojej wyobraźni natychmiast wyrosły na całym brzegu rzędy foteli, a w nich siedzieli panowie w angielskich pumpach i damy w różowych krynolinach. Wzdychali i klaskali przy każdej rybie:

– Messieurs, mesdames, to jest prawdziwa sztuka.

Proszek chwycił w przepełnioną sieć ostatnią rybę, zapalił własnoręcznie skręconego papierosa i się ukłonił.

Trybuny zniknęły, a on przebrodził się przez płytką rzekę do mojego taty. Od razu się polubili, bo tata też był niezłym gagatkiem. Potrafił dać głupcom po pysku tak jak Proszek. A czego jeszcze nie umiał, tego nauczył go ten przewoźnik. Nieokrzesany Proszek przypadł tacie do gustu, ponieważ przez całe życie twierdził, że mili ludzie są gówno warci. Uzgodnił z Proszkiem, że będziemy spędzać lato w jego chacie przewoźnika i nigdzie indziej.

Czarny szczupak

Miałem wtedy około sześciu lat. Bracia niezbyt chętnie zabierali mnie ze sobą. Nie byłem godzien ich towarzystwa. Przyglądałem się ich zabawom z oddali. Zazwyczaj po prostu ssałem palec na brzegu Berounki. Hugo i Jurek najbardziej lubili chodzić na wysepkę i chwytać tam rękami ryby w zielonej rzęsie wodnej. Hugo był ładny i delikatny. Jurek był grubaskiem i rozrabiaką, bijącym się z kim popadnie.

Na wysepce rosły długie, baśniowe, zielone wodorosty przypominające rozplecione włosy wodnika Oskara. Włosy te falowały z prądem, jakby Oskar leżał utopiony w żółtym piasku. Czasem kwitły na nich kwiaty, nie pamiętam już jakiego koloru, chyba różowobiałe niczym panny młode. Na tej płyciźnie pasły się jak na łące oczlikowce i ośliczki wodne. Brzany i inne ryby wpadały tu na żuczki, mlaskając jak prosiaki. Bracia weszli do wody w samych majtkach i przeczesywali wodorosty, dopóki nie natrafili na zimne ciało ryby. Ryba zamarła, a potem uciekła, brat się opamiętał i skoczył za nią, lecz bez powodzenia, woda tryskała wokół, brat krzyczał. Jak na rodeo.

Kiedyś wypatrzyli tam olbrzymią rybę, w pierwszej chwili myśleli, że to dryfujący drąg. Ale był to czarny szczupak, który przypłynął tu na rybki i nie potrafił się wydostać. Gdy się rozpędzał, wyglądał jak torpeda. Woda bryzgała na wszystkie strony. Hugo wrzasnął:

– Nie gap się tak i chodź nam z nim pomóc!

Nagle stałem się dla nich wystarczająco dobry. Tyle że nie miałem ochoty tam włazić. Powoli wszedłem w wodorosty. Szczupak się miotał, dopłynął do mnie i się zatrzymał. Widziałem, jak oddycha, łypie na mnie okrutnymi oczami, a w rozchylonym pysku ma mnóstwo zębów. Chce mnie zjeść. Zacząłem się schylać. Szczupak ruszył. Wyskoczył. Przeleciał nad mielizną i zniknął w głębinie. Jurek zawołał:

– Ty głupku! Miałeś go jak na widelcu! Wystarczyłoby chwycić pod skrzelami!

Lecz tak naprawdę wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, że uciekł. Bracia też nie odważyli się go złapać. Cała ta przygoda była dla nas czymś w rodzaju przepowiedni, a wielki szczupak – symbolem naszego przeznaczenia. Czy któryś z nas złowi w życiu naprawdę dużą rybę? Może nie będzie nam to dane, bo wówczas zabrakło nam odwagi.

Moja pierwsza ryba

Proszek wracał z knajpki „Annam" wstawiony i podśpiewywał sobie piosenki żołnierskie. Znał ich wiele, bo podczas wojny służył w Serbii. W jego biodrze wciąż tkwił odłamek, ale po kilku głębszych przestawał odczuwać ból. Kiedy Proszek dopłynął do nas łódką, pocałował wilczura Holana w pysk i usiadł pod pachnącą akacją.

Byłem wtedy na przystani przewoźnika, bracia znów nie zabrali mnie ze sobą, woleli dziewczynę, córkę Bedka Peroutki, Dagmarę, która ostentacyjnie mnie ignorowała.

Wujek spojrzał na mnie zielonymi oczami.

– Chodź tu, mały!

Doczłapałem do niego powoli, wiedziałem, że za mną nie przepada. Najbardziej lubił Jurka, bo uwielbiał takich łobuziaków. Ja byłem najmłodszy i najdelikatniejszy. Proszek przyjrzał mi się uważnie i wyciągnął z brudnej kieszeni ogórka konserwowego.

– Masz.

Wyciągnąłem z buzi palec i wsunąłem zamiast niego ogórka. Obserwował mnie. Potem wyjął piersiówkę i rozkazał:

– Golnij sobie.

Była pusta. Ale i tak zrobiłem błogą minę. Ten nieistniejący alkohol nas do siebie zbliżył. Proszek wstał i skinął głową, żebym poszedł z nim do stodoły. Wyciągnął długą gałąź leszczyny i rzekł:

– Zrobię ci wędkę. Myślę o tym od dawna.

Wyjął z kieszeni ostry nóż, ciachnął gałązkę z obu stron, a ja obserwowałem jego spracowane dłonie, przy których brakowało palca, bo własnoręcznie go sobie urżnął, gdy wycinał witki na koszyki. Widziałem jego twarz, skrzywioną z bólu, znów czuł odłamek w biodrze. Ale przeciwbólowy alkohol się skończył. Proszek dokończył robić wędkę. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to najcenniejsza wędka ze wszystkich, jakie będę kiedykolwiek mieć, ale dziś już to wiem. Była to wędka dzieciństwa, z którą nie mogły się równać późniejsze produkty fabryk amerykańskich ani japońskich. Proszek przywiązał do niej żyłkę i umocował haczyk oraz gęsie piórko. Potem powiedział:

– Przy wysepce są okonie samotnicy. Leć tam, mały, i daj im do wiwatu. Ja tu na ciebie poczekam.

Skulił się w kłębek, a Holan położył mu głowę na kolanach. Doszedłem po dróżce aż do wysepki. Było przedpołudnie, słońce porządnie smaliło. Nadziałem na haczyk dżdżownicę i zarzuciłem. Nic nie brało, tylko niebieskawe ważki siadały na nenufarach, a gdzieś w zakolu rzeki ucztowały chlupoczące klenie. Białe piórko leżało nieruchomo na powierzchni wody jak biała łódź podczas flauty. W duchu rozwinąłem jej żagle i wydałem kapitanowi rozkaz „cała naprzód", żeby pociągnęła go po tej tafli kolorowa ryba. Lecz piórko pozostało nieruchome, mnie kleiły się oczy, co jakiś czas tylko jedno rozchylałem, żeby sprawdzić, czy moja biała łódź już wypływa.

Nagle piórko drgnęło, a wokół niego rozszedł się krąg. I jeszcze jeden, i kolejny, niczym sygnały z nieosiągalnych wodnych głębin. Ktoś się

zabawiał i drażnił z łódką, jakby próbował odpalić silniki pociągnięciami skórzanego rzemienia. A zatem nie była to żaglówka, tylko biała motorówka. Potem piórko stanęło, głową w dół i nogami do góry. Wyglądało jak na wpół zanurzona kaczka. Wtedy już kurczowo trzymałem wędkę. To na pewno okoń z wielką grzywą, wiodący tu życie samotnika. A tymczasem piórko zrobiło siup! i zniknęło. Ale było widać, jak płynie pod wodą w stronę nenufarów. Zaciąłem. Wędka wygięła się w łuk, a ja po raz pierwszy w życiu poczułem rozkoszne ciągnięcie ryby. Po nieustępliwej obustronnej walce z wody wyłonił się najeżony pysk. Był to okoń, wielki jak czerwona czapka w kratę, tyle że oliwkowozielony z ciemnymi poprzecznymi pasami. Unosił swe czerwone płetwy niczym wojenne chorągwie, natomiast grzbietem przypominał byka. Zamiast oczu miał żywe złote pieniążki, a z grzbietu sterczała mu zjeżona włócznia. To nie była ryba, tylko smok, rycerz w pełnej zbroi, z czerwonym piórem na przyłbicy.

Wywlokłem go na trawę i położyłem się na nim, żeby nie uciekł. Obaj byliśmy walczącymi chłopakami. Potem zaniosłem go dumnie na przystań. Pokaleczyłem się jego włócznią i leciała mi trochę krew z palców. Myślałem, że od tego dnia wujek Proszek będzie mnie lubić tak samo jak Jurka. Proszek siedział już na ławce i pił kozi wermut, czyli mleko, żeby pozbyć się alkoholu. Pochwalił mnie:

– Zuch chłopak!

Oprawił okonia, a głowę i skórę przybił do wrót stodoły. Żeby wszyscy widzieli, że w Łęgu pod Branowem narodził się kolejny wędkarz.

Wziąłem stołek do dojenia i przesiadywałem pod swoim trofeum całymi dniami. Gdy ktoś szedł na przystań, kaszlałem i chrząkałem, żeby zwrócić uwagę na okonia. Spłynęła na mnie wielka chwała. Przyszła też ta

dziewczyna, Dagmara, córka Bedka Peroutki. Pocałowała mnie w policzek i oświadczyła:

– Świetnie sobie poradziłeś.

Pewnej nocy jednak moje trofeum zniknęło nie wiadomo gdzie. Możliwe, że pożarła je kotka Aniołka. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że zdjął je z wrót mój ukochany wujek Proszek. Miał dość mojej pyszałkowatości i znów zaczynałem działać mu na nerwy.

Pojedynek na szczupaki

Moi bracia nareszcie przyjęli mnie do bandy. Łapaliśmy razem rybki na przynętę, tak zwane kotleciki, które oficjalnie nazywają się kiełby długowąse. Ale my nazywaliśmy je kotlecikami, tak jak smażone kotlety. To ładne rybki, mają dwa wąsiki-ogoniki i są prawie tak marmurkowe jak marmur. Kiedy Pan Bóg je tworzył, puścił wodze fantazji. Ale są ufne i głupie.

Kiedy łapaliśmy w rzece kotleciki, mąciliśmy nogami piasek i muł. Kotleciki poszukiwały w nim pożywienia. Znajdowały wędkę z dżdżownicą. Dziobały ją i połykały jak kury, pociągały za spławik, my zacinaliśmy i wyciągaliśmy kotleciki na światło dzienne. Czasem podpływały nawet do naszych stóp i dziobały nas w palce. Dziob. Dziob. Dziob. Moczyliśmy nogi w zimnej wodzie, a jednocześnie łowiliśmy. Rybki wrzucaliśmy do puszek. Potem tata i wujek Proszek łowili na nie szczupaki i innych wodnych kanibali. Ale kotlecików było wówczas w rzece mało. Wujek Proszek wyśledził, że szczupaki wyjadają z rzeki również okonie. Wyczuły delikatne mięso pod ich kłującymi płetwami. A zatem w szczupaczym jadłospisie pojawiły się kolejne ryby i nikt nie miał o tym pojęcia.

W tamtym czasie w okolice Krzywoklatu przyjeżdżał wraz z żoną swoim starym wozem Bedek Peroutka, typograf z Żiżkowa, sympatyk

Viktorii Żiżkow. Szybko zakolegował się z moim tatą. Na święta Bożego Narodzenia posyłali sobie sałatkę ziemniaczaną w ozdobnych nocnikach. Obaj byli młodzi. Gdy wracało się z Krzywoklatu do Pragi, na zewnątrz, w otwartych kabrioletach, wisiały szczupaki, a z tyłu za samochodami podskakiwały przywiązane garnki i wiadra. Nigdzie się nie śpieszyliśmy. Po drodze pasażerowie obu aut wykrzykiwali do siebie różne teksty, a przede wszystkim niekulturalne słowa. Kobiety już się nie czerwieniły, bo do tego przywykły.

W Krzywoklacie mój tata krzyknął:

– Tu mieszka cukrownik Grupel!

A z wozu za nami dobiegł wesoły głos Peroutki:

– To go pocałuj w dupę!

Za każdym razem, kiedy tata tego nie krzyknął, Peroutka miał zepsuty nastrój przez cały następny dzień.

Pewnego razu w Łęgu Bedek wymyślił, że pokaże mojemu tacie i Proszkowi, jak się łowi, więc wybrał się na ryby z tutejszym specem Franciszkiem Pawliczkiem na szczupaki na Diabelską Skałę. Diabelska Skała nazywała się tak podobno dlatego, że kiedyś przechodził tamtędy myśliwy, miał w kieszeni butelkę iście diabelskiego samogonu, potknął się o skałę, butelka wypadła, cała gorzałka się wylała i od tego czasu była to naprawdę Diabelska Skała. Według drugiej, trzeźwiejszej wersji, diabeł miał w ciągu jednej nocy zbudować most na Berounce, żeby wykraść dziewicę z Rybiarni. Ale nie wyrobił się do brzasku i piania koguta, więc odszedł z niczym. Zamieszkał potem na tej skale. W głębokiej wodzie pod nią od zawsze bywały szczupaki.

Kiedy tata dowiedział się o tym zamiarze, wziął wraz z Proszkiem okonki jak malowane i popłynęli łódką w górę rzeki, minęli wysepkę i popłynęli jeszcze dalej, aż do Brtwy, do szczupaczych toni. Złapali

olbrzymie szczupaki. Jeden nawet wyskoczył do okonia, gdy ten dopiero wpadał do wody, taki miał apetyt!

Wrócili tuż przed Bedkiem. Bedek stanął radośnie w rozkroku po drugiej stronie, nad głową trzymał dwukilowego szczupaka i zawołał:

– Takiego okazu nie oddam nikomu!

– Zapraszam na drugą stronę, głupolu! – odkrzyknął tata.

Kiedy Bedek przypłynął, tata wziął go pod ramię i zaprowadził do sadza. W skrzyni zarysowywały się ciemnozielone grzbiety trzech dużych szczupaków. Bedek szybko przepłukał twarz wodą, żeby nie zemdleć i nie wpaść do rzeki.

Wysapał ledwo:

– O wy dranie! Na pewno oszukiwaliście.

Wieczorem pod akacją tata opowiedział mu o swoim tajnym sposobie z okoniami i zdradził, dokąd ma rano popłynąć na szczupaki. Akacja ta bowiem miała taką czarodziejską moc, że wszyscy mówili pod nią prawdę. Nawet rybacy.

Pod skałą Szymów

Czas płynął. Dostałem swój pierwszy kołowrotek, a podkoszulek zacząłem wkładać w spodnie. Tata kupił nam angielską piłkę, taką samą, jaką grał londyński Arsenal, drużyna słynnych kanonierów. Stoczyliśmy nią na placu liczne bitwy i wojny, aż wreszcie raz chłopcy wybili mi palec, a wujek Proszek jednym pociągnięciem przywrócił go na miejsce.

Rzeka wciąż była pełna ryb.

Mama panierowała je bułką tartą i piekła, a potem zanurzała w occie, przekładając plastrami cebuli. Leżakowały w dużym kamionkowym garnku pod ścianą chłodnej piwnicy. Palce lizać! Gdy ktoś we wsi zachorował, przychodził do nas po marynowane ryby. Zdrowi też przychodzili. A najczęściej po te marynowane ryby przychodzili do nas ludzie na kacu. Ryby były od wiosny do jesieni, w tym czasie się uleżały, a ości rozpuściły. W gorące dni były jak powiew zimy, a w zimowe – jak lata.

Zabawom nie było końca, tak jakby całe życie miało być karnawałem. Nad śluzą piętrzyła się na brzegu wysoka czerwonawa skała, mawiało się na nią skała Szymów. Pewnie dlatego, że we wsi mieszkało mnóstwo Szymów. Kiedy przechodziliśmy obok tej skały, zawsze śpiewaliśmy:

Pod skałą Szymów,
Dwaj trampowie stali,

Nie mieli co robić, więc
Na gitarach grali.
Oj, dana, dana,
Oj, dana, dana,
Oj, dana, dana,
Bum tarara.

Obok skały Szymów chodziliśmy wieczorami pod śluzę na brzany.

Pierwszy szedł wujek Proszek w słomianym kapeluszu, za nim tata z bujną grzywą, a za tatą Hugo, Jurek i ja. Nieśliśmy długie wędki, które sięgały aż do gwiazd pojawiających się na niebie. Możliwe, że taką wędką udałoby się zapalić te gwiazdy tak jak latarnie gazowe na Starym Mieście. Niebo było błękitne, a przed nami ze śluzy wypływała woda. Śluza szumiała, a w dole tworzyły się białe wiry. Po drugiej stronie kończył pracę młyn w Nezabudicach. Pośrodku młyna jaśniała duża biała gwiazda, okno młynarza Czecha. A nad tym wszystkim rozpościerały się sklepienie niebieskie i niezmierzone dale.

Proszek się odwrócił.

– Tu wystarczy.

Dotarliśmy do miejsca, w którym teren się obniża, a woda ma rwący nurt. To miejsce lubią brzany. Są najwytrzymalsze i najsilniejsze ze wszystkich ryb. Wciąż płyną pod prąd, właściwie całe życie spędzają w ten sposób i dlatego są tak wytrzymałe i silne. Obracają pyszczkiem kamienie, szukając pod nimi raczków i drobnicy do zjedzenia. Mają masywne płetwy i obłe ciało, wyglądają jak samoloty ponaddźwiękowe.

Rozłożyliśmy sprzęt. Na długich wędkach zamontowaliśmy zamiast żyłki długie i cienkie mosiężne druciki, które cięły wartką wodę niczym brzytwa. Na haczyki nadzialiśmy wilgotne od rosy dżdżownice.

Siedzieliśmy w miękkiej trawie i trzymaliśmy wędki. Pierwszą brzanę wyciągnął wujek Proszek. Rzucała się w trawie i miotała swoimi czterema wąsikami, troszkę popiskiwała, jakby płakała, najwyraźniej była też wkurzona.

Kolejne branie trafiło się mnie. Najpierw stuknięcie. Ten dźwięk niósł się znad wody jak nawoływanie z niezgłębionej wodnej toni. A potem poczułem pociągnięcie, tak jak wtedy, gdy coś się zahaczy o wędkę, na przykład płynąca trzcina. Zaciąłem. Na końcu drucika była brzana. Jej ciało wypłynęło na powierzchnię dokładnie w tej samej chwili, w której nad nami księżyc wyszedł zza chmur. Wyglądało jak roztopione srebro lub dzbanek cynowy, którym nalewa się wino z królewskiej winnicy. Dzielna ryba. Cudownie walczyła o swoje życie i wciąż chciała iść pod prąd. Ciągnęła w największy nurt, tak jak niektórych śmiałków wciąż ciągnie na otwarte morze. Drut był napięty jak struna. Walczyliśmy o każdy centymetr. Lecz w końcu uległa, ponieważ siły w tej walce nie były równe.

Kiedy wreszcie spoczęła w zroszonej trawie, głaskałem ją jak psa lub kota. Ale jej ciało było obce, zimne, rybie. A potem przekłułem jej głowę nożem, albowiem nawet dzielni płacą czasem za swój błąd śmiercią. Zabiłem ją, bo widziałem, że robią tak wujek Proszek i tata, a oni z kolei widzieli, że robią tak ich przodkowie. Silne płetwy oklapły, a ciało, tak podobne do pięknych srebrnych samolotów długodystansowych, zwiotczało.

Jak z tatą uraczyliśmy węgorze

Mój zaradny tata zabrał mnie kiedyś na rozkładanie sznurów. Opracował świetny, a przede wszystkim śmiały, plan, jak z całą pewnością nałapać węgorzy. Rozłożymy sznury z prądem rzeki pod Łączką na większej głębokości i zaprosimy je na taką ucztę, której za nic się nie oprą. Nałapiemy tyle węgorzy, że zaniesiemy je do rzeźnika, żeby je nam uwędził. Tata powiedział:

– Wędzone węgorze są najlepsze. Można je jeść cały rok.

Tata mówił też, że musimy poczekać na odpowiednią porę: gdy księżyc zniknie za chmurami, a gwiazdy pójdą spać. I kiedy trochę się podniesie lub ewentualnie zmąci rzeka. Kiedy woda będzie mętna.

Tymczasem wszystko gorączkowo przygotowywaliśmy. Pocięliśmy dwa nowiutkie sznury do bielizny i ostrzyliśmy pilnikiem groty haczyków, żeby należycie wniknęły w węgorzowe paszcze. Zdobywaliśmy przynętę. Poszliśmy nad potok i nałapaliśmy mnóstwo przepięknych rybek – strzebli potokowych. Ich samce mają krwistoczerwone pyszczki, a ich ciało mieni się szmaragdową zielenią i aksamitną czernią. Wyglądały jak rybki akwariowe. Plan był taki, żeby zaserwować węgorzom coś ekstra, czego nie mają w rzece. Tata oświadczył nawet, że węgorze się zesrają, jak to zobaczą. W Łęgu zniszczyliśmy wujkowi Proszkowi prawie cały ogródek,

żeby znaleźć kilka rosówek. Ale dzięki temu byliśmy doskonale przygotowani i wyposażeni.

Zaczęło długo i rzęsiście padać, a mój tata zacierał ręce. Deszczowa woda niosła do rzeki błoto z pól i łąk, a także utopione rosówki, mokre koniki polne i napęczniałe mszyce. W rzece już czekały ryby i napychały sobie brzuchy. Woda mętniała, wzdłuż brzegów płynęły pierwsze ciemne pasy. Na przystań przyszli wtedy jacyś goście, ogrzewali się przemoknięci przy piecu, tata nie chciał przy nich wspominać o naszych zamiarach i tylko co jakiś czas mrugał do mnie porozumiewawczo, że nadchodzi właściwy moment.

Ulotniliśmy się przed zmrokiem. Na nogach mieliśmy kalosze, na plecach gumowe płaszcze, a w sercach nadzieję. Kroczyliśmy w górę rzeki, kilkadziesiąt metrów nad nią, po ścieżce odpowiedniej raczej dla kozic niż ludzi. Nie wiem, jak długo szliśmy, ale było to straszne. Śliskie kamienie i wysokie urwiska, gałęzie smagające po twarzy i padający deszcz. Zaczynałem coraz bardziej złościć się na tatę, a on co jakiś czas się odwracał i mamrotał coś w stylu:

– To idealny moment.

Na Łączkę jest daleko nawet w biały dzień, potwierdzą wam to wszyscy z Łęgu, Wilkowic i Pawliczkowic. Nie pojmowałem, dlaczego nie rozłożyliśmy tych sznurów przy przystani, skoro w taką ulewę nie ma tam żywej duszy. To przez tatę, który chciał mieć głębszą wodę i silniejszy nurt.

Po długiej wędrówce doszliśmy na Łączkę. Tata odłożył sadzyk ze strzeblami i wyjął sznur z plecaka. Spojrzał na mnie i znów powiedział:

– Piękna noc. Zaserwujemy im takie przysmaki, że jak to zobaczą, to się zesrają.

Ogarnęły go prawdziwy zapał i pasja kłusownika. Na przemian nadziewał przynęty. Jedna rosówka, jedna rybka, jedna rosówka. Nie

patrzył, co w tym czasie robię, nie zwracał na mnie uwagi. Stałem i trząsłem się z zimna, w nosie miałem te wszystkie węgorze. A tym bardziej wędzone. Tata dokończył pracę i nakazał:

– Rozbieraj się!

Rozebrałem się i patrzyłem na rzekę. Przy brzegu i w przebłyskach poświaty księżyca widziałem, jak woda przybiera. Jak kępy traw kąpią się i zanurzają, jak uginają się źdźbła, kiwają i przechylają w dół wraz z nurtem. Ściągając spodnie, powiedziałem cicho:

– Tato, ta rzeka przybiera.

Nie wiem, czy mnie usłyszał, ale nie zareagował. Stałem na brzegu tak, jak mama wydała mnie na świat, i nie wiedzieć czemu zakrywałem przyrodzenie. Tata polecił:

– Weź ten sznurek i wejdź z nim do rzeki. Kiedy się napnie, upuść kamień.

Wciąż nawet nie drgnąłem. Słyszałem huk rzeki pośrodku nurtu. Obleciał mnie strach. Stałem tam jak wół, którego zmuszają, żeby się ruszył, a on nie chce nigdzie iść. Ale nie miałem odwagi odmówić. Tata powiedział:

– Nie bój się. Przecież jesteś moim synem. Jesteś taki jak ja.

Wziąłem kamień i spojrzałem na tatę. Najwyraźniej też zaczął się bać, ale nie chciał zmarnować naszego wysiłku. Przecież napociliśmy się, łapiąc te strzeble, zniszczyliśmy prawie cały ogródek i pocięliśmy dwa sznury do bielizny. A przede wszystkim nie chciał dopuścić do siebie myśli, że przyszliśmy za późno, kiedy poziom wody już się podniósł.

Wszedłem do rzeki. Pierwsze odczucia nie były złe. Woda łaskotała mnie w łydki, a potem w kolana. Delikatnie płynęła wzdłuż brzegu, śpiesząc ku bystrzejszym nurtom. Gdy sięgnęła mi do bioder, zrozumiałem, że prąd jest coraz silniejszy. Musiałem mocniej zaklinowywać stopy

między głazami i stawiać czoła większemu naporowi. A przecież wciąż trzymałem duży kamień z przywiązanym sznurem. Na brzegu widziałem jeszcze sylwetkę taty i słyszałem, że dodaje mi otuchy okrzykami, tak jak wtedy, gdy grywałem w piłkę nożną, a potem w hokeja. Ale na nic się one nie zdały, czułem się samotny i opuszczony. Woda sięgała mi do pępka, potem do piersi, i próbowała oderwać mnie od dna. A tata krzyczał:

– Idź dalej! Jeszcze kawałek!

Obejrzałem się i już go nie widziałem. Jego sylwetka spłynęła razem z drzewami i brzegiem. Jakim prawem mnie do tego wszystkiego zmusza, skoro sam nawet nie umie pływać? Powiedziała mi o tym mama, kiedy spytałem, dlaczego tata nigdy się z nami nie kąpie. To węgorze tak go zaślepiły, że gna mnie wciąż dalej i dalej.

Rzeka sięgała mi do ramion. Chwilę później aż do szyi. Czułem jej moc. To już nie była ta wczorajsza rzeka. To była inna rzeka. Mordercza. Jej nurt mnie pochwycił, a jej fale miotały mną, rycząc: „Po co tu przyszedłeś? Jesteś bezczelny!". Udało mi się wykrzyknąć:

– Tato!

Woda zalewała mi usta, traciłem grunt pod nogami. Wiedziałem, że nie mogę puścić tego sznura, bo wówczas nurt rzeki porwałby mnie i roztrzaskał o głazy. Odwiązałem kamień od sznura i upuściłem na dno. Kurczowo trzymałem się sznura i czułem, jak coś powoli ciągnie mnie do brzegu. Tata wyciągnął mnie aż na płyciznę. Byłem największym stworzeniem, jakie kiedykolwiek miał na sznurze lub wędce.

Dowlokłem się pod krzaki, żeby odetchnąć tam od strachu i zimnej wody. Słyszałem, jak tata zwija sznur, ściąga rybki, pakuje nasze rzeczy do plecaka i mamrocze:

– Moje złote rybki. Jednak to nie była odpowiednia noc. Ale następnym razem zaserwujemy im taką ucztę, że się zesrają.

Kucałem i myślałem o tym, że na razie to my się dziś zesraliśmy.

Pewnie było tak dlatego, że węgorzom przyszła na ratunek ich matka: rzeka.

Prawdziwki

Wybraliśmy się po chrust. Krzywoklackie lasy są przepastne, niektórych oblatuje strach. Z kniei mogą się niespodziewanie wyłonić na koniach uzbrojeni w łuki zbójnicy z Tyrzowa. Albo dzielni czescy królowie z drużynami. Szanowny panie królu, pochodzę z Łęgu pod Branowem. Mówią na mnie dupka.

W każdej chwili może się rozlec ludzki płacz lub jęk rannego zwierzęcia. Może się pojawić stado dzików lub legendarny jeleń z krzyżem między rogami.

Stąpam cicho na końcu rodzinnego orszaku, żeby wszystko widzieć i żeby nic mnie nie ominęło. Za rękę trzyma mnie przybrana matka ze wspaniałego miasteczka fantazji. Liście już żółkną, nadchodzi jesień. Drzewa są grube, na ich szczytach kryją się gniazda ptasich oddziałów szturmowych. Gdzieś tam siedzi ptak Ruk. Jeśli będę się ociągał, przyleci i porwie mnie w nieznane.

Schodziliśmy w dolinę. Jurek zaczął śpiewać swoim dźwięcznym głosem:

Spotkałem raz myśliwych,
Prowadzili psy, psy, psy,
Jeden robił hau, hau, hau,

Drugi robił nau, nau, nau.

Przy hau, hau, hau, a tym bardziej przy nau, nau, nau wykręcał się na wszystkie strony i wygłupiał. Byliśmy już na skraju lasu, zaczęliśmy śpiewać razem z nim:

Gdy odejdę stąd, kochana,
Tobół węzłem ozdobię,
By pamiętać, jakże szybko,
Znudziłem się ja tobie.

Nagle Hugo krzyknął:

– Stójcie!

– Co się dzieje? – spytała mama, idąca na czele.

– Spójrzcie na to białe zbocze!

– Przecież to kamyki – powiedziała mama. – Zbocze usłane białymi kamykami.

– To nie są kamienie – odparł Hugo i ruszył pędem w stronę zbocza. A stamtąd krzyknął: – To prawdziwki!

Wdrapywaliśmy się na dębowe zbocze. Rzeczywiście było ono usłane kamieniami, ale pośród nich rosły setki prawdziwków. Dotykaliśmy ich, niektóre były już przerośnięte i miały zbrązowiałe, popękane kapelusze. Jakby rosły tu ze sto lat albo i dłużej. A każdy był inny, jak spod pędzla malarza. Smukłe i pękate. Cóż za znalezisko! Pieszczoszki mamusi i piękni starcy. Wiele z nich dostało od nas całusa w kapelusz. Wyrzuciliśmy chrust z koszyków, wszystkie napełniliśmy nowymi zdobyczami, a prawdziwków na zboczu jakby wcale nie ubyło. Moi bracia poszli na poletko do cioci Karoliny po dwa duże kosze i je również napełniliśmy.

W Łęgu wysypaliśmy prawdziwki w stodole na płachtę. Wszyscy wyszli, tylko mama tam została, bo pewnie chciała się nimi nacieszyć. Urządzi grzybową ucztę cesarza Nerona, on uwielbiał grzyby pod każdą postacią.

Wróciłem do stodoły i zastałem tam mamę wciąż przy grzybach. Ręce miała zanurzone w stercie prawdziwków, a po jej twarzy ciekły łzy.

– Mamo, dlaczego płaczesz?

– Kiedy jest dużo grzybów, będzie wojna!

– Mamo, to tylko przesąd.

– Tak mówiła ciocia Karolina. Podobno przed pierwszą wojną światową też tak rosły. Tysiące prawdziwków. A potem nadeszły bieda i głód.

Rok później przyszli Niemcy.

Niedługo po tym grzybobraniu siedzieliśmy na ławeczce w Łęgu i słuchaliśmy przez radio, jak Niemcy bombardują Warszawę. Słyszeliśmy ciężkie samoloty wojskowe Junkers i Heinkel grzmiące nad miastem. Rozlegały się pierwsze wybuchy.

Zatkałem uszy i pobiegłem w dół Łęgu. Wydawało mi się, że tam też słyszę bomby. Widziałem już nawet, jak spadają. Pierwsza na piwnicę, w której mamy kamionkowe garnki z marynowanymi rybami. Kamionka pękła, a ryby wysypały się na błoto. Bum! Druga na lekką łódkę przewoźnika, deski latały w powietrzu niczym szczapy. Łup! Dom nad rzeką rozpadł się i płonął. Nad wodą leciał duży szary heinkel, a w nim siedział roześmiany pilot z białą czaszką i wyszczerzonymi zębami. Samolot miał na skrzydłach czarne krzyże. Zaczął zrzucać bomby do rzeki, na moje ryby. Na powierzchnię wypłynęły ich martwe ciała. Woda zrobiła się biała jak białe nekrologi na wystawach sklepów. Przypominała też duże białe prawdziwki z popękanymi kapeluszami.

A na tych nekrologach było napisane:

JUŻ NIGDY TU NIE PRZYJEDZIEMY.
KARNAWAŁ DZIECIŃSTWA SIĘ SKOŃCZYŁ.

Mogą cię nawet zabić

Stawy w Busztiehradzie były dwa. Dzieliły je grobla, topole i jezdnia. Do tego nowego stawu nigdy mnie nie ciągnęło. Miał takie zimne brzegi, w większości z kamienia i cegieł. Stary staw był inny. Część jego brzegów porastał pięciornik. Pachniał potokiem, który wpadał do niego przy restauracji Opltów, i śmierdział gnojówką wypływającą z budynków gospodarskich. Pachniał też starymi wierzbami i bagnem, w którym przewalały się karpie, oraz piwem fermentującym w pobliskim browarze.

W centrum mojej uwagi znajdowały się karpie, niedawno tu sprowadzone. Nie potrafiłem zapomnieć krzywoklackiego okonia i walecznych brzan, które kiedyś tu łapałem. Ryby pływały mi we krwi i chciałem znów je łowić. W Busztiehradzie nie było gdzie. Nie ma tam porządnego potoku ani rzeki. Są tylko stawy z tablicami informującymi, że łowienie jest zabronione.

Patrzyłem, jak karpie beztrosko sobie pływają i jak prawdopodobnie o niczym nie myślą. Przemieszczały się w tym stawie z miejsca na miejsce, gromadnie jak żołnierze. Zataczały kręgi i żerowały. Gdy cienie topoli pochyliły się ku mojemu stawowi, wszedłem na wierzbę i zacząłem snuć opowieść. Wydawało mi się, że karpie nadstawiają uszu i słuchają. Były piękne, mosiężnozłote, a kiedy robiły stójki i fikołki, widziałem ich spasione żółte brzuszyska. Pracownicy browaru dokarmiali je młótem.

Potrzebowaliśmy wówczas smacznego, tłustego karpiego mięsa, dla siebie i na wymianę. Za mąkę, chleb i papierosy dla mamy. Mieszkałem już tylko z mamą, reszta rodziny była w obozie koncentracyjnym. Nie znałem się zbytnio na karpiach. Musiałem wiedzieć, kiedy są w dobrym, a kiedy w złym nastroju, kiedy są głodne, kiedy mają pełne brzuchy i kiedy będą miały ochotę na igraszki. Musiałem wiedzieć, w które miejsca pływają, a w których czekałbym na nie na próżno. Miałem już naszykowane grubą, krótką wędkę, żyłkę, spławik i haczyk. Nie mogłem przystąpić do dzieła, dopóki nie poznałem wrogów. Wrogami nie były karpie, tylko przede wszystkim ludzie. Z okien zamku dobiegała słodka niemiecka piosenka gramofonowa Lili Marleen, a na tamtejszych przyjęciach podawano właśnie karpie. W mieście było kilku donosicieli, którzy zawsze otwierali okna na oścież, żeby niczego nie przegapić i żeby nic im nie umknęło. W Busztiehradzie mieszkał również pan Franciszek Zaręba, i to on pilnował karpi. Był pierwszym dozorcą stawów, z jakim miałem do czynienia. Musiałem go poznać tak, jak poznawałem karpie. Wiedzieć, kiedy jest w dobrym nastroju, a kiedy w złym, kiedy chodzi nad stawy, a kiedy nie wyściubia nosa z domu. Musiałem się z nim poznać. Nasunąłem na oczy jak najniżej stary beret dziadka, włożyłem jego znoszone ubrania i próbowałem udawać kuśtykanie. To wszystko po to, żeby nie zapaść Zarębie w pamięć. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, zamarłem. Był przygarbiony, chyba nawet miał garb taki jak dzwonnik z katedry Najświętszej Maryi Panny w Paryżu, ten nieszczęsny Quasimodo. I był niski. Nie mógł stawiać długich kroków ani susów, nie potrafił szybko biegać. Za nic by mnie nie dogonił. Ale wiedziałem od mamy, że niektórzy tacy ludzie bywają bardzo źli. Mszczą się za to, jak naznaczył ich Bóg.

Chodziłem do lasku od strony Drzynia i trenowałem tam biegi, żeby w razie potrzeby szybko dać nogę.

W końcu pewnego dnia wieczorem przyszedłem zajrzeć do karpi i sprawdzić, czy nie zmieniły swych przyzwyczajeń. O określonej porze pod wierzbą co chwilę pojawiały się ciemne cienie.

Nazajutrz pojawiłem się nad stawem z krótką wędką pod płaszczem.

Na grobli stał właściciel restauracji, Josef Oplt, i mierzył mnie swoim jednym okiem, to drugie miał martwe, szklane. Przywitałem się z nim grzecznie, a w duchu modliłem się przestraszony:

Panie Boże w niebie, nie zdradź mnie. Panie Oplt, pan też niech mnie nie zdradzi. Przecież nasz dziadek Franciszek przychodził do was na mariasza i zostawił tam fortunę. A przynajmniej tak mawiała babcia Malwina. Amen.

Wdrapałem się na wierzbę i wyjąłem wędkę. Nadziałem na haczyk ciasto i uformowałem z niego kuszącą kulkę. Wokół stawu panował spokój, a ja byłem w dość niedostępnym dla wzroku miejscu. Z browaru unosił się dym, a w kadziach warzyło się piwo. Potoczek pachniał, a wierzby szumiały. Niemcy zamknęli okna zamku, bo zrobiło się już chłodno. Szpicle pochowali się w domach. Franciszek Zaręba jadł kolację. W takiej chwili pojawiło się moje pierwsze branie. Spławik najpierw wywijał jak baletnica, a potem zanurzył się w wodzie i popłynął pod wierzbę. Pociągnąłem i poczułem silny opór. Porządny karp. Szarpał moją krótką wędką na wszystkie strony, a pod koniec próbował już tylko zaczerpnąć powietrza. Poddał się. Pięknotek. Mosiężnozłoty z żółtym browarnianym brzuszyskiem spasionym młótem. Wyciągnąłem jeszcze jednego i zmykałem z tymi rybami jak kot. Musiałem spędzić nad stawem jak najmniej czasu, ponieważ z każdą kolejną minutą zagrożenie rosło. Minąłem pana Oplta, palił papierosa i milczał.

Mama dała mi w domu całusa za te karpie, przecież już czwarty rok trwała wojna i z jedzeniem było kiepsko. I nawet sobie, bidulka, nie

uświadamiała, że to wszystko może się skończyć olbrzymimi problemami.

Wkrótce się o mnie dowiedzieli. Ktoś mnie wydał. Ktoś z tych szpiclowskich okien doniósł na mnie Zarębie. Czułem, jak wokół mnie zaciska się pętla, widziałem czarne chmury nad moim dawnym stawem. Ostatnimi czasy wydawał mi się on zły, miotał nim wiatr, a fale pluskały złowrogo o trawiasty brzeg. Browar również wydawał mi się wrogi, a piwo śmierdziało z oddali.

Złapałem jeszcze kilka karpi i ogarnął mnie strach. Wszyscy z naszej rodziny albo byli już w obozie, albo nie żyli. Babcię Malwinę, która zawsze złościła się na dziadka Ferdynanda za to, że chodzi na mariasza, podobno zagazowali w Oświęcimiu. Kiedy pewnej nocy leżałem w swoim zimnym łóżku, zamykałem oczy i widziałem szary samolot typu Heinkel, z czarnymi krzyżami, zrzucający bomby. Potem włożyłem papcie i chodziłem po tym strasznie dużym, przeklętym, martwym domu. Cicho podszedłem do mojej drobnej, śpiącej mamy, która straszliwie cierpiała tylko za to, że kiedyś w obliczu Boga wzięła za męża Żyda i nie chciała się z nim rozejść w obliczu ludzi. Przyjrzałem się jej, miała już zmarszczki na czole, wykonywała na polu najcięższe prace. Możliwe, że dziś nie jadła kolacji. Wyglądała jak chudziutkie dziecko, a ja czułem się dorosły, pozostałem jedynym i ostatnim mężczyzną w tym domu. Po kamiennych schodach zszedłem na parter, do drzwi, za którymi nikt już nie mieszkał. Tylko dusze zmarłych. Kiedyś było to mieszkanie panny Hassold z poczty. Teraz panna Hassold odpoczywa na busztiehradzkim cmentarzu. Wszędzie pająki z krzyżami na grzbietach i pajęczyny. Wszedłem do spiżarni. W kamionkowym garnku pływał ostatni karp, jakiego złapałem. Tam i z powrotem. Było mu ciasno, a kiedy jego otępiały pyszczek trafiał na kamienną ściankę, cofał się. Na mnie w ogóle nie zwracał uwagi, tak jakby

wiedział, że to ja najpierw opowiadałem mu bajki o tym, że na świecie jest jak w raju, a potem go oszukałem, podobnie jak inni obiecujący raj.

Jutro znów pójdę nad staw i przyniosę mu tu braciszka i siostrzyczkę. Wszyscy będą mieć złote oczy, świecące jak złote latarnie.

Nazajutrz wieczorem, kiedy zamknęły się okna zamku i kiedy Zaręba zasiadł do kolacji, znów wziąłem swoją krótką wędkę i wyruszyłem na groblę. Minąłem topole, z których opadały liście, i pana Oplta, który stał na grobli i palił. Z wierzby złowiłem pierwszego karpia. Podpłynął, połknął ciasto i zanurzał się jak łódź podwodna. Włożyłem go do torby i przykryłem szmatą, żeby się nie rzucał. Kiedy próbowałem złowić drugą rybę, pojawił się pan Zaręba. A zatem nie jadł teraz kolacji. Był nad stawem i czyhał na mnie. Biegł od strony studni i krzyczał:

– Stój! Stój, łobuzie!

Biegł z trudem, powoli. Schowałem wędkę i pognałem jak koń wyścigowy. Dobiegłem aż do Oplta stojącego pod drzewami. Oplt bez słowa wskazał mi otwartą bramę na swoje podwórze.

Polecił:

– Zamknij się w szopie!

A po chwili słyszałem, jak Zaręba sapie i jak wykłóca się o coś z Opltem. Słyszałem też braciszka karpia, jak oddycha w torbie, ale sam prawie nie oddychałem. Byłem przerażony. Ludzie pokroju Zaręby są źli. Mogą cię nawet zabić.

Pan Oplt otworzył mi jakąś godzinę później. Mogłem spokojnie wrócić do domu.

Kolejnego dnia znów wybrałem się na ryby, bo myślałem, że taka bezczelność z mojej strony nikomu nawet nie przyjdzie do głowy. Oplta tym razem nie było, najwyraźniej nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Kiedy tylko usadowiłem się na wierzbie, zjawił się Zaręba. W ręku trzymał krótki kijek przypominający pałkę policyjną, idealny, by wybić głupotę z głowy takiego młodziaka jak ja. Od razu pojąłem, że Zaręba jest mądry i sprytny niczym Quasimodo. I jeszcze niebezpieczniejszy niż Niemcy w zamku czy szpicle w oknach. Poznał moje zwyczaje, zrozumiał, że w moich żyłach płynie kłusownicza krew. Nie umknę mu, w końcu mnie dopadnie z tym swoim krótkim, twardym kijem i pobije mnie do nieprzytomności, a może nawet zabije.

Poczekałem, aż podejdzie jeszcze bliżej. Krzyczał:

– Stój, gnoju! Stój, ty zasrany Żydzie!

Już nie bolało mnie serce od tych obelg, przywykłem do nich podczas wojny. Zeskoczyłem z wierzby, zwinnie wbiegłem na nasyp i przemknąłem między topolami. Czułem się lekki jak piórko i wiedziałem, że mnie nie złapie. Jako jedyny z rodziny nie miałem na nogach kajdan, a na szyi łańcucha. Pobiegłem więc niczym wolny ptak w pola, a potem ścieżkami aż do ciemnego lasu. Spałem tam pod świerkami, a w nocy słyszałem sowy. Mama powiedziała, że pod wieczór przyszli po mnie żandarmi z bagnetami nasadzonymi na karabiny. Potem się rozpłakała, uklęknęła przede mną i błagała, żebym już więcej nie zbliżał się do tego stawu.

Żandarmi więcej się nie pojawili. Nasz znajomy wachmistrz, pan Knesl, powiedział, że Zaręba był na posterunku żandarmerii, gdzie oświadczył:

– Sam się policzę z tym smarkaczem. To sprawa między nami dwoma. To ja jestem tu dozorcą stawów.

Omijałem stawy wielkim łukiem, wmówiłem sobie, że pływają w nich krokodyle i rekiny. I ośmiornice, które wciągną mnie w głębinę i wypuszczą z siebie niebieski atrament firmy Barock, żeby mama nigdy mnie nie znalazła i nie mogła pochować w cichym grobie obok panny Hassold na busztiehradzkim cmentarzu. Staw przestał dla mnie istnieć.

Zapomniałem o nim. Zajmowałem się piłką nożną i lasem. Musiałem też pracować. Chodziłem zbierać kłosy, z których wystukiwaliśmy ziarna żyta, albo węgiel na hałdzie, żeby w zimie było czym palić.

A potem, sam już nie wiem, jak to się stało, zaszedłem do spiżarni, a w dłoni znów trzymałem wędkę. Zakręciło mi się w głowie. Głupolu, w starym stawie nigdy nie było rekinów ani ośmiornic. W starym stawie pływają tylko setki złotookich karpiowych braci.

Nie wytrzymałem.

Wyszedłem przed zmrokiem. Minąłem topole i groblę, na której nikt nie stał. Chyba wyruszyłem za wcześnie, było jeszcze widno. Ale nie rezygnowałem, nie chciałem zawracać. Nie zatrzymałem się przy wierzbie, poszedłem aż do pompy na brzegu stawu, żeby widzieć go z daleka, gdyby nadchodził. Prowadziły do mnie trzy drogi. Jedna wokół stawu, druga z przeciwnej strony, też wzdłuż wody. A trzecia to wąska uliczka prowadząca w górę, ku szkole. Mógł się zjawić na jednej z nich, więc dwie pozostałyby mi do ucieczki.

Rozpakowałem wędkę i zarzuciłem. Gdy zobaczyłem spławik kołyszący się na wodzie, poczułem nieopisaną rozkosz. Woda była już zielona jak leśna trawa i pachniała rybami. Na mieliźnie kumkały żaby, a z browaru dobiegał miarowy huk maszyn. Spławik zaczął drgać. Wpatrywałem się w staw, aż nagle zrozumiałem, że coś jest nie tak.

Uniosłem wzrok i zamarłem. Wzdłuż brzegu szedł cicho w moją stronę mężczyzna, którego nie znałem. A z drugiego końca stawu szedł drugi. Cisnąłem wędkę do wody. Nogi miałem jak z żelaza. Nad stawem zapanowała cisza, słyszałem tylko swoje serce bijące jak szalone. Wtem poderwałem się, przeskoczyłem ramę pompy i pognałem uliczką w górę, ku szkole. To było moje trzecie i jedyne wyjście. Sadziłem jak najdłuższe kroki i znów uświadomiłem sobie tę ciszę panującą wokół. Najwyraźniej

całe miasto obserwowało mój wyścig i prawie całe miasto mi kibicowało. Okna zamku były otwarte i wyglądali przez nie Niemcy z lornetkami przy oczach. Okna szpicli również – i wychylali się przez nie kościści mężczyźni ze swoimi żonkami.

Biegłem uliczką długimi susami.

Skręciłem w ostatni zakręt. Przede mną pojawił się pan Zaręba we własnej osobie. Stał w rozkroku pośrodku uliczki jak czarni gestapowcy, którzy przyjeżdżali do nas czasem na rewizję. A w dłoni trzymał ten swój krótki kij, podobny do pałki policyjnej. Po obu bokach piętrzyły się ściany, nikt nas nie widział.

Ugięły się pode mną kolana. Zaręba chwycił mnie za rękę, spodziewałem się ciosu kijem, więc się skuliłem. Ale nic się nie wydarzyło. Spojrzałem nań, a on rozkazał stanowczo:

– Krzycz!

Z początku nie rozumiałem.

– No krzycz, do cholery!

Pojąłem. Musiałem krzyczeć dla Niemców w zamku i dla szpicli. Kwiczałem więc jak świnia zabijana kiedyś u dziadka Ferdynanda z browninga, bo ani za pierwszym, ani za drugim razem nie trafili jej jak należy. Już nie udawałem, wkładałem w ten ryk wszystkie siły, tak jak chwilę wcześniej w bieg. Zaręba stał pod ścianą i wywijał krótkim kijem. Potem mną potrząsnął i powiedział:

– Wystarczy.

Staliśmy naprzeciwko siebie i przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Ostatni dwaj, którzy pozostali w tym mieście. On naznaczony przez Boga, a ja napiętnowany przez nadludzi. Spytał:

– Co u taty? Pisze do was z obozu?

Pokręciłem głową.

– A bracia?

Znów pokręciłem głową.

Potem pan Zaręba oparł się o mur, spokojnie zapalił papierosa, jak przy jakiejś sanatoryjnej kolumnadzie, i zaczął dłuższą przemowę:

– Nie przychodź już nad stary staw. Nowy też jest piękny. Możesz łapać od wysokości budynków rolniczych. Nikt cię tam nie zobaczy, to całkowicie bezpieczne. A karpie z nowego stawu są chyba nawet smaczniejsze. Ale chodź tam tylko po zmroku, w bezksiężycowe noce.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Skinąłem głową, że tak zrobię.

Potem dodał:

– A teraz już idź i kuśtykaj. Kulej aż do domu, tak jak wtedy, gdy spotkaliśmy się tu po raz pierwszy, a ty miałeś wielką czapę naciągniętą aż na uszy i kuśtykałeś, żebym cię nie poznał. Pamiętasz, wtedy, gdy tak mi się przyglądałeś, żeby zapamiętać, jak wyglądam.

Uśmiechnąłem się do niego. Tylko tyle mogłem mu dać. Słyszałem, jak mówi mi na drogę:

– A do ciasta na karpie dodawaj anyżu. Lubią go i szybko wtedy biorą.

Kuśtykałem w górę uliczką.

A on ruszył w dół, ku staremu stawowi. Wywijał przy tym kijem i gwizdał tę znaną, piękną, niemiecką pieśń o Lili Marleen. Była naprawdę cudowna, tylko przeszkadzało mi w niej, że tak bardzo uwielbiali ją członkowie SS.

Szedłem do domu, utykałem i patrzyłem na nowy staw. Teraz, pod wieczór, karpie baraszkowały tuż pod powierzchnią i zostawiały na niej koła wielkie jak od wozu lub taczki. Na pewno będą brać na ciasto z anyżem. Tylko muszę poczekać kilka dni, aż nastaną ciemne noce.

Długa mila

Koniec walki wisiał w powietrzu jak nadzieja. Oba busztiehradzkie stawy odłowiono, a karpie zjedzono. Nowych ryb do stawów nie wpuścili, bo nie mieli. Narybek skończył się tak samo, jak kończyła się amunicja. I chyba było to już wszystkim obojętne, bo na co dzień pojawiały się inne problemy. Tylko mnie ckniło się za rybami. Włóczyłem się po okolicy w poszukiwaniu potoków. Płynęły powoli przez czarnoziemny step, nie były srebrne niczym wstążki ani naszyjniki królowej, tylko ciemne jak niebo nad Kladnem, czy wręcz czarne jak tamtejszy węgiel. Tylko w niektórych pływały ryby, ale niewarte złamanego grosza. Kotleciki i piskorzyki malutkie – te, które jada się surowe, gdy jest się naprawdę bardzo, bardzo głodnym. Zajadali je poszukiwacze złota w opowiadaniach Londona. Rybki srebrne niczym pocukrowane sreberka na choinkę. Czasem pod trawiastymi brzegami natrafiałem na raki jak krewetki morskie. Trzepały ogonkami i srogo się na mnie dąsały, gdy wyciągałem je z ich płytkich jam. Nie było nic porządnego do zjedzenia. Przypominało to olbrzymie akwarium, którego ściany tworzyły, miast szklanych tafli, z dwóch stron brzegi, na dole piasek, a na górze niebo. A wszędzie wokół kwitły niezapominajki i mówiły: „pamiętaj!".

Pamiętałem o swoich braciach Hugonie i Jurku. Kiedyś sypialiśmy w jednym zimnym pokoju na dwóch łóżkach. Jurka musiałem co noc

drapać po plecach, bo bez tego nie mógł zasnąć. Płacił mi za to koronę.

A Hugo, ten wyniosły arystokrata, wciąż klepał ozorem. Pokazywał nam, jak miele młyn Koniczków. Był tam młynarczykiem, a raczej darmowym pomocnikiem pracującym za mąkę i dobre słowo. Rozładowywał zboże i opróżniał worki. Miał stary rower i wózek, którym rozwoził chłopom chleb. Zazwyczaj prowadził rower pod górę i z góry, żeby wózek go nie przeważył. Chłopi dawali dobre żyto, a w zamian dostawali pyszny chleb, którego cudowny zapach ciągnął się zawsze za rowerem Hugona.

Na kolację Hugo dostawał chleb, ser piwny i piwo domowej roboty. Sypiał w młynie na pryczy.

Kiedy wywozili Hugona do obozu koncentracyjnego, jego ładna twarz nachyliła się nad moim łóżkiem, gorącymi dłońmi ścisnął mi policzki i wyszeptał dziwną tajemnicę:

– Gdy będzie najgorzej, idź do młyna Koniczków po karpia staruszka. Przeoczyli go podczas wyłowu, pewnie schował się w korzeniach. Nikt nie wie, że wciąż tam jest. Pływa, wąsaty, pod ostatnią starą wierzbą. Wykarmiłem go domowym chlebem, dla siebie. Ale mnie już nie będzie potrzebny. Zanęć go chlebem, to przypłynie.

Od tamtej chwili minęła wieczność. Jak się miewa Hugo? Pewnie zamiast porządnego chleba wozi wózki pełne trupów do spalenia, a te trupy mają wytatuowany swój numer, niepotrzebny już ani na ziemi, ani w niebie. Podobno Pan Bóg przyjmuje do nieba w innej kolejności.

My wciąż mieszkamy tu. Mama. Ja. Dlatego idę do stawu młynarza po karpia staruszka. Ma cztery wąsiki i jest już albo bardzo mądry, albo strasznie głupi. W kieszeni trzymam kawałek domowego chleba od pani piekarki Blahowej. Kilka razy go podgryzłem, ale w końcu się powstrzymałem i resztę zostawiłem dla karpia.

Nie mogłem się doczekać wyprawy do młyna. W mojej głowie był to bajkowy młyn, w którym mieszkają wesołe diabełki. Wybierałem się tam jak sójka za morze, ale kiedy w końcu wyruszyłem, podśpiewywałem sobie piosenkę, której nauczyła mnie mama:

Po potoku chodziła,
Drobne ryby łowiła.
Drobne ryby rybakom,
Piękne dziewczęta młynarzom.
Browarnikom najpiękniejsze,
Bo to chłopcy najfajniejsi.

Szedłem pod górę, w stronę zamku, po skraju pól lidickich. W dole, tam gdzie kiedyś były Lidice, pracował niemiecki Front Robotniczy i śpiewał bardzo dźwięcznie i przekonująco swój hymn:

Wir sind die Jugend
mit Hacke und Spaten.

Motykami i szpadlami rozorywali tam ziemię, żeby nie poznał jej nawet Stwórca. Staw, nad który chodziłem z lidickimi chłopakami, wysadzili w powietrze dynamitem, a woda rozprysnęła się po okolicy tak samo jak kościół. Zmienili nawet bieg małego potoczka spływającego tam z Hrzebcza. Z białych marmurowych płyt cmentarnych ułożyli drogę. Depczą po imionach i nazwiskach ludzi, którzy tu cicho spali, i jeszcze przy tym śpiewają. Teraz zamilkli. Chyba biorą się do pracy. Szykują dynamit, bo motyką i szpadlem nie da się wymazać białych wsi ze świata.

Wokół rozpościerają się lidickie pola.

Moja mama tu kiedyś pracowała, wszędzie rosły ziemniaki i kwitły drobne białe kwiatki. Ziemniaki rosły też na grobach zamordowanych mężczyzn i chłopców, a kiedy kobiety wykopywały te ziemniaki, były one podobne do ludzkich serc. Nikt nie brał tych ziemniaków do domu, wszyscy się bali. Tylko zachłanna Hanaczkowa zaniosła ich do domu całą torbę i rok później już nie żyła.

Na karpia miałem wystarczająco dużo czasu. Słońce kołysało się nad horyzontem, a ja sobie przypomniałem, że chciałem zajść na Długą Milę. Długa Mila to odcinek szosy prowadzącej do lotniska między dwoma rzędami starych lip. Długa Mila była dla mnie czymś nieokreślonym. Oznaczała wyścig samochodowy albo długą szosę, albo też całe życie. Dziadek Ferdynand miał nawet takie powiedzonko:

DZIĘKI WYTRWAŁOŚCI OSIĄGNIESZ SWE CELE, DZIĘKI NIEJ POKONASZ NAWET DŁUGĄ MILĘ.

Szedłem do tej Długiej Mili i podskubywałem domowy chleb przeznaczony dla karpia staruszka. Przeskoczyłem nad potoczkiem i ruszyłem w górę. Na górze zobaczyłem, że Długa Mila już właściwie nie istnieje. Podobno lądował tu bombowiec sztukas i zahaczył o te lipy. Zrobił w powietrzu fikołka i spadł na pole. Rozbił się w drobny mak i spłonął doszczętnie, zanim zdążyła przyjechać straż pożarna. Pilot też spłonął. Rozłożyste lipy na Długiej Mili zapłaciły za to najwyższą cenę. Na miejsce zdarzenia przyjechał czołgiem nazistowski generał w czapce generalskiej i z miejsca wydał rozkaz:

– Niech spadną głowy wszystkich naszych wrogów!

I wszystkim drzewom ścięto korony, zostały po nich tylko pnie. Ludziom było tych lip bardzo żal. Chłopi płakali po nich jak po własnych dzieciach. Wspominali, jak w ich cieniu chadzali do Pragi na targ, z jajkami

i masłem. Uwielbiali ten miodny czas, kiedy lipy pachniały i sięgały aż hen, wysoko do nieba, a pszczoły wzlatywały aż ku wierzchołkom. Z kwiatów zaparzano herbatę dla całych wiosek, żeby nikt nie kaszlał, gdy nadejdzie zima. A teraz konie ciągnęły pnie, a pomimo że drewno było stare, wciąż lśniło bielą jak ciała dziewic, które nie zaznały jeszcze miłości. Chłopi narzekali, że kiedyś żaden żołnierz nie mógłby bezkarnie ściąć żywego drzewa.

Doszedłem na koniec tej oszpeconej Długiej Mili, skąd było niemal widać Pragę.

A potem zawróciłem i ruszyłem do młyna Koniczków i rozbolały mnie nogi.

Młyn Koniczków był piękny, prawie tak piękny jak młyn z dzieciństwa, młyn w Nezabudicach. Widziałem tajemniczy otwór prowadzący na poddasze, pewnie to tamtędy schodziły na dół te diabełki Pacufraki, gdy młynarz wychodził do gospody. Pacufraki były dobre, dokazywały w całym młynie i powtarzały w kółko wierszyk o kole młyńskim. Najstarszy Pacufrak, który pamiętał jeszcze króla Jureczka, ciągnącego tędy ze swoimi wojami na Busztiewes, siedział na kominie, piał, a dym wlatywał mu do dziurki pod końskim ogonem. Ogrzewał go tam, robił mu tam dobrze, a jednocześnie diabełek pilnował, czy aby nie wraca podchmielony młynarz.

Podszedłem do młyna.

Panowała w nim cisza, najwyraźniej młynarz siedział w domu. Pacufraków nie widziałem. Wszedłem na podwórze i zapukałem do drzwi budynku gospodarczego. Jak ten młynarz może się nazywać? Skoro młyn Koniczka, to pewnie Koniczek. Po chwili stanął w drzwiach, zapinając kamizelkę. Skinął głową w odpowiedzi na moje powitanie i spytał bardzo uprzejmie:

– Co cię sprowadza, chłopcze?

– Panie Koniczek, czy mogę tu połowić?

Młynarz oparł się o mur i rzekł:

– Nie nazywam się Koniczek. Tylko pierwszy tutejszy młynarz się tak nazywał.

Powtórzyłem prośbę, tylko tym razem już bez nazwiska Koniczek.

Odparł:

– Śmiało. Ale nic tu nie złapiesz. Są tu tylko okonki mniejsze niż mój mały palec, nie połaszczyłaby się na nie nawet nasza kotka Łucja. Ikrę przyniosły tu ptaki na nogach i dziobach. Nie złowisz tych rybek wędką, bo mają za mały pyszczek. Ten staw jest już martwy, tak jak martwe są rzeka i młyn. Wiesz co, lepiej daj sobie z tym spokój i chodź ze mną do izby, pogadamy.

Zapewne był to dobry człowiek. Lecz pokręciłem głową i wyjąłem żyłkę, żeby nie zdążył zmienić zdania.

Machnął nade mną ręką.

– To idź.

Wiedziałem swoje, najwyraźniej byłem jedną z dwóch osób, które znają tajemnicę tego stawu. Tylko ja i mój brat Hugo. Kroczyłem od młyna ku grobli, a za plecami słyszałem jeszcze prześmiewcze okrzyki młynarza:

– Wszystko, co złapiesz, jest twoje! Wszystko twoje!

A potem zniknął w młynie. Odetchnąłem. Dotarłem do płytkiego stawu. Był nieduży, od przeciwległego brzegu dzielił mnie zaledwie rzut kamieniem. Lecz był również piękny jak porcelanowy półmisek na zieloną sałatę. Na mieliźnie kołysała się mała łódka z dwoma wiosłami, a na brzegach rosły topole oraz kilka wierzb. W zielonkawej czystej wodzie pływały okonki wątłe jak wierzbowe listki. Ciekawe, jak te okonie odwdzięczyły się ptakom za to, że przyniosły je na swoim ciele do tak

urokliwego stawu? Cóż mogły obiecać im w zamian? Figę z makiem, po prostu tak urządziła to przyroda. Okonki bawiły się jak dzieci, były to takie rybki do zabawy dla małego księcia na zamku. Lecz moją głowę zaprzątało coś zupełnie innego. Poszedłem do ostatniej, popękanej, starej wierzby, pod którą miał mieszkać karp staruszek. A jeśli młynarz już go zjadł? Przecież śmiał się tak głośno i krzyczał, że wszystko, co złowię, jest moje. A czy nie krzyczał też, że jeszcze mi coś dorzuci? Pewnie pół młyna i swą cudną córkę.

Ta ostatnia wierzba pochylała się ku tafli, a jej wąziutkie listki niknęły pod powierzchnią, lecz w wodzie nie było nic widać. Przywiązałem haczyk do długiej żyłki, nawlokłem piórko z gęsi, którą kiedyś ukatrupił tata, i wyciąłem sobie witkę. Uformowałem z chleba kulkę i zarzuciłem haczyk z przynętą do stawu.

Domowy chleb jeszcze pachniał. Miałem na niego straszną chrapkę. Ale to nie był chleb dla mnie. Był to chleb karpiowy. Łamałem go jak relikwię i wrzucałem do stawu, by zanęcić karpia. Na wodzie dryfowały wysepki z chleba. Dryfowały, ale nic nie nadpływało. Zacząłem cicho mówić:

– Karpiku. Staruszku. Przypłyń do mnie. To ja, brat Hugona. Tego, który karmił cię domowym chlebem. Karpiku…

Czułem się wspaniale, mogąc po tylu latach znów legalnie łowić. Żaden dozorca stawów nie mógł mi nic zrobić. Oczy mi się kleiły, wykończyła mnie ta Długa Mila. Usnąłem zwinięty w kłębek jak jamnik, a kiedy się obudziłem, w stawie odbijały się ostatnie promienie słońca. Witka leżała obok, spławik tkwił nieruchomo. Ale woda była jak zamieciona: chleb zniknął! A zatem jest tu ten staruszek. Zjadł chleb, wąsiki sobie potłuścił, ale przynęty na haczyku spryciarz nie tknął. Nie chce mu się opuszczać stawu Koniczka. Oczami wyobraźni widziałem, jak wyjada mój chleb z powierzchni wody, jak otwiera paszczę i go połyka.

Rzuciłem ostatnie kawałki chleba na zielonkawą taflę i znów zapadłem w drzemkę. Uśpiła mnie Długa Mila. Teraz płonął tam samolot, płonął pilot w kombinezonie, a mnie było go żal, choć to Niemiec.

A gdy się obudziłem, moja niezabezpieczona wędka pływała po stawie ciągnięta przez wielkiego karpia.

Nie zastanawiałem się. Musiałem wejść do wody. Rozebrałem się do naga i się zanurzyłem. Wstrząsnął mną chłód, jesienią woda była już zimna. Bagienko na dnie przelewało mi się między palcami, siusiak się skurczył.

Ruszyłem za karpiem staruszkiem. Okonie z czerwonymi płetwami rozprysły się jak kolorowe liście, a woda się zmąciła. Nie było łatwo. Wędka uciekała przede mną jak jakaś dziwaczna łódź bez pasażerów, a gdy przyśpieszyłem, ona też przyśpieszyła, woda tryskała na powierzchnię. Żeby go dopaść, musiałem go najpierw zmęczyć. Kontynuowałem gonitwę. Na grobli pojawił się młynarz.

– Co tam wyprawiasz?

– Gonię karpia z wędką.

– Karpia? – zdziwił się, a potem zawołał: – Wyłaź z tej wody!

Wyszedłem, a on poszedł do młyna i wrócił z dużym podbierakiem oraz płóciennym workiem po mące. Patrzył na mnie, jak sinieję i zielenieję, mienię się wszystkimi kolorami i szczękam zębami. Rzucił mi ten worek po mące i powiedział:

– Wytrzyj się, bo nie mogę na ciebie patrzeć.

Wytarłem się, ale teraz dla odmiany byłem cały biały od mąki. Tymczasem młynarz podszedł do brzegu i odwiązywał tę małą łódkę z wiosłami. Wrzucił do niej podbierak i skinął głową, żebym też tam wskoczył. Bardzo się ucieszyłem, że mi pomoże. Zaczął wiosłować i ruszył w pogoń za karpiem. Młynarz był niezwykle silny, łódka niemal skakała po wodzie, tak jakby droga powietrzna była dla niej łatwiejsza. Karp też

należał do mocarzy, bał się płynącej za nim wędki, bał się łodzi, a przede wszystkim bał się tego młynarza. Co jakiś czas na powierzchnię wyłaniała się jego potężna płetwa grzbietowa. Młynarz klął, pocił się, wzywał na pomoc Boga i diabła, ściągnął kamizelkę. Potem karp popełnił błąd. Wpłynął w róg stawu, skąd nie miał już dokąd uciec. Chwyciłem wędkę, a wyczerpana ryba położyła się na boku, ciężko dysząc. Młynarz podebrał go i wciągnął do łódki.

Na brzegu położył go na jesiennej trawie i dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć. Miał wąsy jak wodnik, brakowało mu tylko fajki. A oczy miał bardzo dziwne, takie mądre, brązowawe, wyglądały jak miniaturowe bochny domowego chleba. Ale poza tym był bosko złociutki. Słonko właśnie zachodziło, a to złoto rozlewało się po bokach ryby, wyglądało to tak, jakby złoto płakało i ściekało z powrotem do macierzystego stawu. Płetwy już nieco się sfatygowały od myszkowania po stawie i szukania pożywienia, kiedy akurat nie podawano domowego pieczywa. Młynarz też mu się przyglądał, ale chyba innym wzrokiem niż ja. Powiedział:

– Kto by pomyślał. Taki olbrzym w moim stawie.

Potem wziął go w ramiona tak, jak bierze się niemowlę, i ruszył z nim w stronę młyna. Natychmiast zrozumiałem, że zamierza zachować go dla siebie, i zdobyłem się tylko na jedno zdanie:

– Panie Koniczek, ten karp jest mój.

Młynarz obrócił się i odparł:

– Jesteś za mały na takiego wielkiego karpia.

Wszedł na podwórze, ja nagi i biały śpieszyłem za nim. Nie chciałem zrezygnować z tej ryby, bo była nie tylko moja, ale też mojego brata Hugona, który karmił ją domowym chlebem. Młynarz położył karpia na stolnicy pod szopą i odszedł. Wziąłem w dłonie głowę karpia i powiedziałem:

– Staruszku, nie powinienem był tu przychodzić.

Młynarz wrócił z drągiem i nożem. Roztrzaskał mu głowę i rozciął skrzela, żeby wyciekła z niego krew. A potem zeskrobał mu z ciała te duże złote łuski. Latały i tryskały na wszystkie strony, spadały na ziemię jak złoty deszcz, przyklejały się do drewna, przyssały się też do mojego nagiego ciała. Potem młynarz rozpruł mu brzuch, a z wnętrzności wysypywał się na ziemię mój drogocenny, niestrawiony i zbrukany krwią chleb. Młynarz odkopnął go w stronę przyglądających się nam i żebrzących kur, a ja się rozpłakałem. Obrócił się i spytał:

– Jeszcze tu jesteś?

Poprosiłem, żeby pozwolił mi pozbierać łuski.

– Weź sobie te łuski i spływaj. Zaraz będzie ciemno.

Klęczałem w błocie i podnosiłem łuski, aż nazbierałem ich pełne dłonie. Podszedłem do swojego ubrania i włożyłem łuski do kieszeni. Wtedy to na mnie spadło. Taki wielki smutek i taki wielki żal. Taki gniew na niesprawiedliwy młyn, w którym dymiło się z komina i gotowała się kolacja z mojej olbrzymiej ryby. Wróciłem do tej starej, karpiowej wierzby. Zapadł zmrok, a w jej spróchniałym pniu zabłysło światło, jakby kogoś witała lub z kimś się żegnała. Już nie czułem się taki samotny. A chłopi mieli rację, że drzewa są żywe i bezsilne tak samo jak dzieci i płochliwa zwierzyna.

Przestałem płakać i wyruszyłem w drogę powrotną, która była o wiele trudniejsza niż droga niepowrotna. Wszedłem do domu. Mama już spała. Na stole zostawiła dla mnie kubeczek koziego mleka i kromkę czarnego chleba.

W swojej izdebce wysypałem łuski na stół. Najpierw ułożyłem z nich kształt karpia staruszka. Potem pogrupowałem je w szeregi i kolumny, szwadrony i bataliony i rozkazywałem im: „W prawo zwrot! W lewo zwrot!

Szturm na młyn Koniczka!". Łuski w moich oczach stroszyły się i pobłyskiwały, było to cudowne wojsko, które nadeszło, by zaprowadzić sprawiedliwość na całym świecie. Potem usnąłem pod pierzyną, a we śnie udzielałem aktu łaski, tak jak król udziela jej nieprawym. We śnie łuski były pięknymi złotymi monetami od karpiego króla. Na każdej z nich widniał cesarz z bokobrodami, na jego mundurze na piersiach wisiał order, a pod nim był napis: IMPERIUM ROMANUM. Znów rozkazałem: „W tył zwrot!". Pieniądze się odwróciły i pojawiły się krzyż lotaryński oraz czeski lew. Śnił mi się też miodny czas, święto drzew i święto pszczół. Ujrzałem piękną pannę, która miała ciało białe i niepokalane jak ciała lip w alei nazywanej od zawsze Długą Milą.

ODWAŻNY MŁODY MĘŻCZYZNA

U Proszków po wojnie

Po wojnie od razu pognałem do Krzywoklatu. Dosłownie poleciałem. Najpierw sam, z plecakiem i jedną wędką. Znów mieszkaliśmy w Pradze, więc wyruszyłem z dworca na Smíchowie pociągiem z brudnymi oknami. Splunąłem na chustkę i wytarłem sobie na szybie kółko. Zobaczyłem przez nie rzekę i zachciało mi się płakać.

Patrzyłem na wiosenną wodę i wiedziałem, że woda płynąca w Berounce tutaj płynęła wcześniej też wyżej, wzdłuż wsi Skryje, i pod łodziami wujka Proszka w Łęgu. Rzeka, tak jak obłoki, płynęła w miejscach, w których było nam w życiu dobrze. Obserwowałem jej nurt, jej ryby skaczące nad powierzchnią, młyny na jazach i jazy na okiełznanych toniach. Młynarzy, którzy wciąż mełli, i przewoźników przewożących tam i z powrotem. Po sześciu latach znów widziałem rzekę. Przyciskałem twarz do szyby, by nie umknął mi żaden szczegół. Kochałem rzekę bardziej niż cokolwiek innego na świecie i wówczas się tego wstydziłem.

A w dodatku nie wiedziałem, dlaczego tak ją kocham. Może dlatego, że są w niej ryby, a może dlatego, że jest wolna, niespętana? Dlatego, że nigdy się nie zatrzyma? A może dlatego, że szumi i nie daje spać? Może też dlatego, że jest tu od wieków, albo dlatego, że codziennie jej wody umierają gdzieś w dali? A może dlatego, że można nią płynąć lub w niej umrzeć?

Nie potrafiłem wtedy odpowiedzieć, byłem jak młody pies, który dopiero obwąchuje zapachy najpiękniejszych rogów.

W moim okienku pojawił się zamek, był to Karlsztejn. Czescy królowie mieli podobny gust jak ja. Wybrali Berounkę i zbudowali nad nią zamki: Karlsztejn i Krzywoklat.

Jeśli zaś chodzi o lemoniadę, to w Berounie piło się żółtą. Tam przesiadam się do pociągu z Rakownika do Krzywoklatu, jadącego obok lęgowisk pstrągów, gdzie w kołyskach słońca kołyszą się i kąpią małe pstrążęta. Tory wiodą pod stradonickim grodziszczem – chłopi znajdują tam na polach złote pieniążki. Obok pił tarczowych, tam gdzie z drzew robi się deski, a z desek pachnące łóżka. Rzeka płynie tam po dnie doliny. Bez słońca jest pełna łez.

W Krzywoklacie wysiadam i idę w górę rzeki. Już nie dzieli mnie od niej okno pociągu, a mózgu nie atakuje huk parowozu. W nos uderza zapach ryb, przeżywających obecnie czas miłości, a wraz z nim czuję odór utopionego żołnierza. Wodna bryza pozwala zapomnieć o żalu. Rzeka bywa też zła i ma swoje wrzody. Oczyszcza się tak, że odpływa gdzie indziej, niczym wiosną kry.

W górze, nad Wiśniową, jest czysta. W nurcie dostrzegam kilka mięsistych brzan. Ryją w dnie, stając przy tym na głowie. Przypominają stado dzikich koni lub kozic. Puszczają bąbelki i pewnie chrumkają jak wieprze. Kładę się na brzuchu i je obserwuję. Potem się ruszam, a one znikają w głębinie.

Wyżej rzeka już tylko pachnie. Jak niezapominajka. Jak nenufar. Jak dzikie kłącze tataraku. Jak wierzbina. Pachnie wodą.

Już się nie zatrzymuję. Śpieszę się, by jak najszybciej dotrzeć do Łęgu, tak jakbym nie chciał, by cokolwiek mnie tam ominęło. Już przechodzę obok jazu. I skały Szymów.

Pod skałą Szymów

Dwaj trampowie stali…

Biegnę. Plecak podskakuje mi na plecach i robi bum! bum!, tak jak moje serce. Po wąskiej ścieżce przy akacjach pędzę w górę do domku przewoźnika. Oby jeszcze żyli (napisaliby, gdyby ktoś tam umarł). I oby byli w domu. I oby nie byli chorzy. I oby mnie pamiętali. I oby mnie poznali.

Walę w drzwi. Nikt nie otwiera.

Przyszedłeś za późno. Twoje dzieciństwo minęło.

Siadam przed progiem i czekam. Wkrótce przychodzi wujek Proszek z wikliną. Rzucam się mu w ramiona, ale on przytula mnie nieśmiało, nie ma w zwyczaju pieszczot nawet z własnymi dziećmi. Rozmawia ze mną, a ja pojmuję, że obaj się postarzeliśmy. Obaj przebyliśmy długą podróż w nieznane. Podróż, która wciąż trwa. Na jej końcu czeka cel i nie będzie już stamtąd powrotu.

Wujek Proszek nalewa mi swoją legendarną zupę ziemniaczaną. Pływają w niej prawdziwki, a na wierzchu zieleni się nać selera. Proszek obserwuje mnie cicho, a potem pyta:

– To gdzie będziesz dzisiaj łowić?

Mały pstrąg

Łowiłem w Potoku Skrzywańskim. Jeździliśmy tu już w czasach, kiedy oglądałem świat z białego wózeczka i ssałem smoczek. Nad tym pięknym potokiem zamieszkał kiedyś świetny facet, Jarek Franiek z żoną. Był agentem wywiadu w Indochinach, w „Annamie". A kiedy stamtąd powrócił, na skrzyżowaniu szarych dróg pod Nezabudicami postawił drewnianą budkę z piwem, rumem i żółtą lemoniadą i nazwał ją „Annam". Polakierował ją na brązowo, a kawałek dalej, przy potoku, wybudował murowaną restaurację „U Agenta". Sercem do końca życia pozostał agentem, dopóki Niemcy nie zabili tego jego serca w więzieniu Plötzensee.

Ta pani na balkonie to jego żona. Pani Franiek, dzielna. Jest szczupła, a włosy ma krucze. Kiedy jej męża zabierali Niemcy, powiedział jej na pożegnanie:

– Nigdy nie opuszczaj „Agenta".

Mieszkała tu sama, w krzywoklackich lasach. Serwowała jedzenie spadochroniarzom, którzy grywali tu w bilard, a jednocześnie z wyciągniętymi pistoletami obserwowali szosę, czy aby nie jadą Niemcy w opancerzonych transporterach. Gotowała grochówkę dla rybaków i wędrowców.

Już mnie dostrzegła, krzyczy z balkonu:

– Chłopcze, jak ty urosłeś!

Uśmiecham się, gdy to słyszę. Kogo by nie ucieszyło, że wyrósł? Mnie ucieszyło. Lubię panią Franiek, sam nie wiem dlaczego. Chyba dlatego, że jest dobra i że kochała pana agenta. A także dlatego, że nie bała się faszystów w opancerzonych transporterach. Chciałbym kupić jej kiedyś jakiś wielki prezent, na przykład auto lub motocykl, żeby mogła czasem jeździć na zakupy do Krzywoklatu i do nas do Pragi w odwiedziny.

Szedłem dalej pod czereśniami kwitnącymi w ogrodzie. Przy podmuchach wiatru tworzyła się tam taka różowa zawieja, płatki z czerwonymi plamkami fruwały z każdej strony.

Za ogrodem otwierała się dolina wiodąca na Skrzywań. Cicha, zazwyczaj nie widywałem tam żywej duszy. Na przemian łąki, pola, zbocza, laski. Czasem zakuka kukułka, na kwitnących łąkach skaczą tegoroczne pasikoniki, jeszcze małe, o słabych nogach.

Dotarłem do swojego potoku.

Wody płynęło w nim więcej i była nieco zmącona, nie widziałem pstrągów. Nie miałem wędki. Bałem się ją wziąć, gdyby co, to złapię gołymi rękami. Kroczyłem wyżej, aż do pól i gajówki zwanej Gipsownią. W tej Gipsowni dymiło się z komina, więc się skuliłem i przemknąłem wzdłuż brzegu, to stary zwyczaj kłusowników. Zdjąłem buty i czułem się cudownie, trawa chłodziła mnie i łaskotała w stopy, jakby chciała mi coś powiedzieć. Po wszystkich tych praskich brukach było to jak balsam z macierzanki. Co jakiś czas dostrzegałem w potoku pstrąga, leżał na mieliźnie przy końcu toni i czekał, co też przyniesie mu woda. Gdy mnie dostrzegł, odpłynął.

W pewnej gajówce nad potokiem mieszkał emerytowany gajowy Karol Kalous. Podobno miał dobre serce, ale nigdy go nikomu nie okazał. Wszystkich obrzucał wyzwiskami, niektórych nie da się nawet powtórzyć.

Zaprzyjaźniliśmy się po długim czasie, ja smażyłem mu na patelence świeże pstrągi, on pluł ośćmi do ognia i narzekał, że wolałby wieprzowinę. Wyrzekał też na swoją krowę, która wciąż mu uciekała, oraz na zakład emerytalny, bo dostawał za mało pieniędzy. Stękał także na mnie, ale ja się śmiałem, bo już go znałem i czułem się dobrze w jego towarzystwie.

Tyle że wtedy byłem ledwo wyrostkiem – jak stwierdziła pani Franiek. I bardzo się tego gajowego bałem. Skradałem się obok gajówki, ale nic nie uszło jego uwadze. Zoczył mnie. Od razu zaczął krzyczeć:

– A dokąd to, łajdaku?! Ty łotrze! Ty draniu! Czekaj no, ustrzelę cię jak dzika!

I człapał ciężkim krokiem do gajówki po strzelbę, której nie miał. Lecz tego wówczas nie wiedziałem i uciekałem między wierzbami jak szczuty zwierz. Zatrzymałem się dopiero za dużą skałą. Nie gonił mnie. Widziałem, że sika w lesie, bo wiatr kiedyś zdmuchnął mu toaletę, a on już nie postawił drugiej.

Za gajówką Kalousa zaczynała się strefa dużych pstrągów. Potok się tutaj zwężał. Były tu urocze głębiny i ciche zakola, w których często poiły się sarny, a czasem nawet zbłądził jeleń, wielki jak jałówka.

Nagle dostrzegłem w wodzie pstrąga. Na niezbyt dużej głębokości. Rozebrałem się do majtek i wszedłem do wody. Była lodowata. Wiedziałem, że pstrąga trzeba łapać obiema rękami, żeby nie mógł umknąć na boki. Zanurzyłem dłonie. Długo nic nie czułem, aż wreszcie go dotknąłem. Obaj się wzdrygnęliśmy. Miał zimne rybie ciało. W chwili gdy dotykacie ryby, ogarnia was ekstaza od opuszek palców aż do mózgu. Znów go dotknąłem. Salwował się ucieczką między korzenie. Był większy, niż początkowo sądziłem. Potem poczułem go po raz kolejny. Ale był zaklinowany wśród korzeni i przedzierał się jeszcze głębiej. Musiałem go zabić, żeby go wyciągnąć. Poszedłem na brzeg po nóż. Wszedłem

z powrotem do wody. Wciąż tkwił w tej dziurze, zmarnował ostatnią szansę ucieczki, kiedy ja poszedłem po ten nóż. Zacząłem dźgać i ciąć. Znieruchomiał, a ja wyciągnąłem go martwego. Nie był tak duży, jak myślałem, w sumie był dość mały. I całe ciałko miał pokiereszowane, jego jaskrawe pomarańczowe kropki zostały poprzecinane. Ale cieszyłem się. To był mój pierwszy pstrąg.

Owinąłem go w brudną chustkę i ruszyłem z powrotem do „Agenta".

Przed gospodą pomyślałem, że podaruję pstrąga pani Franiek. Bóg wie, od jak dawna nie jadła mięsa, kto wie, od jak dawna nie jadła ryby. Zapukałem do drzwi kuchni. Uśmiechnęła się do mnie i spytała:

– Co tam?

– Coś pani przyniosłem.

Wyjąłem chustkę i położyłem na ławie małego pstrąga.

Milczała. Po chwili powiedziała cicho:

– Mogłeś mu jeszcze dać trochę pożyć.

Idąc tyłem, opuściłem kuchnię. Biegłem aż do szosy i dopiero tam się zatrzymałem. No to ładnie. To było to auto i ten motocykl, które chciałem jej podarować.

I po raz pierwszy w życiu przyszły mi do głowy pytania:

– Skąd bierze się w nas to mordowanie?

– Skąd bierze się w nas krew kłusowników?

Zawstydzony pobiegłem dalej jak złodziej, który wie, że znów będzie kraść, bo to lubi.

Nad rzeką się rozebrałem i zacząłem pływać, żeby się oczyścić jak grzesznicy w tej indyjskiej rzece Ganges. Nie myślałem o niczym. Ponieważ rzeka to coś innego niż potok. Rzeka to głęboka studnia zapomnienia.

Długi Janek

Najpiękniej na świecie podróżuje się kanadyjką. Lużnicę i Wełtawę przepłynąłem pięć razy, więcej nie zdążyłem z powodu choroby. Takie spływy są cudowne, a dla wędkarzy wręcz fantastyczne. Tak jakbyście jedli świeży chleb z masłem i dodatkowo posmarowany miodem. Po prostu wiele zachwytów naraz. Jesteście na ukochanej rzece i codziennie łowicie ryby. Zatrzymujecie się przy najpiękniejszych głębinach i najurokliwszych miejscach, do których wędkarze nie mają szans dotrzeć piechotą, a tym bardziej żadnym pojazdem silnikowym. Zaniesie was tam woda. Wystarczy wiosłować.

A wiosłowanie to nasza domena. Bez dwóch zdań. Moim pierwszym kompanem był Długi Janek. Świetny chłopak z kędzierzawymi włosami i zarośniętą klatą, nogami długimi jak u koszykarza i rękami niczym łopaty górnicze. Uwielbiał się głośno śmiać i pięknie śpiewał. A kobiety pociągał dużo bardziej niż ja.

Uzgodniliśmy, że popłyniemy razem kanadyjką po rzece, którą nazywaliśmy Ontario Lużnica. Rzece dotychczas nam nieznanej.

Zdobywca srebrnego medalu na olimpiadzie w Berlinie, kajakarz Boża Karlik, zapewniał nas, że nie ma się czego bać, bo wszystkiego nauczymy się po drodze. Opowiadał nam wesołe historyjki, na przykład tę o kanadyjkarzu okularniku, któremu dwa razy przewróciła się łódka i dwa

razy okulary poszły na dno. W Sobiesławiu przymocował do nich korki po winie, żeby utrzymywały się na wodzie. A kiedy potem jego łódka przewróciła się po raz trzeci, po Lużnicy wprawdzie pływały okulary, ale po kanadyjkarzu nie było ani śladu.

Cóż za zabawna historia, panie Karlik!

Nasza wyprawa była jak skok na głęboką wodę, i to taki, jakbyśmy nie umieli pływać, ale mieli nadzieję, że gdy skoczymy, to się nauczymy. Cóż za lekkomyślność! Zwłaszcza że nie mieliśmy namiotu, ani nawet łódki. I tego namiotu nie udało nam się zdobyć, a kanadyjkę załatwiliśmy w ostatniej chwili. Uratowały nas gołe baby. Kiedy proponowaliśmy panu Leopoldowi Dandzie stówę za wypożyczenie, minę miał nietęgą, ale gdy dorzuciliśmy pięć zdjęć kuso odzianych dziewczyn z kalendarza Playboya, zmiękł. Był to człowiek niezwykle wrażliwy na sztukę. A zatem mogliśmy wypłynąć.

Na maszynie do pisania napisałem przez kalkę wiadomość i rozłożyłem ją na swoich biurkach:

WRÓCIMY ZA MIESIĄC ALBO NIGDY.

Wyruszyliśmy pociągiem do Suchodola Ontario, gdzie czekała na nas zdezelowana kanadyjka, wysłana tam najpierw pociągiem towarowym. Byliśmy młodzi, bez grosza przy duszy. Rzeczy też mieliśmy niewiele, tylko worki, a na ich dnie konserwę z jakimś niejadalnym paskudztwem. Zdaliśmy się na jedną pękniętą składaną wędkę, jeden kołowrotek i jedną błystkę. I na gębę Janka. Jako były konferansjer potrafił opowiadać o wszystkim tak, że pękłby z zazdrości nawet ktoś, komu się ocielił byk. Jak się później okazało, była to cecha bardzo użyteczna, bo przecież nie rezerwowaliśmy noclegów z wyprzedzeniem. Nie narzekaliśmy też na nadmiar jedzenia. Ale za to mieliśmy trzy butelki becherovki. A becherovka

jest podobno dobra na wszystko. Na rozgrzanie, na fale, na progi rzeczne, na łaskawe oko.

Dowlekliśmy się z dworca z tą kanadyjką pod Suchodol, zsunęliśmy ją do wody i wsiedliśmy. Jest to bardzo nietypowe i przepiękne uczucie. Jakby płynęło się w skorupce po krysztale. Wszędzie widać dno. Człowiek zmienia się w starego Indianina, który to kanu wymyślił, i wraca na prawdziwą amerykańską rzekę. Przepływa nad grzbietami ryb, które się go nie boją i uznają za nieszkodliwą rybę. Górny odcinek rzeki jest równie piękny jak szczyt ośnieżonej góry. Im bardziej rzeka będzie się zbliżać do cywilizacji i Pragi, tym częściej będzie płakać brudem, którym skaziliśmy ją my, ludzie.

Wiosłujemy, ale nie bardzo nam to wychodzi. Nurt ściąga nas na korzenie drzew, kręcimy się jak dziecięcy bączek. Długi Janek wiosłuje z przodu, ja steruję z tyłu. Janek się upiera, że będziemy się codziennie zmieniać. Nie zamierza ciągle patrzeć, jak niszczę wypożyczoną łódź.

Po kilku godzinach nabieram wprawy. Wyrabiam zakręty, omijam progi wodne i nurty. Wniebowzięty wrzeszczę do Janka:

– I co, stary?! Jaki ze mnie partner?

Odmrukuje coś niczym niedźwiedź.

Rzeka przyśpieszyła, pachnie tu rybami, a w nozdrza uderzają opary przesycone słodkawym zapachem tataraku.

W poprzek rzeki leży drzewo. Jakiś doświadczony kajakarz wyrąbał pośrodku przepływ w sam raz dla jednej kanadyjki. Po bokach gromadzą się iglaste gałęzie nasiąknięte wodą. Muszę trafić w ten tunel światła, bo będzie niedobrze. Gałęzie wepchnęłyby nas pod wodę. Janek odwraca się do mnie i pyta zaniepokojony:

– Zmieścisz się tam, przyjacielu?

– Bądź spokojny, druhu.

Celuję w otwór, który wydaje mi się szeroko otwarty i wielki jak Brama Prochowa. Ale im bliżej dopływamy, tym staje się mniejszy. A potem porywa nas jakiś prąd wsteczny, w który Janek nigdy nie uwierzy, i ściąga nas on pod gałęzie świerku. Wpływamy pod nie, wpychają nas pod wodę, więc przepływamy pod tym świerkiem jak łódź podwodna z floty królowej angielskiej. Łódka się przewróciła, worki pływają. Za świerkiem wyłania się z wody głowa Janka, który się gorączkuje:

– Nie trafiłeś w tę dziurę, do cholery!

Zrezygnowany łapię rzeczy i wykręcamy ubrania. Płyniemy dalej. Po chwili uśmiechamy się do siebie szeroko jak kochankowie. Bo czyż można się złościć, widząc tak cudowne szczupacze rewiry? Widząc płynące pstrągi, tak spokojne, że aż dziw, iż nie trzymają się za płetwy jak ludzie za ręce? Czy można się złościć, gdy okrągłe słońce spada z nieba wprost na łódkę, toczy się po niej i ogrzewa siedzenia tuż pod pupą? Czyż nie płyniemy po rzece Ontario? A jeśli przymkniemy oczy, to nawet po Amazonce, a ten pstrokaty ptak na gałęzi to papuga kakadu.

Pod wieczór Janek idzie żebrać o nocleg w zabudowaniach przy rzece. Z powodzeniem. Łódkę zostawiamy na brzegu, odwróconą do góry dnem, i z workami na plecach człapiemy jak włóczędzy do stodoły. Mamy tylko jedną kolorową płachtę namiotową, z którą niemiecki żołnierzyk wybrał się kiedyś na podbój świata, ale ostatecznie nie podbił niczego. Kładziemy się więc na niej obok siebie, pod spodem jest siano. Jak to się mówi: pachnie, aż głowa boli. A przed snem przychodzi jeszcze chłop, żeby trochę pogadać.

Rano budzi nas pianie kogutów i chrumkanie świń.

Schodzimy na dół, a pod drabiną czekają na nas pajdy pachnącego chleba i świeże mleko w kankach. W budynku już nikogo nie ma, na południu Czech wstaje się wcześnie.

Poranki są tu cudowne. Rano nad rzeką wszystko jest piękne, ponieważ dzień jeszcze nie spowszedniał, a my jeszcze nie zdążyliśmy go sobie zepsuć. Przyroda jest po nocy świeżo wymyta, a ryby ufne. Łowię patelnię płoci na śniadanie. Gdy są usmażone, chrupią.

Dobry poranny nastrój uzupełniam śpiewem. Dla Janka stanowi on źródło ogromnego cierpienia. Fałszuję, ale mnie to nie przeszkadza. Mam bogaty repertuar i mogę śpiewać godzinami. Najbardziej lubię piosenkę ze spartakiady. Tańczyły i ćwiczyły przy niej dzieci w kolorze niebieskim, żółtym, czerwonym i białym, nosiła tytuł Złota brama.

Grube myszki kocur goni,
Tu jest dziura,
Wskakuj do niej.
Druga myszka wyszła z dziury,
Już ją goni kocur bury.
Kici, kici,
Kici, kici,
Kici, kici,
Teraz kocur da wam wycisk,
Cha, cha, cha,
Kocur bury.

Była fajna, taka naiwna i głupiutka, z niedokładnymi rymami, ale świetnie się przy niej wiosłowało, szczególnie gdy na całej rzece rozlegało się to CHA, CHA, CHA. Długi Janek walczył ze sobą i milczał.

I tak dopłynęliśmy aż do mostku przy Tikalskich. Po prawej płynie Nowa Rzeka, a po lewej Stara Rzeka.

Stara Rzeka to czeska dżungla. Będziemy nią płynąć przez ponad dziesięć kilometrów. Las i puszcza w jednym. Ziemia niczyja. Miliony komarów i trzęsawiska. Drzewa, które wpadły do wody i nikt ich nie podniósł ani nie pociął. Zwierzyna dziksza niż gdzie indziej. Kiedyś żyły tu bobry i znów mają zostać tu sprowadzone. Rezerwat. Nie można rozbijać tu obozów ani namiotów. Obowiązuje zakaz rozpalania ognisk. Możliwe, że znaleźliby się tu jacyś desperaci, ale człowiek jest tu prawie bez szans na przeżycie: jeśli wysiądzie z łódki, może zapaść się w bagnie.

Przepływamy pod konarami. W innych miejscach przenosimy łódkę i bagaże. Jak na razie Długi Janek radzi sobie z tyłu lepiej niż ja. Ma ramiona niczym macki ośmiornicy i zagarnia wiosłem duże połacie rzeki. To robotnik z krwi i kości. Wkrótce zaczyna się z nas lać słony pot ochotników, którzy choć nie musieli, postanowili się wysilić. Połowa Starej Rzeki za nami, a my zaczynamy jej mieć po dziurki w nosie.

A przecież jeszcze nie wiemy, że dojrzał nas komar z wieży wartowniczej. Patrzcie, mięso, będzie krew! Tak brzmiało jego brzęczenie. Leci oznajmić swoim braciom i siostrom dobrą nowinę o dwóch dwunogich. Zaatakowały nas milionową armią. Jak bombowce i myśliwce. Na czubku miały włócznie i wbijały je w nas. Kąsają tylko komarzyce, natomiast nieżądne krwi samce latają wokół i napędzają stracha swoim wysokim „bzzz"! Po prostu dzielą się rolami. W późniejszych czasach płynąłem Starą Rzeką jeszcze kilka razy, ale już nigdy nie było tam tylu komarów. Zatrzymały nasze ciała i naszą łódkę. Ubraliśmy się jak kapucyni, ale na nic się nam to nie zdało. Wdarły się wszędzie. A przede wszystkim wiedziały to, co wie każdy dowódca: że muszą zniszczyć jedność wroga. Po chwili zaczęliśmy z Jankiem strasznie działać sobie na nerwy. Byliśmy tam tylko we dwóch, a piorunochronem dla jednego stał się oczywiście ten drugi. Nie miało sensu zabijać stu komarów, bo w ich

miejsce natychmiast zlatywała się kolejna setka. Były jak biblijna szarańcza, jak termity. Nasza kanadyjka wlokła się niczym storpedowana łódź wojenna. Nie było dokąd uciec. To było ich terytorium! Ciepło, wilgotno, bagna – to wymarzone warunki dla tych bestii. Zapaliliśmy cygara z trzcin i wbiliśmy je w burtę łódki. Po dymie poznawały, dokąd płyniemy.

Opuchły nam twarze. Opuchły nam też ręce potrzebne do wiosłowania. Już nie płynęliśmy. Nie odzywaliśmy się do siebie nawzajem. Wyszliśmy na brzeg. I wtedy zapragnąłem zakłócić tę ciszę i powiedziałem coś głupiego. Zaczęliśmy się bić. Janek był silniejszy i miał dłuższe łapska. Wrzucił mnie z brzegu do Lużnicy, a sam podskakiwał, śmiał się jak szaleniec i krzyczał:

Teraz kocur da wam wycisk,
Kocur bury,
Cha, cha, cha.

W tamtej chwili bałem się o nas obu, bo wiedziałem, że żarty się skończyły. Wielu sportowców kłóciło się tuż po porażce, dawało sobie po pyskach, a inni w sytuacjach kryzysowych nawet odchodzili od zmysłów.

Okazało się jednak, że w wodzie nie jest tak źle. Płynąłem i wystawała mi tylko głowa, komary stały się niemal bezradne. Długi Janek popijał becherovkę i wiosłował, jakby wstąpił w niego szatan, byle tylko uciec już z komarzej rzeki. Był opatulony ubraniami i przewiązany sznurem do burłaczenia.

Las zniknął. Skończyło się terytorium komarów. Pojawiła się rzeka pośród zalanych łąk. Rozebraliśmy się do majtek i powoli zaczęliśmy rozmawiać ze sobą jak pokłóceni małżonkowie.

Potem ujrzeliśmy coś niespodziewanego. Z zatopionej łąki machały do nas jakieś dziwne chorągiewki. Stać! Zatrzymać się! Powiewały rytmicznie. Ale mogły to być też ptaki: bekasy lub łyski. Musieliśmy podpłynąć bliżej. Dopiero wtedy odezwałem się do Janka:

– To karpie. Olbrzymie karpie. Pasą się na podtopionej łące, stoją na głowach jak w cyrku i machają płetwami ogonowymi jak chorągiewki. Odwiązuj wędkę!

Janek nie miał kłusownictwa we krwi, więc protestował:

– Nie wariuj. Tam jest szosa. Będziemy mieć przerąbane.

Ale wędkę mi podał. Było południe. Wszyscy są teraz na obiedzie. Janek obserwował, jak przygotowuję wędkę. Nie zaznał jeszcze rybackiej pasji, nigdy wcześniej nie był na rybach. Natomiast mnie nawet nie drgnęła ręka, kiedy szykowałem żyłkę i nadziewałem na haczyk rosówkę, wiezioną na taką okoliczność w płóciennym worku z trawą i mchem. I dołożyłem duży ciężarek, żeby daleko poleciała. Zarzuciłem wysokim łukiem w mały nurt, który zaniósł spławik na karpiową łąkę. Karp natychmiast połknął przynętę, a ja go zaciąłem. W płytkiej wodzie rozegrała się jedna z tych walk, które zmieniają łąki w grunty orne. Spojrzałem na szosę. Nikt nie przechodził ani nie przejeżdżał. Janek wytrzeszczał oczy, spływał potem. Biedaczek, nie miał jeszcze doświadczenia.

Położyłem karpia na dnie łódki i wyciągnąłem kolejnego. A potem zaciąłem jeszcze trzeciego. Był naprawdę duży. Mocno się zaparł i wędka pękła. Później pękła nawet ta resztka wędki, która mi pozostała, była już nadgniła, bo na spływ wziąłem najstarszą. Na tych pozostałych strzępach doholowałem karpia do łódki. Gdy wrzuciłem go do środka, rozkazałem:

– A teraz wiosłuj! Bierzemy nogi za pas!

Ale Janek nie reagował. Zastygnięty wpatrywał się w szosę, po której zmierzał do nas chłop. Janek patrzył na niego i cedził przez zęby:

– Ty durniu! Mówiłem, że będą problemy.

Cóż było robić? Kanadyjka nie nadaje się do kłusowania, bo nie da się nią uciec. Pod prąd w żadnym razie, a z prądem bez problemu was dogonią. Czekaliśmy więc, aż ten facet do nas podejdzie, a do głowy przychodziły nam setki myśli na minutę. Chłop wyglądał na dość styranego, ale nie złego. Nachylił się z brzegu i uważnie przyglądał się karpiom w łódce. Potem powiedział:

– Niezłe ryby. – A po chwili milczenia dodał: – Dajcie mi jedną. Mam chorą żonę.

Długi Janek chwycił największego karpia, tego, który złamał mi wędkę, i podał go mężczyźnie jak noworodka.

– Niech pan bierze. My też dostaliśmy go za darmo.

Odetchnęliśmy, a zastygnięte serca znów zaczęły bić. Za mostem już obaj wykrzykiwaliśmy piosenkę o tłuściutkich myszkach. W lasku natrafiliśmy na podgrzybki. Po kilku godzinach przepłynęliśmy przez największy staw świata: Rożmberak. Pod wieczór podsmażyliśmy na oleju pokrojone grzyby, potem na chwilę zdjęliśmy je z patelni i położyliśmy na nią karpie. Potem znów dorzuciliśmy podgrzybki, a ponadto obłożyliśmy je marynowaną papryką z konserwy. Potem obaj usiedliśmy na brzegu w innym kącie, jak psy, które boją się o swoją kość, i zajadaliśmy. Nie mówiliśmy ani słowa, by móc się w pełni delektować tymi legendarnymi karpiami z południa Czech. Każdy z nas spałaszował dwukilowego karpia bez ziemniaków i chleba. Tej nocy spaliśmy u krewnych Janka na drewnianych łóżkach z pięknymi zdobieniami. Słyszałem, jak zegar ścienny z namalowaną dziewczynką tyka, a potem bije, żeby gospodarze nie zaspali, bo trawa już czeka na kosę, a owce na paszę.

Płynęliśmy przez progi skalne i miasta południowych Czech. Nie mieliśmy wędki, więc żebraliśmy o ryby jak głodne koty. Zaczynaliśmy od

tego znanego:

– Biorą? Biorą?

Wędkarze często się na to łapali i odpowiadali. Większość pokazywała nam srebrzyste leszcze i mniejsze karpiki, ledwo przekraczające wymiary ochronne. Wtedy nie pływało zbyt dużo kanadyjek, my przez całą naszą podróż widzieliśmy trzy i jeden namiot, więc stanowiliśmy atrakcję. Natomiast ryb było wówczas w Lużnicy pod dostatkiem. Wędkarze wsypywali nam ryby do łódki, zazwyczaj szczęśliwi, że ktoś się nimi zainteresował i że ktoś interesuje się rybami, których oni zazwyczaj nie jadali. Zadawaliśmy naiwne pytania, jak która ryba się nazywa i czy jest mądra, czy głupia, a oni twierdzili, że wszystkie ryby są niesamowicie mądre, a przechytrzenie ich wymaga wprawy, zdolności i wieloletniego doświadczenia. Zatrzymywaliśmy się przy brzegu, a oni opowiadali nam o rybach i o rzece tak pięknie, jakby byli poetami lub śpiewakami na królewskim dworze. Przyroda, którą tu odwiedzali, uczyła ich szacunku i miłości jak druga matka. Z czasopism i książek wiedziałem, że potrafią pisać z wielkim uczuciem, ale teraz dowiedziałem się, że umieją też wspaniale opowiadać. I że czasem zmyślają i przesadzają, przez co ich opowieści zmieniają się w bajki, których słuchaliśmy i o których myśleliśmy przed snem.

Za jednym z zakoli zaprzyjaźniliśmy się z panem Robejszkiem. Kiedyś produkował takie maszynki do zaparzania espresso, a teraz był wędkującym emerytem. Siedział na słońcu z odkrytą głową i patrzył na wędki. Zwolniliśmy, a Janek zawołał:

– Biorą? Biorą?

A on się uśmiechnął i odparł:

– Chłopaki, już ja znam te numery. Wyłaźcie na brzeg. Zaparzę wam kawę. I będzie to cholerniutko dobra kawa.

Długi Janek był wielkim smakoszem kawy, więc piorunem wyskoczył z łódki. Pan Robejszek chyba siedział na swoim stanowisku wędkarskim od nadejścia wiosny do nadejścia zimy. Miał tam poobijane i połatane na wszystkie możliwe sposoby autko i daszek do spania przypominający karmniki dla saren. Zaczął przygotowywać mieloną kawę. Włączył agregat, a on dzięki przemienieniu benzyny w prąd uruchomił zestaw do mielenia. Stukał, wył i pachniał, a Długi Janek już oblizywał wargi.

Siedzieliśmy przy stoliku z suchego drewna i desek i delektowaliśmy się tym ciemnym aromatycznym napojem, którego nie piliśmy całą wieczność. I milczeliśmy, bo w takich chwilach należy milczeć, są one tak uroczyste jak pierwszy pocałunek albo pierwszy ślub. Przed nami płynęła leniwie Lużnica Ontario, a kawa pachniała jak w Brazylii. I widzieliśmy hebanowe ciała pracowników plantacji, zbierających dla pana Robejszka i dla dwóch młodzieńców ziarna kawy z krzaczków. Podarowałem panu Robejszkowi słomiany kapelusz, żeby słońce nie spiekło mu głowy, a po wypiciu połowy becherovki pasowaliśmy go na kawowego rycerza. Wysypał nam z sadza do łódki wszystkie ryby i dorzucił dwa obrazki Panienki Marii ze Świętej Góry, żeby po drodze nic się nam nie stało. Płakał, że nie może płynąć z nami, ale tylko dla formalności. Przywykł już do tego swojego obozowiska. Kiedy przepływaliśmy tamtędy rok później, siedział dokładnie w tym samym miejscu, nie przesunął się nawet o centymetr. I znów stukały i wyły maszyny, pachniała kawa, a hebanowi Brazylijczycy pracowali na plantacjach. I tak się to powtarzało. Pewnie siedzi tam do dzisiaj, sprytnie znalazł sobie kącik, w którym jest szczęśliwy, podczas gdy inni mają nadzieję, że taki kącik czeka na nich w niebie.

Chcesz pieśń północy znać,
Chcesz słuchać ze mną w ciszy,

Jak biały łosoś płynie w górę rzeki…

Te słowa śpiewa, Szanowni Czytelnicy, Długi Janek. Ma naprawdę piękny głos. Podoba się wszystkim. Ludziom, ptakom, może nawet rybom.

Płyniemy już długo, nie golimy się, w zasięgu wzroku nie ma żadnych kobiet, wyrosły nam kozie bródki. Wioskowi chłopcy meczą na nasz widok.

Nabraliśmy wprawy, jednego dnia siada z tyłu Janek, a drugiego ja. I liczymy jak gole w piłce nożnej, kto przepłynie więcej jazów jako sternik.

Przepływamy nawet przez takie, przez które pływa się rzadko lub prawie wcale. Kierujemy się tym, co mówił o odwadze Savrola:

Marzysz o legendach sławiących twą odwagę?
Zatem musisz ryzykować życiem.

W te najniebezpieczniejsze wpadamy jak szaleńcy. Fale nas zalewają, wyrywają nam wiosła z dłoni, rzucają naszym kanu w powietrze jak piórkiem. Jesteśmy pod wodą, nie mogę zaczerpnąć powietrza. Topię się. Kiedy udaje mi się wydostać z wirującego uścisku i spienionej wody, nigdzie nie widzę Janka. Natychmiast nabieram powietrza. Woda znów wciąga mnie w dół, więc czekam, aż mnie wypluje. Gratuluję sobie w duchu, że poświęciłem tysiące godzin na naukę pływania i nurkowania. Nie mogę wpaść w panikę. Woda w końcu mnie wypluła. Mam głowę nad powierzchnią, ale znów nie widzę Janka. Zbiera mi się na płacz… Gdzie tam, bujda! W takich chwilach myśli się przede wszystkim o przeżyciu. I o tym, co się stanie i jakie to będzie mieć konsekwencje. Janka nie ma. I nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc. Wszystko diabli wzięli. Jego matka, ostra jak kosa, mnie zabije. Przecież sama o sobie mawia: „Ja nie jestem surowa, ja jestem zła!". Będą mnie przesłuchiwać, dlaczego mu nie

pomogłem i z czyjej winy znaleźliśmy się w wodzie. Znów wciąga mnie pod wodę, a kiedy się wynurzam, gęba Janka śmieje się do mnie. Krzyczy:

– Niebezpieczeństwo to nasz żywioł!

Dzięki Ci, Boże! Okazało się, że kiedy jeden z nas się wynurzał, to drugi zanurzał. I na odwrót.

Przy kolejnym jazie jest ostrzeżenie:

16 OSÓB, KTÓRE SIĘ TU UTOPIŁY, OSTRZEGA:
TEN JAZ JEST ZDRADLIWY.
MY ZAPŁACILIŚMY ZA TO ŻYCIEM.

A my wpływamy tam nie dlatego, że kierujemy się słowami pana Savroli, tylko dlatego, że jesteśmy młodzi i głupi. Dlatego, że jeszcze nie wiemy, iż odwagą wykazuje się w życiu w innych miejscach niż jazy z kamieniami czy wystającymi kłodami. Wpływamy tam, bo jeszcze nigdy nie byliśmy martwi. Bo nie wiemy, co znaczy być martwym. Dlatego, że to lekceważymy i stroimy sobie z tego żarty. Że przeceniamy własne możliwości i wmawiamy sobie, jakimi to nie jesteśmy pływakami. Że nie wierzymy martwym. My ten jaz przeżyliśmy i było to piękne. Ale to piękno miało w sobie element szaleństwa. Zabrakło tam naszych matek, które przy najzdradliwszych jazach ściągnęłyby nam majtki, spuściłyby tęgie lanie i posłałyby nas naokoło, po ścieżce, po której chodzą dzieci z panią nauczycielką i szukają żółtych nenufarów.

Za pieniądze zaoszczędzone na czarną godzinę kupiłem w Taborze najtańszy kołowrotek dla Janka i dwie żółte wędki z bambusa, na jakie łowił wujek Proszek. W wylęgarni szczupaków wykupiłem dwa pozwolenia.

– Spróbujesz coś złowić – oświadczyłem Długiemu Jankowi.

Milczał, ale widziałem, że aż zadrżał z radości. Prawdę mówiąc, byłem ciekaw, jak to będzie, gdy zacznie łowić ryby jako dorosły. Chciałem, by podszedł do tego ze spokojem, a przede wszystkim by się nie musiał bać, że ktoś go na tym przyłapie. Poniekąd zapłaciłem też w ten sposób za ryby, które wcześniej zjedliśmy na Lużnicy bez pozwoleń. To było coś na kształt zadośćuczynienia, tak jak kiedy człowiek najpierw nagrzeszy, a potem wpycha pieniądze do kościelnej skarbonki, by niecne występki zostały mu odpuszczone.

Zbliżaliśmy się do Przybienic. Były to wtedy cudowne rejony ziem czeskich, a ziemie czeskie to moja ojczyzna. Ruiny zamku adamitów, głębokie lasy i gospoda z piwem. Z pozwoleniami poczynaliśmy sobie niczym właściciele rzeki. Nurkowaliśmy po małże rzeczne, otwieraliśmy ich zbroje i łowiliśmy ryby na ich śliskie mięso.

Obserwowałem Długiego Janka. Gdy jego wędka po raz pierwszy oznajmiała puk, puk, puk, zadrżały mu ręce. Kilka razy zaciął, ale złowił tylko liście olchy. Potem złowił na małża dużego klenia z karminowymi płetwami. Po długim boju pełnym okrzyków ekscytacji wyciągnął go na brzeg i głaskał go, a ja sobie przypomniałem, że jako dziecko robiłem dokładnie to samo. Potem Janek ciągle wypytywał, ile ten kleń może ważyć. Na swoją wędkę prawie nie zwracałem uwagi, obserwowałem tylko Janka. Nie pomyliłem się. Kiedy złapał swoją pierwszą rybę, sam również połknął haczyk. Zazwyczaj przygodę z rybami trzeba zacząć już w dzieciństwie, ale z Jankiem najwyraźniej było inaczej. Nałapaliśmy pełny wór kleni i płoci. Wędkowaliśmy pod Przybienicami kilka dni.

Pewnego dnia leżeliśmy tam na sianie i gapiliśmy się na stare, popękane belki stodoły, a Janek zaczął opowiadać o rybach z zaskakującym znawstwem:

– To coś zupełnie innego niż strzelanie do zajęcy. Kiedy takiego zająca zobaczysz, robisz pif paf. Natomiast łowienie ryb to tajemnica. Imaginacja. Misterium. Przynęta wpada pod wodę i nic więcej nie widać. Nie widać, co się tam dzieje, jaka jest tam ryba. Całkowicie nieznany świat…

Zasypiałem, a on opowiadał o rybach tak, jak chłopiec opowiada mamie o pierwszych dniach szkoły. Chciałem szybko zasnąć, bo rano zamierzałem wcześnie wstać i iść na ryby bez Janka. Pragnąłem znów łowić sam. Nie znosiłem, gdy ktoś mi przy tym towarzyszył. Drażniły mnie ludzkie kroki, irytowała ludzka mowa, jakby nienależąca do przyrody. Ludzie często gadają na łonie natury o bzdurach i durnotach, natomiast przyroda mówiła prostym i jasnym językiem tylko o pięknie, miłości, nienawiści, pożywieniu i śmierci. Tak jakby ktoś wykreślił z niej wszystko, co nieistotne. Kiedy chodziłem na ryby z tatą lub braćmi, zazwyczaj rozdzielaliśmy się nad rzeką. Im też przyznawałem prawo do tego, by mogli być nad wodą sami. A zatem wykradłem się w nocy, zostawiając Długiego Janka w stodole.

Nocowaliśmy w pobliżu ciekawego młyna Suchomel. Młyn nosił kolor mąki. Przepłynąłem kanadyjką na drugą stronę i kołysałem się w niej przy brzegu. Noc właśnie umierała i rodził się dzień. Z doświadczenia wiedziałem, że ta granica, ten przełom jest najlepszą porą do łowienia. Brzask. Ryby są po nocy jeszcze otępiałe, ale już mają olbrzymi apetyt, szczególnie jeśli ktoś poda im jedzenie pod nos. I właśnie to uczyniłem. Wiedziałem, że w zakolach pod młynem może czyhać szczupak, więc na żyłkę przywiązałem przypon z haczykiem. A do niego nożykowatą rybkę. Ledwo wrzuciłem ją do wody, dopadł jej kleń wielki jak bochen. Położyłem go ostrożnie na dnie łódki, wzdychał głęboko z żalu, że dał się nabrać. Potem położyłem obok kolejnego klenia. I trzeciego. Później złowiłem szczupaka, który miał dobre osiemdziesiąt centymetrów, i okonia przypominającego kolorową czapkę. Ryby były tu poupychane w wodzie

jak w kadziach. Moja łódź szybko zmieniła się w akwarium. W końcu uznałem, że wystarczy. Po wielu latach wreszcie udał mi się porządny połów. A z łódki łowiło się cudownie. Kołysała się pode mną, gdy wyciągałem ryby. Jak w kolorowych prospektach na papierze kredowym reklamujących kanadyjskie jezioro Nipigon i Zatokę Jamesa.

Wróciłem. Przywiązałem kanadyjkę do przybrzeżnego krzaka i poszedłem się jeszcze zdrzemnąć.

O szóstej rano Długi Janek zaczął mną potrząsać, mówiąc, że musimy już iść na ryby. Powiedziałem, żeby poszedł sam. Wziął wędkę i pobiegł nad wodę. Przy łódce najwyraźniej zrozumiał, jak się rzeczy mają. Tego dnia nie powiedział do mnie ani słowa. I już nigdy później nie zaproponował mi wspólnego łowienia. Powoli stawał się wędkarzem.

Od tamtego dnia łowiliśmy osobno. Janek szybko pojął, że jego partnerem nie jestem ja, tylko rzeka i mądre ryby. Czasem pytał o jakieś techniczne szczegóły, ale nic więcej. Zdarzało się, że przynosił po kilka ryb, przede wszystkim okonie i płocie.

Powoli zbliżaliśmy się do ujścia Lużnicy. Wciąż się zmienialiśmy: jednego dnia sterował Janek, drugiego ja. W przepłyniętych przesmykach rzecznych był remis.

Zbliżaliśmy się do Pragi, a z noclegami było coraz gorzej. Nie na darmo mawiało się, że na południu Czech obcy gospodarz pozwoli ci spać w łóżku, a rodzina pod Pragą każe spać na sianie. Tak jakby w stolicy i jej okolicach diabeł zmienił serca większości ludzi w kamień.

Nadchodził wieczór i zanosiło się na deszcz. Nie mieliśmy gdzie się podziać. Moglibyśmy spędzić tę noc pod gołym niebem, ale obaj byliśmy już obolali i zmęczeni.

Nagle ujrzeliśmy nad rzeką piękny budynek, jak z czasów Małgorzaty, córki Łazarza. Wyciągnęliśmy kanadyjkę na brzeg, a Janek zamierzał wejść

do środka. Żeby zrobić lepsze wrażenie, wygrzebał z worka pomiętą marynarkę i koszulę. Nawet się umył i uczesał włosy oraz bródkę. Byłem już strasznie wyczerpany, tego dnia przepłynęliśmy prawie czterdzieści kilometrów. Janek mnie pocieszał:

– Zobaczysz, że będzie dobrze, leci dym z komina. Dopisze nam szczęście. Mają stodołę wielką jak katedra. I poczęstują nas mlekiem. Na razie trzymaj się z tyłu, a ja wszystko załatwię.

Szedłem więc za nim powoli. Zniknął za wrotami i był tam bardzo krótko. Rozległo się wściekłe szczekanie. Janek wybiegł z podwórza. W oczach miał przerażenie. Biegł niczym klasowy gracz amerykańskiego baseballu, podnosił wysoko kolana, zapomniał o zmęczeniu i bólu. Kiedy podbiegł bliżej, krzyknął:

– Uciekaj!

Wtedy ujrzałem przyczynę jego szaleńczego biegu. Z wrót wybiegły dwa wilczury. Ja również nie czekałem i pognałem do matki-rzeki. Na szczęście nie była daleko. Zepchnąłem kanadyjkę do wody, a Janek wskoczył, kiedy już płynąłem. W ostatniej chwili, bo wilczury już stały na brzegu. Do rzeki nie weszły. Usiadły, nieco mniej zziajane niż my, i wywaliły spocone różowe języki, które dyndały im z pysków. Były to piękne i chyba rasowe psy, rodowodowe.

Wkrótce mocno się rozpadało, a my wciąż płynęliśmy i bynajmniej nie należało to do przyjemności. Nie wiedzieliśmy, gdzie płyniemy i na co wpadamy. Rozlegał się plusk ryb, a nad nami szelest lotek nocnych ptaków. Było nam zimno i straszliwie chciało nam się spać, a w zasięgu wzroku nie było żadnego budynku, zresztą w środku nocy i tak nikt by nas nie wpuścił.

Wtem ujrzeliśmy namiot.

Mały biały namiot. Stał nad rzeką, ale był dużo mniejszy niż typowe namioty turystyczne. Przypominał raczej malutki namiocik, jaki rozbijają

alpiniści na platformach wysokogórskich. Gapiliśmy się na niego jak na cud. Długi Janek powiedział:

– Jesteśmy uratowani.

Zwolniliśmy, potem się zatrzymaliśmy i wyciągnęliśmy kanadyjkę na brzeg. A następnie bardzo, bardzo powoli ruszyliśmy w stronę namiotu. Gdy podeszliśmy bliżej, usłyszeliśmy warkot i szczekanie. Czyli mieli tam ze sobą psa. Staliśmy bezradnie, a z wewnątrz dobiegł męski głos:

– Czego chcecie?

Janek odparł:

– Jest koszmarna pogoda, a my nie mamy gdzie spać. Wpuścicie nas?

Przez chwilę panowała cisza, a potem znów przemówił mężczyzna:

– Jestem tu z dziewczyną.

A zatem byli to kochankowie, bo chyba nie małżeństwo.

Janek na to:

– Dziewczyna nam nie przeszkadza.

Znów cisza, potem namiot się otworzył i na deszcz wyszedł około trzydziestoletni mężczyzna z białym foksterierem. Taki sympatyczny, który nie szuka problemów tam, gdzie ich nie ma. A za nim wyszła jego dziewczyna. Włączyli dużą lampę, dzięki której się nawzajem widzieliśmy. Chcieli się nam przyjrzeć. My też zmierzyliśmy ich wzrokiem. Ten facet miał na sobie majtki w srebrne gwiazdy, w jakich później pozował do zdjęć prezydent Johnson. Dziewczyna była po prostu piękna. Ruda z rudymi oczami. Nigdy wcześniej nie widziałem tak pięknie umaszczonego kociaka, chyba tylko w filmach wytwórni Metro Goldwyn Mayer. Bardzo mi się podobała, Jankowi także, bo patrzył na nią spod gęstych brwi maślanym wzrokiem. Milczeliśmy, facet to wszystko obserwował i oceniał.

Potem stwierdził:

– Panowie, ten namiot jest za mały. Damy wam ciepłej herbaty z termosu i płyńcie dalej.

Ale kiedy on otwierał termos, Janek zaczął się pakować do namiotu, mówiąc, że spał już w dużo mniejszych, na które się mówi trumienki. Wciskaliśmy się za nim, żeby zdobyć dla siebie choć trochę miejsca. Facet się z tym pogodził. Ja wszedłem na końcu. Nogi Janka sterczały na deszczu. Razem z foksterierem było nas w tym namiocie pięcioro. Położyłem się, a piesek rozłożył się na mnie, żebym ogrzewał go swoim ciałem. Był grzeczny i co jakiś czas mnie lizał. Tę rudą dziewczynę facet oddzielił od nas swoim ciałem. Lecz mimo to długo przed snem myślałem o tym, że chętnie bym jej dotknął. Choćby w rękę, żeby zrobiło mi się cieplej i lepiej. Ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, no i trochę bałem się skandalu. Kiedyś widziałem, jak pewna kobieta wymierzyła mężczyźnie policzek głośny na całe kino za to, że dotknął jej kolana. Natomiast Długi Janek nie miał żadnych zahamowań. Przy pierwszej próbie się pomylił i dotknął tego faceta, ale potem szło mu już lepiej, słyszałem nawet szepty. Po północy Janek został wyrzucony z namiotu, a tuż po nim ja, chociaż nikogo nie dotykałem. Ponadto facet poszczuł nas tym pieskiem, który zaprzyjaźnił się ze mną, kiedy spaliśmy.

Staliśmy na zewnątrz, już tylko mżyło. Postanowiliśmy zejść trochę w dół rzeki i połowić, a o świcie wyruszyć dalej. W sumie nic nie złapaliśmy, byliśmy przemarznięci, a wędkowanie wcale nie sprawiało nam przyjemności. Niestety po ciemku przegapiliśmy ostrzeżenie, że na tym odcinku rzeki łowienie jest surowo zabronione i że nie mógłby tu wędkować nawet prezydent, ponieważ jest tu tarlisko i trą się tu ryby.

Gdy się rozwidniło, po drugiej stronie rzeki pojawił się mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce i krzyknął:

– Jaki macie numer pozwolenia?

Na dolny odcinek rzeki nie mieliśmy pozwolenia, a tym bardziej numeru. Janek odkrzyknął:

– Wszystko wyjaśnimy. Podpłynę do pana!

Mężczyzna dość niekompromisowo oświadczył, że łowiliśmy na tarlisku i że będzie nas to słono kosztować. To były te problemy, które przewidział Janek, kiedy rozpakowywałem wędkę na karpie przy tamtej drodze przed Rożmberakiem.

Tymczasem Janek rozpalił ognisko z suchych gałązek, żebyśmy mogli się przy nim wszyscy ogrzać. A potem spytał tego mężczyznę, jak mu się tu żyje, i wypytywał z przejęciem o żonę i dzieci. Było to tanie jak zaserwowanie karpiowi zwykłej dżdżownicy, ale ten gość się na to nabrał. Pewnie dlatego, że błąkał się tak wcześnie rano nad rzeką, że nie mógł spać ze swoją żoną ani bez niej i że coś go dręczyło. Daliśmy mu ostatnią butelkę becherovki, trzymaną właśnie na takie sytuacje. Zaczął na wszystko narzekać, a po chwili krzyczeć, że już nigdy w życiu nie chce widzieć ani żony, ani dzieci i że popłynie z nami do Pragi pokonywać prądy świętojańskie, których jednak wówczas już od dawna w Pradze nie było. W końcu Długi Janek zaniósł go w ramionach do naszej kanadyjki i przepłynął z nim na drugą stronę, czyli na tę, po której mieszkała jego rodzina. Ten pan wciąż krzyczał:

– Tarlisko nie tarlisko, porządne z was chłopaki. Niech żyją prądy świętojańskie! Nie chcę do domu!

Wykrzykiwał jeszcze mnóstwo innych haseł i obcałowywał Janka. A kiedy Janek odpłynął, ów mężczyzna skulił się w trzcinach i usnął jak szczenię. Jankowi zrobiło się jakoś smutno, może na myśl o naszym losie, a może też na myśl o tym, jakie tak naprawdę jest życie. Już nie łowiliśmy, popłynęliśmy dalej, a nasza flaga Ontario powiewała tylko w połowie masztu.

Pomogło nam słońce. Można powiedzieć, że słońce jest często dużą żółtą tabletką od niebiańskich psychiatrów podawaną na przegonienie smutków i złego nastroju. Słońce bywa czasem skuteczniejsze niż szwajcarski lek Noveril i amerykański Aventyl HCI. Słońce jest także żółtym ręcznikiem frotté, który sam nas wytrze, i suszarką, która nas wysuszy. Słońce wskoczy nam też do serca i rozgrzeje je, gdy jest akurat zimne jak psi nos.

Na Wełtawie, która jest, jak wiadomo, nieco szersza niż Lużnica, wciągamy za zgodą flisaków naszą kanadyjkę na ich tratwy. Chcemy trochę odpocząć i przez kilka dni nic nie robić. To chyba ostatnie pływające tratwy i ostatni flisacy. Szefuje im siedemdziesięciopięcioletni wujaszek Pisinger, który ma już tylko dwa zęby i białą czapkę z daszkiem. Mówi:

– Chłopaki, na waszą cześć zapalę sobie saksofon.

Pali fajkę w kształcie saksofonu ozdobioną jeleniami unoszącymi głowy i ryczącymi. Z fajki leci dym jak z wełtawskich parowców. Jest nam dobrze, obserwujemy płynącą rzekę oraz tratwy, skrzypiące i też płynące. Na nich, poukładane jak mityczne witki Świętopełka, są złożone cztery wagony szumawskich świerków, pachną wsią Kwilda i lasami wokół Lenory i Żelnawy, przywodzą na myśl świat leśnych samotni pisarza Karela Klostermanna. Tymczasem Pisinger wtajemnicza nas w swoje rzemiosło, a ja próbuję pracować wiosłem, nazywanym drygawką.

Na tratwie odpoczywa również nasza wypożyczona kanadyjka. Jest oblepiona różowymi opatrunkami z taśmy izolacyjnej jak piłkarz po rozegraniu całego sezonu w pierwszej lidze.

Ktoś łowi ryby z brzegu. Rozpoznajemy w nim byłego świetnego biegacza średniodystansowego Janka Nowotnego, obecnie dziennikarza sportowego. O, Janek! Janku, ty nic nie złowiłeś? Złowiłem, leszcze. Na tratwy wpadają trzy leszcze jak latające ryby. Leszcze na smalcu – niebo

w gębie, tylko trzeba mieć ten smalec. Na tratwach znajduje się mały stojaczek jak ołtarz boży, a na nim glina z darniną. To na nim gotują flisacy. Wody na kartoflankę nabierają z rzeki. Robią nam pyszną zupę z prawdziwków i ziemniaków, a my smażymy dla nich leszcze na smalcu, który wieziemy ze sobą w garnuszkach od naszych mam.

A zatem ostatni raz, chłopcy, zaśpiewajcie z nami. Janek zaczyna swoim pięknym głosem, a ja swoim – fałszującym:

Wstawaj, Aneczko!
Śniadanie dawaj,
Czas płynąć.
Łajba czeka, ma miła.
Aneczka wstała,
Śniadanie dała
I do łajby
Mnie odprowadziła.

Żegnamy się z flisakami na zawsze, bo już nigdy w życiu się nie spotkamy, a tym samym żegnamy się również z dawną Wełtawą. W milczeniu wiosłujemy ku Pradze po wodzie, którą nazywa się olejem, bo jest stojąca. Dopiero pod Zbrasławiem znów pojawia się prąd. Po raz ostatni delektujemy się tym uczuciem, gdy łódź kołysze się z fali na falę, a dziób cicho szumi. Słońce, ta wielka tabletka niebiańskich psychiatrów, zaszło już za Petrzyn.

W Pradze pan Leopold Danda ośmielił się stwierdzić, że zniszczyliśmy jego najpiękniejszą kanadyjkę. Powiedział, że tak poobijanej, poobcieranej, sponiewieranej, zharowanej i upodlonej łodzi jeszcze nie widział. A wypożyczał ich wiele, więc na pewno miał spore doświadczenie. Zażądał

od nas dziesięciu dodatkowych rozebranych do naga dziewcząt z artystycznego kalendarza Playboya. Wytrzeszczyłem oczy, gdy usłyszałem:

– Najlepiej blondynki, ale mogą być też rude.

Chodziłem więc po Pradze w poszukiwaniu tych papierowych dam lekkich obyczajów. Długi Janek zostawił to mnie, bo sam miał głowę pełną zupełnie innych myśli. Chodził wtedy z tą rudą dziewczyną z małego białego namiotu.

Na ryby łodzią podwodną

Pragnąłem choć raz w życiu powędkować w wielkich rzekach, olbrzymich jeziorach oraz morzach, które są duże już choćby z tego powodu, że są morzami.

Długo mi się to nie udawało. Łowiłem na amerykańskim jeziorze Michigan pod Chicago, ale tylko małe okonki. Łowiłem szczupaki w Dnieprze, ale one też nie były zbyt duże. Najwyraźniej trzeba poznać dany kraj, zwyczaje tamtejszych ryb, a ponadto mieć czas i pieniądze, żeby pojechać lub polecieć na duże ryby tysiące kilometrów od domu.

Dopiero w Polsce pojawiła się nadzieja, że uda mi się łowić w morzu. Polska admiralicja zaprosiła mnie do wojskowej łodzi podwodnej. Uradowany przyjąłem zaproszenie, chociaż nie miałem pojęcia o takim pływaniu, a tym bardziej nie wiedziałem, czy z łodzi podwodnej da się łowić ryby. W pierwszej kolejności spakowałem kłusowniczą wędkę od pana Troniczka z Branika. Składała się z czterech krótkich części i mieściła się pod płaszczem. Takie teleskopowe wędki dziś są ogólnie dostępne, ale wówczas należały do rzadkości. Wziąłem ze sobą też ciężkie srebrne błystki Heintza oraz garść świecidełek i przynęt mających służyć do oszukania ryb morskich. Z wędką pod płaszczem wsiadłem na łódź motorową Syrena. Na jej burcie widniała naga syrena. Jej ciało od pasa w dół pokrywały łuski.

Morze mieniło się niebieskimi i zielonymi obszarami wody, większymi niż plac Wacława. Powierzchnia morza to największy plac na świecie, a życie toczy się przede wszystkim tuż pod nim.

Kroiliśmy wodę i cięliśmy fale, te dzieci morza, rodzące się znowu i znowu. Młodziutki szef motorówki, całkiem nieźle mówiący po czesku, wypatrywał łodzi podwodnej, która powinna się znajdować w tej długości i szerokości geograficznej, a syrena na burcie zanurzała w falach ogon pokryty łuskami. Piersi miała piękne, jędrne, wymalowane i suche, ponieważ fale ich nie dosięgały. Czułem się cudownie.

Wreszcie dowódca Syreny się poruszył i szybko podał mi lornetkę, żebym przyjrzał się łodzi podwodnej. Moje niewprawione oczy widziały tylko kreseczkę na horyzoncie, przypominającą wielorybiątko na kołderkach z fal, takie, jakie widywałem w filmach. Lecz wszyscy gorliwie kiwali głowami, że to jest właśnie ta łódź. Płynęliśmy ku niej. Urosła do osiemdziesięciu metrów i stała się podobna do znanego mi z reklam cygara Abadie. Grzbiet miała szaroniebieski, a brzuch zielony.

Przywitał mnie osobiście kapitan łodzi podwodnej Sęp – Czesław Obrębski. Gwałtownie otworzyła się też olbrzymia klapa i zrobiła buch! buch! A z otworu jak w bajce Puszkina wyskoczyli dzielni junacy.

Kompanio honorowa, w lewo patrz!

Witali mnie jak generała z sąsiedniego kraju, którego głównym morzem jest Staw Rożmberski. A przecież byłem tylko nic nieznaczącym człowieczkiem, a ponadto pod wybrzuszonym płaszczem ukrywałem kłusowniczą wędkę pana Troniczka, za pomocą której zamierzałem uszczuplić zasoby rybne Morza Bałtyckiego.

Kapitan Czesław Obrębski, podobnie jak większość obcokrajowców, najpierw opowiadał mi o Czechosłowacji. Chodził kiedyś z jedną Czeszką, ale bardzo się na niej zawiódł. Teraz zbiera czeskie znaczki i na nich się nie

zawodzi. Przedstawiają kulturę Czech. Te znaczki są zwierciadłem, które mówi: „Należycie do najpiękniejszych". Opowiada mi o znaczku z Kleopatrą prężącą się na zielonej otomanie. Tego znaczka nie znam, ale znałem jedną Kleopatrę z naszej ulicy i była z niej straszna zołza. Potem kapitan opowiedział mi o innych znaczkach, a jego łódź podwodna przyjęła kurs na Szwecję. Szwecja ma o wiele przyziemniejsze znaczki.

Potem oprowadził mnie po swej łodzi podwodnej od dziobu aż po rufę. Towarzyszył nam też admirał, chyba akurat przeprowadzał inspekcję. Jeśli dobrze dosłyszałem, nazywał się Romanowski. Obrębski miał trzydzieści lat, natomiast Romanowski dwa razy więcej. Wyglądał jak hodowca królików. Przeważnie milczał, nie czuł potrzeby opowiadania o czymkolwiek. Przywykłem do tego, że większość ludzi natychmiast zaczyna się przechwalać: swoją piękną wymową, autami, zarobkami, willami, domkami letniskowymi, wiedzą, tytułami, stopniami, odznaczeniami i obyciem, a także znajomościami lub psami. Pan Romanowski jest pewnie myszą biurową, z której wraz z upływem lat i rosnącą protekcją zrobili admirała.

Kapitan Obrębski przedstawił mi świetnie zgraną załogę. W ciągu sześćdziesięciu sekund załoga zniknęła, a łódź się zanurzyła. Nad powierzchnią płynęła z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Pod powierzchnią – dwudziestu. Niegdyś Sęp był najnowocześniejszą łodzią podwodną na świecie. Zbudowała ją dla Polski Holandia za dziewięć milionów dolarów. Duże działo i szybkostrzelne karabiny maszynowe. Peryskopy. Telefony. Wyrzutnie rakiet. Łódź podwodna ma dziesięć torped. Celność gwarantowana na odległość pięciu kilometrów. Na dole pracują w ciszy marynarze. Są nadzy do pasa niczym górnicy w dusznych złożach. Pomieszczenie zdobią misie z różowymi pyszczkami i lalki w bucikach i różowych sukieneczkach. Czy gdyby umierali, bawiliby się nimi?

I porozwieszane zdjęcia dorodnych kobiet – czy trzymaliby je wówczas w ramionach? Podobno śmierć w łodzi podwodnej jest najstraszniejsza. Gorsza niż w płonącym samolocie lub pod gąsienicami czołgu. Uszkodzona łódź podwodna opada na dno i już się nie wynurzy. Wypłynie tylko kilka osób wystrzelonych jak torpedy. Pozostali czekają godzinami, aż skończy się powietrze i umrą koledzy o słabszych płucach. Na końcu umierają najsilniejsi.

Zanurzona łódź huczy. Ryczy i wibruje, pędzą żelazne konie. Tak jakby pod wodą leciał duży samolot – takie to uczucie. Tyle że dużo bardziej klaustrofobiczne. Ciąży na mnie ciśnienie tysięcy metrów sześciennych ściskających duszę.

Próbuję o tym nie myśleć. Oszczędza się tu miejsce. Łóżka wysuwają się na noc ze ścian, a potem zwisają na łańcuchach. Stół jadalny jest opuszczany z sufitu. A gdy już stoi na podłodze, rozlega się po polsku:

– Proszę panów, obiad gotowy!

Siadamy do posiłku na niebieskich kanapach wokół stołu. Siedzę między Obrębskim i Romanowskim. Kuchnia jest malutka, nie gotuje się w niej ciepłych dań. Zimna zupa owocowa. Kiełbasa. Szynka. Pan Romanowski dolewa mi angielskiej herbaty i pyta, czy byłem w wojsku.

Oczywiście, panie Romanowski. Wprawdzie podczas wojny byłem na to jeszcze za młody, ale po wojnie zostałem żołnierzem. W Górach Orlickich wygrałem nawet wyścig patroli. Czołgaliśmy się pod przeszkodami. Strzelali do nas nabojami. Ślepymi. Spaliśmy na śniegu bez namiotów. Było to strasznie trudne. Trzask – wrzask – plac. Tata przysłał mi tam wędkę, więc chodziłem na pstrągi. Wie pan, panie Romanowski, mój tata hoduje króliki. Szampańskie, wie pan, które to, prawda?

Pan Romanowski kręci głową, że nie wie, ale słucha. Dolewa mi herbaty, a potem prosi, żebym powiedział mu coś o katedrze w Kutnej

Horze. Widział ją na jakimś obrazku.

Odparłem, że ta katedra jest niezwykle piękna. Że to klejnot architektury. Nic więcej o niej nie wiedziałem.

Romanowski się uśmiechnął, a ja po raz pierwszy przyjrzałem się jego oczom. Zobaczyłem w nich wyczerpanie, jakby okrążył na piechotę cały świat i cierpiał podczas tej wędrówki bardziej niż Jezus Nazarejczyk. Chyba jednak nie był hodowcą królików.

Potem kapitan Obrębski spytał, czy mam jakieś życzenia.

– Wziąłem ze sobą wędkę i chętnie był połowił morskie ryby.

Obrębski skinął głową i zaczął mówić coś o Szwecji, że tam zatrzyma łódź, a ja będę mógł łowić:

– Podpłyniemy jeszcze trochę w stronę Szwecji, a potem się zatrzymamy i spróbuje pan coś złowić.

Łódź płynęła jeszcze przez godzinę, a potem się zatrzymała. Poszedłem na dziób. Wiał lekki wiatr i marszczył powierzchnię wody, co sprzyja łowieniu na błystkę. Zamiast poręczy była tu stalowa lina, więc nie groziło mi wpadnięcie do morza. Żołnierze i oficerowie obserwowali mnie z oddali. Rozłożyłem wędkę, a potem przywiązałem błystkę Hein tza z ołowiem, żeby opadł głęboko pod wodę. W duchu bardzo pragnąłem, żeby przypałętała się jakaś kolorowa bestia i żebym nie narobił sobie wstydu, skoro Polacy mają taką dobrą opinię o naszych znaczkach i o katedrze Świętej Barbary w Kutnej Horze. Zarzuciłem błystkę w niebieską nieskończoność. Bawiłem się nią, a kiedy ją przyciągałem, pozwalałem jej opadać i się unosić, nawijałem ją to szybko dla tych błyskawicznych ryb, to znów powoli dla leniwych rybich wędrowców. Zarzuciłem ją dziesięć razy, sto razy. Zmieniałem błystki. Amerykańskie wariackie. Francuskie dokładnie wymodelowane. Japońskie lekkie jak piórko, z piórkami cudownych czajek. Cała łódź czekała. Polacy milczeli.

Tylko raz widziałem, jak za przynętą płynie duży ciemny cień, ale ta ryba chciała chyba tylko sprawdzić, co to za dziwactwo. Po upływie pół godziny zrezygnowałem. Polacy machnęli ręką, że nie szkodzi, chyba nie ma tu ryb.

Ruszyliśmy z powrotem do Polski. Całymi godzinami płynęliśmy wynurzeni. Staliśmy na dziobie i milczeliśmy. Bałtyk był ciemny i zimny. Wszędzie cisza i spokój.

Potem silniki zgasły, a na pokład wyszedł marynarz wielki jak bokser. W dłoni niósł dymiącą żelazną kulę. Cisnął nią jak najdalej od łodzi. Po chwili rozległ się wybuch. Marynarze wsiedli do małego gumowego pontonu. W rękach mieli podbieraki i taki kosz jak na pranie. Szybko zaczęły wypływać ryby. Przewracały się i wykręcały w przedśmiertnych skurczach. Marynarze nabierali je podbierakiem i wkładali do tego kosza. Wciąż wypływały coraz to nowe rybie ciała, a wiele z nich było ubarwionych jak różowe i fioletowe kwiatki lub nawet niezwykłe kwiaty orchidei. Były piękne, ale już umierały. Nie o to mi chodziło, nie chciałem łowić w ten sposób. Wydawało mi się, że widzę też koniki morskie ze swoimi kościanymi pancerzami, przed chwilą osiodłane na długą wyprawę.

Marynarze postawili u mych stóp pełny kosz, a bokser spytał:

– Czy jest pan zadowolony?

Skinąłem głową, ale nie mogłem nawet spojrzeć do środka. Czegoś się bałem, ale nie wiedziałem czego. Może bałem się oczu tych ryb, których nigdy wcześniej nie widziałem. Może bałem się, żeby jedna z nich nie miała ludzkich oczu. A może bałem się tych koników morskich, które mogłyby zarżeć jak prawdziwe konie, zanim człowiek je zastrzeli lub zabije kulistą bombą.

Płynęliśmy, ściemniło się, w dali majaczyły światła wybrzeża. Na rufie brzdękała gitara marynarza Rudolfa Francuza. Chłopcy śpiewali o ciężkiej pracy na łodzi podwodnej i o tym, że już wracają do macierzystego portu.

Przesiadłem się znów do motorówki Syrena, wraz z rybami, natomiast Sęp po wysłaniu zielonych sygnałów świetlnych wpłynął do portu wojskowego.

Dowódca Syreny spytał mnie po czesku:

– Był jeszcze ktoś na Sępie?

– Niejaki pan Bolesław Romanowski.

– Pan widział Romanowskiego? Rozmawiał pan z nim? Szczęściarz z pana!

– Dlaczego?

– Długo by mówić. Całą Polskę już podbili, a on wciąż walczył. Był najdzielniejszym dowódcą łodzi podwodnej podczas drugiej wojny światowej. Kiedy faszyści zatopili jego Jastrzębia, wypłynął ciężko ranny z polską flagą, a marynarze owinęli go nią, żeby się nie wykrwawił. Potem pływał łodzią podwodną o nazwie Dzik. Zatopił dziewiętnaście łodzi faszystowskich z trzydziestoma sześcioma tysiącami żołnierzy.

Kapitan Syreny zamilkł, a ja pomyślałem o tym, że Romanowski pytał mnie o Kutną Horę. I przyszła mi do głowy szalona myśl. Tylu zatopionych żołnierzy to dwie takie Kutne Hory. Dowódca Syreny kontynuował:

– Wie pan, powstały o nim nawet pieśni.

Zaczął pomrukiwać:

Cała flotylla się śmieje,
Z nazwy statku Dzik,
Ale przy nim w mig,
Buchają płomienie.

Milczałem. Ileż to już razy pomyliłem się w swych osądach. Ci najwspanialsi ludzie są najskromniejsi. Tylko głupcy i biedacy muszą

o sobie ciągle mówić, żeby rosnąć w swoich oczach. Ja też opowiedziałem Romanowskiemu, jak kiedyś bohatersko pokonałem trasę z przeszkodami pod ostrzałem ze ślepaków. Na pewno miał ubaw po pachy.

Wysiadałem na molo, a ten z Syreny krzyknął:

– Jeszcze te ryby, które pan złowił!

Udałem, że nie słyszę, i zacząłem biec. Podczas biegu myślałem o jeziorze Michigan i rzece Dniepr, gdzie łowiłem z równie miernym skutkiem. Tyle że tam obeszło się bez takiego wstydu jak na Sępie, którego światła już migotały w porcie. Może następnym razem na tym niebieskim wzgórzu świata, jakim jest morze, dopisze mi więcej szczęścia. I może uda mi się coś złowić. Wrzucę wtedy do wody boję i wbiję w nią swoją flagę. Z jednej strony będzie biała jak księżyc zachodzący do morza i mieszczący się w nim w całości, a z drugiej – złota jak słońce z tego morza się wynurzające. A na tej fladze będzie namalowana ryba. Taka nietypowo czerwona jak powabna Kleopatra na zielonej otomanie. Oczy będzie mieć z tęczy.

Pelamidy

Znów trafiłem nad morze, tym razem na dole Europy. Nad morze Bóg wie z jakiego powodu nazywane Czarnym, choć jest równie niebieskie jak większość mórz. Byłem już żonaty z Wierą, która była ładna i miała ciało jak manekin, a ja ją kochałem. Dała mi syna, z którego wyrośnie wędkarz. Co do syna się nie myliłem. W Wierze najpiękniejsze było to, że lubiła jeść ryby na okrągło. To największe szczęście, jakie może spotkać wędkarza. Żona nie wyrzuca mu, że ciągle siedzi nad wodą, tylko wręcz przeciwnie: budzi go, żeby się nie lenił i wcześnie wstał. A zamiast skarpet i chustek dawała mi na Boże Narodzenie błystki i haczyki, które do niczego się nie nadawały, bo Wiera w ogóle się na tym nie znała.

Polecieliśmy więc razem nad Morze Czarne, nad górami i dolinami, samolocikiem, który mógł w każdej chwili spaść, szczególnie gdy wiał wiatr i zbierało się na sztorm.

Na Błękitnym Wybrzeżu było nam wspaniale. Nasz pokoik miał jedną całą ścianę przeszkloną i było przez nią widać kwadrat morza. Czytaliśmy piękne opowiadania Karela Čapka i Antona Pawłowicza Czechowa, a kiedy zaczynały nas męczyć postaci z tych tekstów, zbiegaliśmy po marmurowych schodach i wskakiwaliśmy do spienionej wody. Wypływałem wtedy zawsze daleko, aż tam, gdzie kończyły się wody terytorialne. Nurkowałem w fale, płynąłem pod nimi i wynurzałem się po

drugiej stronie. Wyczuwałem pod sobą dużą głębokość, ogarniał mnie strach, ale go pokonywałem. Czułem się wolny jak ryba. Z brzegu obserwowali mnie przez lornetki ratownicy, marynarze i rybacy: Asen, Jakim i Vaska. Ściągali na wodę motorówkę, doganiali mnie i zawsze mnie opieprzali, a ja musiałem im wieczorem kupować flaszkę w knajpce u Akima. Nigdy nie wypuścili mnie tak daleko, bym nie mógł wrócić i poszedł na dno.

Ci wesołkowie przez trzy tygodnie obiecywali, że zabiorą mnie na otwarte morze na ryby drapieżne. Trzy tygodnie minęły, a my nazajutrz mieliśmy wracać do domu, znów tym samolocikiem, który ledwo co przeleciał nad Alpami Transylwańskimi.

Przeżyliśmy ten dzień tak cudownie, jakby już nigdy miał się nie powtórzyć. Wiera i ja kąpaliśmy się w słonym morzu, a potem braliśmy prysznic w słodkiej wodzie. Na kawałki wołowiny łowiłem z brzegu trzycentymetrowe okonki i dawałem je w butelce dzieciom do zabawy. A wieczorem słuchaliśmy cykad robiących dzz-dzz-dzz i na wybrzeżu kradliśmy migdały prosto z drzewa, na które podsadzał nas pewien milicjant.

Później poszliśmy na potańcówkę do Akima na zaproszenie naszych rybaków. Parkiet nie grzeszył wielkością, ale bawiliśmy się wspaniale, ponieważ od morza wiała bryza, igrała z jedwabiem kobiet, droczyła się z nimi, a one śmiały się szczęśliwe. Asen, Jakim i Vaska wzięli moją żonę do kółeczka, a ja myślałem, jakież to wspaniałe, że wreszcie tańczy z prawdziwymi facetami.

Nie byli to żadni bogacze, a jeden z nich umierał, bo miał białaczkę. Ale tamtego wieczoru przygotowali dla nas wystawną, królewską ucztę. Przez całe popołudnie łowili i zbierali z dna jakieś muszle, a mięso z nich później skropili cytryną i jakimś specjalnym sosem. Na stole stały również smukłe

butelki wina i chrupiące srebrne rybki, jak nasze ślizy, które jadło się razem z ośćmi. A kiedy minęła północ, a morza pilnował księżyc, powiedzieli, że z samego rana wyruszymy na drapieżne ryby. I spytali, czy dam radę wstać tak wcześnie.

Skinąłem głową, choć wcale nie byłem tego taki pewien. Na wpół pijany czekałem więc na nadejście dnia. Wiera spała w hotelu, a ja siedziałem na zbutwiałej beczce na piaszczystym brzegu i czekałem na rybaków. Byłem głodny. Chciałem iść poskarżyć się żonie, jak robi to większość mężczyzn, ale wiedziałem, że nie mogę przegapić tej rybackiej okazji, bo może się już nigdy nie powtórzyć.

Dwa razy zleciałem z tej beczki i dwa razy wchodziłem z powrotem. Potem ujrzałem słońce wyłaniające się z wody. Morze drżało i wyrastała zeń płonąca pomarańczowa piłka, jaką grają w piłkę nożną diabły. Pomarańczowa piłka zmieniła się w wielką kulę, zrośniętą z morzem jakąś mocną pępowiną, a potem słońce oderwało się od fal i wpłynęło na niebo. Wstał dzień.

Nadszedł Asen. Niósł ciężkie wiosła oraz zwój żyłek z haczykami. Ale były to małe haczyki na małe rybki. Poczułem rozczarowanie. Już parę razy przeżyłem coś takiego. Ściągnęliśmy łódź na wodę i wiosłowaliśmy do Zatoki Muszlowej. Asen był w świetnym nastroju. Opuścił kotwicę i rozpakował wędki. Podał mi jedną żyłkę i nadział na haczyk galaretowego raczka. Potem również wziął wędkę i dzierżył ją w dłoni. Kiedy żyłka zaszeleściła, wyciągnął srebrną rybkę. Ja złowiłem okonia w czerwonym płaszczyku grenadiera. Wyciągaliśmy tak jedną rybkę za drugą, ale żadna z nich do niczego się nie nadawała. Bułgaria prowadziła nad Czechosłowacją o dziesięć rybek. Była to straszna dziecinada.

A kiedy morze się rozkołysało, nagle zrobiło mi się niedobrze, niebo zamieniło się z wodą miejscami, a ja zacząłem wymiotować. Skurczyły mi

się wszystkie wnętrzności i położyłem się na wznak, jakbym umierał. Słyszałem, jak ktoś mówi:

– To choroba morska.

Powoli wszystko się uspokajało, a ja całkowicie straciłem poczucie czasu. Wciąż czułem smród morza, zaśmierdłych muszli i zgniłych ryb.

A potem ujrzałem, że zbliża się do nas niebieska łódź i że siedzą w niej Jakim i Vaska i obaj się cieszą, że udało im się oszukać patrole przybrzeżne i że dopiero teraz zacznie się połów ryb drapieżnych. Przelazłem na kolanach do niebieskiej łodzi i zrozumiałem, że łowienie tej drobnicy było tylko kamuflażem. Włączyli duży silnik i rozległ się huk końskiej siły. Tu, daleko od brzegu, skąd było już prawie widać wybrzeże Turcji, wszystko się zmieniło. Morze, niebo, wiatr. Morze przestało się wściekać, chmury odpłynęły, wiała przyjemna bryza. Gdzieś tu musiały być:

RYBY DRAPIEŻNE.

Były to pelamidy. Nie mogliśmy ich znaleźć, w tamtym czasie należały tam do rzadkości. Vaska przygotował długą i wytrzymałą żyłkę, do której były przywiązane dziesiątki cienkich żyłek z haczykami. Przynęta musiała być biała jak śnieg, innej wędkarze by nie wzięli. A na każdym haczyku było piórko jak za kapelusik. Te piórka ciągnięte pod wodą wyglądały dla pelamidy jak odbłyski srebrnych łusek. Oszustwo przekonujące jak błyszcząca forsa, której nie oprze się żaden człowiek. Płynęliśmy na południe jeszcze z godzinę i wreszcie je ujrzeliśmy. Najpierw zobaczyliśmy wielkie stado mew. A kiedy podpłynęliśmy bliżej – olbrzymią połać gotującej się wody. I w tej kotłowaninie latały w powietrzu malutkie srebrne rybki, stalowe ciała pelamid i mewy. Najwyraźniej miliony rybek wędrowały tuż pod powierzchnią morza, a stado pelamid zaatakowało je niczym leśne rzezimieszki. Ryby wyskakiwały w powietrze, a tam czekała je śmierć w postaci mew. Ptaki łapały rybki również na wodzie i pod wodą,

a rozszalałe pelamidy, duże jak rzeczne szczupaki, zrywały z nich pióra. Była to Sodoma i Gomora tej krótkiej tragedii. Wstałem na łódce i obserwowałem te wydarzenia. Vaska mi rozkazał:

– Do roboty!

Żyłka rozwinęła się za łódką jak sztandar. Piórka i ostre jak brzytwy haczyki były w gotowości. Dotychczas to pelamidy siały śmierć, lecz teraz śmierć przyszła też po nie. Niebieska łódź ruszyła w środek tej zawieruchy. Trzymałem żyłkę, a woda wciąż wrzała. Łódź niemiłosiernie rozcięła plac boju, mewy krzyczały i wzbijały się w powietrze, morze znów już tylko falowało, ale pelamidy o krwawych oczach wciąż polowały pod nami. Poczułem w dłoniach pierwsze szarpnięcie, tak jak kiedy złapie się na lasso gęś i ciągnie się ją za autem. Zaraz potem drugie. Przestałem liczyć. Łódź pruła morze, a wędka w moich rękach stawała się coraz cięższa. A ja nagle sobie uświadomiłem, że płaczę ze szczęścia, ponieważ po raz pierwszy w życiu łowię morskie ryby drapieżne.

Wędka już nie powiewała za łodzią. Zwisała prostopadle do niebieskiej głębiny. Przechyliłem się na bok i zacząłem ją z trudem wyciągać. Aż nagle ujrzałem w przejrzystej wodzie żyłkę obwieszoną jak choinka srebrnymi ozdobami i zrobiło to na mnie chyba jeszcze większe wrażenie niż bożonarodzeniowa choinka, ponieważ pelamidy tańczyły na haczykach w tym niezwykłym błękicie ostatni taniec życia. Żegnały się z domem, w którym się narodziły i w którym żyły.

Wciągałem je przez burtę. Wytrzeszczały miedziane oczy i rzucały pięknymi, aerodynamicznymi ciałami, które w wodzie były z pewnością szybkie jak błyskawica. Płetwy ogonowe miały cieniutko oddzielone od reszty ciała i przypominały ogony najnowocześniejszych samolotów. Jedna mnie ugryzła lub przecięła mi skórę na nodze, leciała mi krew. Klęczałem w łódce, zbroczony ich krwią oraz swoją, pokryty tysiącem kryształków

soli jak rybak morski. Za jednym razem wyciągnąłem ich dwanaście. Należały do mnie.

Dopłynęliśmy do brzegu i wyciągnęliśmy na piasek naszą niebieską łajbę. Plaża jeszcze spała. Pożegnałem się z rybakami, najserdeczniej z Asenem, który miał białaczkę. Już nigdy się z nim nie zobaczę.

Po schodach hotelu biegłem jak rybak, który złowił złotą rybkę mającą spełnić wszystkie jego życzenia.

Wiera jeszcze spała, zmęczona tym, co już przeżyła, i gromadząca siły na to, co jeszcze ją czeka. Tak jakby kobietom nigdy nie było za dużo snu. Rozłożyłem pelamidy na papierze, a przez przeszkloną ścianę po raz ostatni świeciło na nie słońce, które karmiło je przez wszystkie te lata i dodawało im sił. Byłem niecierpliwy jak każdy rybak, który złowił już wiele ryb. Pocałowałem żonę w czoło. Rozchyliła powieki i ujrzała przy swoim łóżku moją przedranną zdobycz.

Powiedziała:

– Piękne ryby. Wyglądają jak promienie słońca.

Uśmiechnęła się do mnie i to była nagroda. Jej oczy się zamknęły i znów spała, za przeszkloną ścianą usypiała ją kołyska morza.

Co do pelamid miałem swoje zamiary. Chciałem pozostać rybakiem do samego końca. Nie zamierzałem ich nikomu dawać, ponieważ nikt sobie na nie za darmo nie zasłużył. Zebrałem je i wyruszyłem na targ pachnący morszczynami i rybami. Tam znalazłem pusty stolik i rozłożyłem na nim swoje zdobycze. Chciałem być jak rybak, któremu nie wystarcza łowienie i który musi sprzedać swój łup, by mieć na chleb, masło i sól. Ułożyłem pelamidy, przetarłem je szmatką i czekałem na klientów. Kobiety wiedziały, że te ryby mają wyborne mięso, więc wykupiły je w kilka minut.

Wsypywały mi pieniądze do drewnianej miski, którą wcisnąłem sobie przezornie do kieszeni w pokoju hotelowym.

Gdy wróciłem, Wiera była już ubrana. Przesypałem jej srebrne pieniądze w dłonie, a ona się roześmiała. Wszystko zrozumiała. Kupiła za nie słomianą matę na ścianę w naszym pokoju.

Czasem siadam przed tą matą w bujanym fotelu i wydaje mi się, że płynę niebieską łódką. Przede mną rozgrywa się na macie atak drapieżnych pelamid z przekrwionymi oczami. Małe rybki wyskakują w świetle lampy w powietrze, a z góry atakują je te słodziutkie mewy, które karmimy chlebem przy Teatrze Narodowym, kiedy jest nam jeszcze zimno i chcemy rozgrzać dobrym uczynkiem nasze skostniałe serca.

POWROTY

Pumperdentlich

Podczas wędrówki przez świat nasz tata bardzo się zestarzał i przejawiało się to także w jego podejściu do ryb. Wciąż pragnął złowić tę największą, tę rybę swojego życia, ale z dużymi rybami nie jest to takie łatwe. Jeśli złapią się na słaby sprzęt, to go połamią, a gdy łowimy porządnym, to zazwyczaj nie biorą. Jak to w życiu: to, czego pragniemy najbardziej, pozostaje nieosiągalne.

Na zaporze pod Skochowicami tacie pięć razy brały sumy. Jeden ciągnął go nawet wraz z łódką przez długość boiska piłkarskiego. A potem on też się zerwał.

Jednego tata nawet złowił. Mniej więcej pięciokilowego suma z wąsikami i małymi, tajemniczymi oczkami. Wyglądał jak czarne prosię. Z początku tata bardzo się nim cieszył. Ale mimo to wiedział, że to nie jest ten wymarzony sum, a kiedy nam go pokazywał, powiedział:

– Ten jest *pumperdentlich*.

Tata nie znał dokładnego znaczenia tego słowa, ale uwielbiał go używać. Podobno oznacza na przykład takie sytuacje, gdy piękna kobieta w sukni balowej lub wytwornym kożuchu, której wszyscy przyglądają się z zachwytem, wdepnie w gówno. Sum był, owszem, piękny jak dama w czarnej sukni, lecz niestety niewielki.

Tata wpuścił go do naszej dużej studzienki pod brzozą, ale nie okazało się to najlepszym pomysłem. Ponieważ potem wybrał się do gospody Hartmanów, by poinformować świat, że złowił suma. Przecież od dawna marzył o czymś tak prestiżowym. Gospoda była pełna, a nastroje wyśmienite. Kupując papierosy, tata rzucił przy barze od niechcenia:

– No, dopadłem suma.

– Ile ma?

Oczywiście tata spodziewał się tego pytania.

– Jest pumperdentlich.

I wyobraził sobie damę w balowej sukni wycierającą sobie na chodniku obcasy chustką.

Tyle że barman nie miał wyczucia do nietypowych słów i porównań. Powtórzył niecierpliwie:

– Ile waży ten sum?

Tata odparował:

– Dwadzieścia.

To nie było ani mało, ani dużo, ale w sam raz, by wzbudzić szacunek. Potem tata usiadł i zamówił dużą wiśniówkę, jedyny alkohol, który czasami pił. Po pierwsze, była słodka jak ulepek, a to bardzo mu odpowiadało, a po drugie, przypominała mu wiśnię za szkołą w rodzinnym Busztiehradzie, z której w dzieciństwie kradł owoce. Gdy pił tę wiśniówkę, słyszał krzyk szpaków odlatujących i marudzących, że muszą ustąpić miejsca na drzewie chłopcom, a potem słyszał również krzyk gospodarza, pędzącego ku wiśni z kijem. Tymczasem w gospodzie Hartmanów, tym słynnym przybytku rybaków i włóczęgów, rozniosło się, że stary Pavel złowił suma. A ponieważ goście mieli już pełne pęcherze i chcieli też wyjść na świeże powietrze, wszyscy przystali na propozycję pewnego podchmielonego mężczyzny, by pospołu pójść i zobaczyć ten okaz.

Tata nie mógł nic zrobić, ponieważ wielu z nich było rybakami. Musieli przekonać się o wszystkim na własne oczy. Tata rozważał zakup dwudziestopięciolitrowej beczki piwa, tak zwanego szczeniaka, ale szybko pojął, że tych ciekawskich nie zatrzymałby nawet bernardyn z przekrwionymi oczami.

Niepewnym krokiem opuścili gospodę, po czym z krzykiem i śpiewem na ustach ruszyli w stronę naszego domu o wdzięcznej nazwie Hermina, żeby zmierzyć i zważyć suma z rodu wielkich. Tata szedł z nimi jak na ścięcie, a oni z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu śpiewali piosenkę o rzeźnikach:

Lepszych rzemieślników niż rzeźnicy
To ze świecą szukać.
Wstają wcześnie, by od rana
Kufel w pracy płukać.

W naszym domku procesję przywitała moja drobniutka mama Hermina. Od razu zrozumiała, co się święci, bo dobrze znała swojego męża, mieszkała z nim pod jednym dachem bardzo długo. A także dlatego, że tata gestykulował do niej wściekle z końca pochodu, żeby coś wymyśliła. Rybak o nazwisku Duszek czknął, po czym wygłosił mowę:

– Miłościwa pani, przyszliśmy zobaczyć tego suma, którego złowił szanowny małżonek.

I pokłonił się. Mama natychmiast zrozumiała, że jeszcze nie są w odpowiednim stanie do oglądania suma, więc zaprosiła ich do stołów w domku i na werandzie. Nie dali się długo prosić. Przyniosła wszystko, co mieliśmy w domu. Węgierskie salami, marynowane ryby, kiełbasę szynkową, kręconą kiełbasę z koniny, otworzyła konserwy i butelki z winem i innymi alkoholami. Pomagałem jej obsługiwać gości, taty

nigdzie nie widziałem. Ten nasz domek letniskowy na skale wkrótce zmienił się w parowiec na wzburzonej wodzie. Kołysał się, kiwał i śpiewał:

Pije tata, pije mama,
Krowa już gotowa.
Piją tata i dzieciaki,
Bo na świat przyszły cielaki.

Jedli i popijali mniej więcej przez godzinę, aż wreszcie mama stwierdziła, że nadszedł właściwy moment. Byli już pijani, ale jeszcze nie wymiotowali. Mogli więc ocenić wymiary i wagę suma z rodu wielkich. Mama na wszelki wypadek wyprowadziła Duszka przed dom i coś mu szepnęła. Duszek odparł:

– Mnie, miłościwa pani, może pani zaufać.

Skądś przypałętał się również nasz pobladły tata. Procesja dotarła pod brzozę. Duszek długo zaglądał do studzienki, trzymając się blaszanej klapy, żeby nie wpaść do środka. Potem rzekł:

– Biorąc pod uwagę, że woda pomniejsza, ten sum ma dwadzieścia kilo z dużym okładem.

Pozostali też zaglądali do studzienki. Ale nikt nie odważył się spierać z tą opinią. Albo w ogóle nie widzieli suma na dnie, albo nie chcieli go widzieć. Tylko niziutki Peterka wszystko popsuł, bo był tak pijany, jak prawdomówny. Spojrzał w dół i zaczął krzyczeć:

– O, jaki malutki. Dam mu całusa!

Rozebrał się do majtek i zamierzał wejść do naszej studni jak pod kołdrę. Odciągnęli go. Wszyscy wrócili ze śpiewem na ustach do gospody Hartmanów, tylko tata został w domu i pomagał w sprzątaniu brudnych talerzy i kieliszków, choć nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. A mama

nic nie mówiła, bo wiedziała, że na nic by się to nie zdało. Po Skochowicach szybko się rozniosło, że ten taty sum miał ponad pięćdziesiąt kilo. Najwyraźniej tak podrósł w tej naszej studzience.

Mnie ta historia nauczyła jednej rzeczy: chociaż trochę zrozumiałem znaczenie słowa *pumperdentlich*. Oznacza ono coś świetnego, co jest jednocześnie gówno warte.

Żelazko

My, bracia, też już się trochę postarzeliśmy. Wypadały nam pierwsze włosy i pojawiały się pierwsze siwizny. Czasy, gdy ganialiśmy w wodorostach dużego czarnego szczupaka, minęły bezpowrotnie. Bracia wyszumieli się w młodości, ożenili się, jak to zazwyczaj bywa, i wrócili do ryb, jak to również często bywa. Tak jakby zrozumieli chińskie przysłowie:

Jeśli chcesz być szczęśliwy przez godzinę – napij się.
Jeśli chcesz być szczęśliwy przez trzy dni – ożeń się.
Jeśli chcesz być szczęśliwy przez całe życie – zostań rybakiem.

Ich powrót do ryb był burzliwy. Ja to rozumiałem. Ich chłopięce lata przerwali faszyści.

Kiedy moi bracia Hugo i Jerzy odłożyli wędki i rozpoczęli marsze śmierci, byli jeszcze chłopcami. Hugo zamiast dużej srebrnej ryby, którą zamierzał złowić, ujrzał napis TEREZIN. Jerzy zamiast dużego czarnego szczupaka ujrzał napis OŚWIĘCIM.

A teraz, po wojnie, bracia chcieli to kontynuować, wrócić do chłopięcych lat i zasypać tę przepaść, którą dla wielu ludzi wykopał Adolf Hitler wraz ze swoimi esesmanami. Chłopcy chcieli znów rozebrać się do

majtek i włożyć koszulki z krótkimi rękawami i napisem OSADA WIECZNEJ MŁODOŚCI.

Odbyliśmy naradę. Uzgodniliśmy, że co roku będziemy jeździć z namiotem na tydzień nad najpiękniejsze rzeki. Bez naszych i nie naszych żon. Zawsze zabierzemy ze sobą mnóstwo jedzenia, morze piwa i będziemy rywalizować, kto ugotuje najlepszy posiłek i kto złowi najwięcej ryb.

Kiedy oświadczyliśmy to naszym żonom, zasępiły się. Potem mówiły, że w takim razie one też dokądś pojadą, tylko nie miały dokąd. Nie łowiły ryb. Ostatecznie oznajmiły, że się cieszą, iż mogą się nas pozbyć. I wzięły się do wielkiego prania i gruntownego sprzątania, ponieważ najwyraźniej właśnie to sprawia kobietom największą przyjemność. Przede wszystkim dlatego, że mężczyźni tego nie znoszą. Mężczyźni są stworzeni do łowów i walk.

Najstarszy, Hugo, zwany Bufakiem, najostrożniej z nas wszystkich obchodzi się z pieniędzmi, ponieważ zawsze miał ich najmniej. I zawsze przepuszczał najwięcej z nas na sprzęt wędkarski. Miał amerykańskie wędki Noris Shakespeare, które regularnie podziwiał w szafie, a najpiękniejsze błystki rozwiesił na firankach, więc miał w mieszkaniu choinkę przez cały rok. Jurek był żądny ryb, bo lubił je jeść, jego żona Dana również, więc gdy przywoził ryby, miał się w domu nieco lepiej. Ryby panierowali jak kotlety i układali w cudownej marynacie jak u Proszków.

Podczas naszej pierwszej narady mówiło się o jedzeniu. To już nie były te czasy, kiedy wybierałem się na kilkudziesięciokilometrowe trasy wokół Krzywoklatu, piłem solone surowe jajka i zagryzałem je suchym chlebem. Teraz szykowała się uczta. Zrobiliśmy listę, jakbyśmy się wybierali na górę gór Nanga Parbat.

Hugo mieszkał wówczas w Kladnie i informował nas o przebiegu przygotowań. Chcieliśmy jechać do krainy dzieciństwa, wrócić tam i stać się znów małymi chłopcami.

W sobotę wyruszyliśmy z Pragi do Hugona dwiema taksówkami, bo nasz ekwipunek nie zmieścił się w jednej. W Kladnie taksówkarze wypakowali: wędki, namioty, sadz, gęś i dwie kaczki, garnek z kiszoną kapustą, śpiwory, kociołki, szynkę, smalec, końskie salami, kiełbasę zwyczajną, warzywa, mąkę, oleje i inne kuchenne produkty, przyprawy i składniki. W dalszą trasę wyruszyliśmy autkiem Hugona. Była to tatra 57, jeden z pierwszych typów tego modelu, nie przez przypadek zwany przez wszystkich Żelazkiem. Hugo był do niej bardzo przywiązany, oszczędzał na nią przez wiele lat. Kiedy zobaczył tę stertę rzeczy, jęknął. Przez całe popołudnie je układaliśmy. Gdy tylko ruszyliśmy, druciany sadz spadł mi na głowę. Hugo wyrzekał na nas za kierownicą:

– Wy nie jesteście braćmi. Jesteście durniami! Przeciążyliście mi auto!

Żelazko stękało tylko pod górę, Hugo stękał przez cały czas. Po jakichś trzech godzinach dotarliśmy do „Agenta". Na widok naszych bagaży pani Franiek pomyślała, że zostaniemy u niej na wieki. Ale ryby tam nie brały. Postanowiliśmy oddalić się od cywilizacji, ale nie mieliśmy piwa. Jurek uważał, że potrzebujemy przynajmniej trzech skrzynek, Hugo – że dwóch, a ja podczas ich kłótni wypiłem dwa lane. W końcu Jurek przeforsował cztery skrzynki rakownickiego piwa z rakiem w logotypie. Ustawiliśmy je na dachu i przywiązaliśmy anteną telewizyjną. Żelazko wciąż jechało jak czołg z pierwszej wojny światowej. Było to fantastyczne auto, które bez żadnego przygotowania mogłoby z powodzeniem startować w konkursie na najpowolniejszy pojazd. Przejechaliśmy przez most w Skryjach i ruszyliśmy w górę wioski.

Nagle coś w Żelazku zrobiło bum! i trzask!, a Hugo ryknął. Zaczęliśmy zjeżdżać tyłem z powrotem do Krzywoklatu, a przede wszystkim wprost do naszej ukochanej Berounki. Hugo krzyczał:

– Wiedziałem, że tak będzie! Zniszczyliście mój drogi, ukochany wóz. Ja was zabiję!

Nie musiał tego mówić, było jasne, że zabijemy się wszyscy. Antena telewizyjna się przesunęła, a butelki z rakiem w logotypie też turlały się z powrotem do Krzywoklatu. Kapusta wysypała mi się na głowę, więc czułem się jak gęś na talerzu.

Na szczęście zatrzymaliśmy się na słupkach przydrożnych.

Do naszego obozu w Łęgu pod Skryjami zaciągnęły nas za sto pięćdziesiąt koron łaciate krowy. Było to przepiękne miejsce.

Jurek od razu wziął się do łowienia. Ja i Hugo popijaliśmy piwo i ogarniał nas wyśmienity nastrój. Hugo nie mógł się nachwalić Jurka, że wziął te cztery skrzynki piwa, choć przecież to właśnie przez nie Żelazko odmówiło posłuszeństwa. Około północy Jurek wrzasnął:

– Węgorz!

Hugo tak się wystraszył, że wpadł, trochę już pijany, do wody. Stał w niej po kolana i wrzeszczał, że się topi. Wyciągnęliśmy go, a on nam dziękował, że uratowaliśmy jego dzieciom ojca. Potem zmusiliśmy Jurka, żeby usmażył tego węgorza. Później już żadnego nie złowił i klął na nas, że tego pierwszego chciał zawieźć swojej żonie Danie, żeby mieć się w domu znów trochę lepiej.

A potem podczas tej tygodniowej męskiej wyprawy i braterskiego urlopu zapomnieliśmy o bożym świecie. Łowiliśmy, a przede wszystkim jedliśmy i wcale się nie myliśmy. Tak nam minął tydzień, podczas którego zachowywaliśmy się wobec siebie tak, jak powinni się wobec siebie zachowywać rodzeni bracia.

Konkurs kulinarny wygrał Jurek. Najlepszym daniem został ogłoszony karp po żydowsku. Jurek za nic nie chciał nam zdradzić przepisu. Ale wygadał się przez sen: „Kawałki karpia obtocz w mące, duś na oleju z cebulką, wywarem z ryb, białym winem, czosnkiem i posiekaną natką pietruszki, przelej sosem własnym z sardelami, marynowaną szalotką i duszonymi pieczarkami. Mniam!".

Najwięcej ryb wszelkiej maści nałapał Hugo.

Ja i Jurek musieliśmy iść na pociąg. Hugo postanowił nie opuszczać Żelazka. Jeszcze by mu je ktoś ukradł. Obiecaliśmy mu, że kosztami naprawy podzielimy się po równo, niezależnie od ich wysokości. Ale potem i tak nic mu nie daliśmy. Bawił się tam dobrze i został na długo. Po jakimś czasie wysłał do fabryki listę rzeczy, które pękły mu w aucie i w głowie. Było tego sporo, a oni nie potrafili zdobyć części zamiennych do tego ustrojstwa. Jakie tam części zamienne do tego Żelazka! Fabryka, żona Ela, związek zawodowy i nie wiadomo kto jeszcze bombardowali Hugona listami informującymi, co ma robić. A on tych listów nie czytał, wkładał je do pustych butelek po rumie i zadumany puszczał z nurtem rzeki. Płynęły jak niedoręczona poczta przez piękne okolice Tyrzowa, branowskiego Łęgu, aż do Krzywoklatu. Niczego nie potrzebował, jedzenia zostawiliśmy mu pod dostatkiem, miał się jak w raju. Kupował tylko rum do herbaty i piwo do siebie. Wędki rozstawił tuż przy namiocie, a błystki zarzucał do wielkich toni pełnych szczupaków. Kiedy szczupak zanurzył mu spławik, wyciągał go na brzeg. Zjadał go i łowił dalej. Właściwie świat przestał dla niego istnieć. Złapał tam, łobuz jeden, ze dwadzieścia porządnych szczupaków. A my niby mielibyśmy dorzucać się do kosztów?!

Codziennie chodziła tamtędy młoda listonoszka, z którą rozmawiał. O tym i o tamtym, o trawie, o zamku w Tyrzowie, o podgrzybkach i o trylobitach.

Aż pewnego dnia na wzgórzu pojawiło się duże auto do ściągania aut po wypadkach. Hugo poznał ten wóz. Był z jego fabryki. Obok kierowcy siedziała jego żona Ela. Zapakowali Żelazko, a także namiot, sadz i nawet trylobity z dawnych czasów, które przed moim bratem Hugonem odkrył tu słynny geolog i paleontolog Francuz Joachim Barrande ponad sto lat wcześniej.

Przyjeżdżaj, bo biorą jak głupie!

Zadzwonił do mnie brat Hugo:

– Przyjeżdżaj, bo biorą jak głupie!

Wprawdzie padało, ale namówiłem żonę, żebyśmy pojechali do nich do Zbeczna nad Berounkę, chociaż wiedziałem, że ryb tam jest mało. Moim głównym argumentem przeciw żonie, przeciw wiatrowi i przeciw deszczowi było to, że wreszcie sobie spokojnie połowię, a na kolację będą świeże ryby.

– Może karpik, może szczupak, a może nawet sandacz!

Brzmiało to wspaniale. Z Winohradów jest nad Berounkę kawał drogi, a ponadto błądziliśmy naszą škodą MB. Zawsze błądzimy. Wjechaliśmy też w skarpę, a za Lanami w Mysią Dziurę, która we mgle i deszczu wyglądała jak zjazd ze szczytu Grossglockner.

Domek znaleźliśmy po długich poszukiwaniach. Brata oczywiście nie zastaliśmy. Na pewno wyciąga już beze mnie jedną rybę za drugą. Kiedy go znalazłem, miałem ochotę mu przyłożyć. Siedział na krzesełku i z kolorowymi dzwoneczkami na wędkach łowił przy dnie. Nie karpie, tylko kiełbiki! Te małe rybki, które mieszczą się w akwarium. Nie da się ich jeść, nie da się ich marynować w occie ani w oleju, a smażyć to już w ogóle nie. A więc to tak wygląda to cudowne łowienie, na które mnie tu ściągnął

i przez które omal nie zginąłem wraz z żoną i synami: Janem, Piotrem i Jurkiem we mgle i w deszczu za Lanami. Milczę i jestem strasznie wściekły. Przy bracie siedzi jakiś potulny pies, taki kundelek, który najwyraźniej nie potrafi nawet zrobić hau! ani wrrr! i śmieje się tak samo jak brat. Kiedy rybka skubie przynętę na wędce, pies merda ogonem. Ta bestia poznaje, że rybka ciągnie żyłkę. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego psa. Brat wyciąga ryby z wody i co dziesiątą mu rzuca. Pies cieszy się jak szalony, podrzuca ją jeszcze raz w powietrze, a potem zjada na surowo. Jak w cyrku! Dobrana para! Wciąż jestem wściekły, ale mój brat wcale nie zwraca na mnie uwagi, a nawet szepcze do siebie:

– Cudownie mi się wędkuje! Cudownie mi się łowi!

Śmieje się przy każdej wyciąganej rybce, jest wesoły i szczęśliwy, pies również. Długo ich obserwuję i wreszcie zaczynam rozumieć. Jest zadowolony, że ma jedno branie za drugim, że siedzi nad wodą, płynie rzeka, za rzeką jest las, a w nim krzyczą bażanty, też z rozkoszy, i wydziobują dżdżownice z mokrej gliny.

Siadam na wolnym krzesełku, zaczynam się śmiać i krzyczę do niego:

– Dałeś nam popalić! Zrobiłeś nas na szaro! – A potem dodaję: – Pożycz wędkę!

Przysuwam krzesełko do niego i zaczynam łowić. Kiełbiki. Nie da się ich jeść, nie da się ich marynować w occie ani w oleju, a smażyć to już w ogóle nie. Moi synowie: Jan, Piotr i Jurek siadają obok mnie i też łowią kiełbiki. Jakoś przestało nam już przeszkadzać, że nie są to duże ryby. Jedyną osobą, której będzie to przeszkadzać, jest moja żona. Lubi ryby przyrządzane po francusku. Szczupaka pieczonego w pergaminie albo karpia nadziewanego słoniną. Co chwilę wygląda z werandy i niecierpliwie, z nadzieją, macha białą chustką. Lecz myli się okrutnie. Dziś ryb nie będzie. Zresztą od kiedy wzięła mnie sobie za męża, pomyliła się tak już

niejednokrotnie. Siedzimy na krzesełkach, łowimy kiełbiki i śmiejemy się, bawimy się lepiej niż w parku kultury i wypoczynku. Rybki wpuszczamy z powrotem do rzeki, żeby żyły i się tym cieszyły, tylko co jakiś czas, kiedy trafi się większa, która już się napływała w swoim mokrym świecie, rzucamy ją jako przysmak kundelkowi. Właściwie to wabi się Carda. I Carda też się uśmiecha. Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, uznałby nas za wariatów. I wcale by się nie mylił.

Złodziej wędek

Na Ohrzy zdarzyła się nam dziwna przygoda. Wędkował tam z nami Waldek Freund z Podborzan i marynarz Půhony z Pragi. Ten marynarz Půhony pływał kiedyś na zamorskich łodziach gdzieś w Osace i Tokio i przywiózł stamtąd piękne japońskie wędki. Tak się z nich cieszył, że prawie z nich nie korzystał. Stały tylko przy namiocie, a Půhony pokazywał je wszystkim, którzy tamtędy przechodzili. Były to naprawdę cudowne egzemplarze, miały zapasowe czubki i czerwone wiązania, były cienkie jak promienie słońca wyłaniające się z Morza Japońskiego.

Siedziałem godzinami przy jego namiocie i podróżowałem wraz z nim. Ciekawie opowiadał o swoich wojażach, a ja słuchałem i przyglądałem się tym wędkom, tak jak kiedy się z kimś rozmawia i jednocześnie słucha muzyki. A czasem w nocy te wędki mi się nawet śniły, łowiłem na nie w przejrzystej błękitnej rzece duże srebrne ryby. I kiedy tak raz mi się śniły, obudziłem się i usiadłem w namiocie. Kilka kroków ode mnie płynęła cicho rzeka. Największą zaletą namiotu jest to, że można go rozbić tuż przy rzece. Wieczorem rzeka was usypia, a rano budzi. Wyjrzałem na zewnątrz, była noc, ciemna noc. Spałem w namiocie z Jurkiem (Hugo sypiał w aucie), Jurek sapał, pewnie śnił mu się wyborny gulasz, który Hugo ugotował tego dnia, wysuwając się dzięki temu na prowadzenie w konkursie na najlepsze danie, za które zawsze pod koniec tygodnia przyznawaliśmy kucharski

złoty medal „Za zasługi". Po prostu Jurek nie miewał tak lirycznych snów jak ja.

Patrzę na rzekę, myślę, że rano wybiorę się na duże klenie pod jazem, zawsze łowiłem tam jednego lub dwa na kiełbiki, wędkowało się tam cudownie. Nagle ujrzałem Hugona, on też mnie zobaczył. Zaczął myć ręce na brzegu rzeki. Byłem tak zaspany, że wcale nie wydało mi się to dziwne. Lecz kiedy moje oczy otwierały się coraz to szerzej i szerzej, pomyślałem: co go napadło w środku nocy? Wyszedłem z namiotu i powoli ruszyłem ku wodzie. Kiedy byłem jakieś trzy metry od brata, spytałem:

– Hugo, co ty tu robisz?

Odburknął coś w stylu:

– No wiesz…

I tak dziwnie się zaśmiał, a potem zaczął się cofać, machając rękami jak kaczka uciekająca po mieliźnie. Nagle ogarnęło mnie przerażenie, przypomniałem sobie horoskop, który przed laty przepowiedział, że ktoś z naszej rodziny kiedyś postrada zmysły, i pomyślałem, że Hugo zwariował. Śmiał się i wchodził coraz dalej w wodę, szedł prosto w głębinę. Pobiegłem do namiotu i zacząłem potrząsać Jurkiem.

– Jurek! Hugo zwariował. Chodź szybko! Bo się utopi!

Jurek wyskoczył, spał nago, i popędziliśmy na brzeg. Jurek był jakieś trzy metry od Hugona, gdy nagle obrócił się do mnie i powiedział stanowczo i karcąco:

– Przecież to nie Hugo!

W takiej chwili przebiega przez głowę tysiąc rzeczy. Najpierw pomyślałem, że to złodziej lub morderca. Jurek stał bliżej niego, na szczęście, bo Jurek nigdy nie bał się nikogo ani niczego, podobnie jak mój tata. Widziałem już, jak powalał na ziemię dużo większych facetów, którzy go skrzywdzili lub skrzywdzili sprawę, za którą on walczył. Miażdżył ich

pięściami. Dlatego dobrze się złożyło, że był bliżej. Ja się bałem. Szedł w stronę tego faceta, olbrzymiego i naprawdę podobnego do Hugona. Facet czekał. Zorientowałem się, że trzyma dłonie pod wodą. Obleciał mnie jeszcze większy strach i szepnąłem:

– Może mieć w ręce siekierę!

Jurka to nie powstrzymało. Długo stali w rzece naprzeciwko siebie, Jurek nie ustąpił, najwyraźniej żaden z nich nie chciał wyjść na tchórza. A potem tamten facet cofnął się dwa kroki, znów tak dziwnie się zaśmiał i popłynął na drugą stronę rzeki. Zniknął tam, chyba w przybrzeżnych krzakach.

Jurek burknął znudzony:

– I po sprawie.

Poszliśmy obudzić wędkarzy. Tam, gdzie wcześniej stały japońskie wędki, ziało pustką.

Kolejny dzień był smutny, tak jakby ktoś zbezcześcił nam łowienie ryb. Nie wędkowaliśmy, nie gotowaliśmy, jedliśmy resztki. O poranku pani Freund zastała wszystkie wędki oparte o drzewo w pobliżu namiotów. Zawołała nas, a my się im przyglądaliśmy, jakby stał się cud boży, a te wędki spadły tam z nieba. Patrzyłem na nie i wydawały mi się czystsze, jakby ten mężczyzna obmył je zrozumieniem swego błędu lub czymś, przez co musiał przejść tej jednej doby. A gdy przyjrzałem się im z bliska, ujrzałem na nich rosę podobną do ludzkich łez.

To nie jest bajka o szlachetnym złodzieju i moim bohaterskim bracie. To szczera prawda. Możecie spytać pana Půhonego, jeśli akurat nie pływa pod Osaką i Tokio. A tę jedną japońską wędkę możecie zobaczyć u mnie, pan Půhony dał mi ją na pamiątkę. Czasem nią łowię, ale częściej tylko patrzę, puszczam na gramofonie piosenkę I love Paris Amerykanina Franka Sinatry i rozmyślam o naturze człowieka. A w nocy mi się śni, że znów na

niebieskiej rzece łowię srebrne ryby japońską wędką i że towarzyszy mi ten „złodziej". Chciałbym go poznać, lecz to marzenie już nigdy mi się nie spełni. Spytałbym, dlaczego tak właściwie odniósł wtedy te wędki. I chętnie pożyczyłbym mu własną albo nawet podarował, żeby też mógł się porządnie nacieszyć łowieniem. A nie tylko tej jednej nocy…

Potem długo nie jeździłem tak z braćmi na ryby. Horoskop się sprawdził. Zmysły postradałem ja i spędziłem pięć lat w zakładzie dla chorych psychicznie.

Ryb tam nie ma.

Są tylko królowie, cesarze, Napoleonowie, Chrystusowie, Afrodyty, księżne Libusze i Dziewice Orleańskie.

Jak zginęliśmy na rybach

Wiele lat później wybraliśmy się na męski wyjazd do południowych Czech, a tam, jak wiadomo, jest wielkie, piękne niebo i wilgotne powietrze. Nie byłem tam od dawna, podczas choroby mogłem tylko pomarzyć o Lużnicy i południowych Czechach. Śniły mi się wtedy jako równie odległe i niedostępne jak na przykład Honolulu. Tyle że do Honolulu nigdy nie ciągnęło mnie tak jak do południowych Czech, w których zawsze przeżywałem cudowne chwile i czułem się tak, jakbym wypoczywał nad czeskim morzem, nad którym mam niebo na wyciągnięcie ręki.

Wszyscy trzej zgodnie twierdziliśmy, że każdy z nas musi podczas tego wyjazdu złowić swoją największą rybę w życiu.

Poza tym pragnąłem jeszcze raz w życiu zobaczyć Lużnicę pod Taborem, gdzie rzeka opływa meandrem zamek Przybienice. Wystarczy zmrużyć oczy, żeby ujrzeć biegających tam najodważniejszych Czechów, husytów, którzy niejednemu przyłożyli w mordę lub niżej. W głowie kołatało mi się też wspomnienie pewnego młyna, przy którym również czułem się kiedyś wspaniale i złapałem mnóstwo ryb. Nazywał się Młynomel lub jakoś tak. Na łące stała chatka pana Kotalika, który w Pradze kierował tramwajami. Kiedy przepływaliśmy tamtędy z Długim Jankiem, zauważyliśmy białą kozę pana Kotalika i po kryjomu ją wydoiliśmy.

I właśnie te piękne wspomnienia chciałem w sobie ożywić, kiedy jechałem tam autem kombi z moimi braćmi.

Podjechaliśmy do pana Zemana, który dobrze znał okolicę. Wyciągnęliśmy go z jednego z budynków gospodarczych i ruszyliśmy do jakiegoś młyna. Okazało się, że to ten młyn, o którym myślałem czasem, umierając, ale oczywiście nie nazywał się Młynomel, takiej idiotycznej nazwy nikt by nie wymyślił, tylko Suchomel. To znaczy, że miele, nawet gdy nie płynie woda. Bracia krzyczeli, żebym się pośpieszył, bo już prawie jesteśmy u celu, ale ja nie mogłem oderwać nóg od ziemi, trzymał je tam jakiś dziwny klej, a mnie chciało się płakać, bo ujrzałem to swoje Honolulu, choć myślałem, że już nigdy go nie zobaczę.

Rano poszedłem na ryby w tym wędkarskim raju. Tym razem miałem pozwolenie. Tyle że na pozwolenie ryby nie biorą. Biorą na robale albo na kiełbiki. Zarzuciłem kiełbika, ale nic się na niego nie skusiło, mógłby bezpiecznie dopłynąć do Pragi, a może nawet do Morza Północnego. Siedziałem więc i obserwowałem drugi brzeg, chodził tam na ryby tramwajarz Kotalik w marynarce i szelkach. Z sieciową pułapką na ryby zarzuconą na ramię. I klął cicho jak powiew wietrzyku. Nigdy nic nie złowił, a swojej starej żonie mówił:

– Ryby znów nie biorą.

Nie złapał nawet śliza, ręce mu się trzęsły. A przecież kiedyś był dobrym wędkarzem. I koza mu zdechła, a pozostały tylko słoneczniki wokół chatki. Gdyby tak złowił złotą rybkę i mógł dzięki trzem życzeniom dostać nową łódź, nową chatkę i nową kozę! Ale takie rzeczy dzieją się tylko w bajkach, a złotej rybki nie złapali w Lużnicy nawet najlepsi rybacy.

Słońce świeciło, zamglone i niemrawe, tak jak świeci jesienią, a przy domku po drugiej stronie rzeki prała bieliznę młoda, piękna kobieta w białym staniku. Wyciągnąłem się na rozgrzanym kamieniu, podniecało

mnie to, wyobrażałem sobie, że przebrodzę rzekę, podejdę do tej kobiety mokry, zedrę z niej ten stanik i powiem, że to głupota, żeby prała akurat teraz, kiedy ja przyjechałem na Suchomel. Ale nie zrobiłem tego. Nie mam na to odwagi ani postury. Mogłaby mi dać po pysku. A poza tym zrobiło się chłodno. Nic nie brało. Praczka zniknęła. Kotalik znów szedł powiedzieć żonie, że ryby nie biorą. Drzemię tak, a potem spoglądam w okna młyna, okna są ciemne, a każde okno to oko. Ogarnia mnie strach i rozumiem dlaczego.

Młyn:

Gdzie są ryby, które tu były?

Kto zniszczył piękny jaz?

Kto pozwolił zbudować tu tyle domów?

Milczę, część tych ryb mam na sumieniu. Patrzę w okna i jakbym słyszał:

Idź do diabła!

W każdym z tych okien mógłby siedzieć diabeł, z każdego okna mógłby wystawiać do mnie swój ognisty język. Biegnę do auta, które wciąż na mnie czeka, i jedziemy dalej szukać innego młyna, jeszcze działającego. Znajdujemy go dopiero nad rzeką Nežarką. Młynarz udostępnia nam jedną izbę bez pieca i łóżek, w której będziemy przez tydzień nieopisanie szczęśliwi.

Rzucamy się na rzekę, na pewno będzie tu morze ryb.

Rzeka płynie niemal przez podwórze, mleka od kóz i krów jest tu pod dostatkiem, serwowanego prosto z wymion. Woda jest głęboka, tajemnicza, z dna unoszą się bąbelki, a zwycięzca wszystkich naszych zawodów wędkarskich, czyli Hugo, twierdzi jak zawsze, że pływają tam karpie jak prosiaki. Siedzimy na grobli, liście opadają, omijając żyłki tnące wodę. Moi bracia co jakiś czas łapią leszcze, wyciągają je z wody na światło dnia. Są

srebrne i jakby roztopione. Kiedy wyciąga się z wody leszcza, obywa się to zazwyczaj bez wielkiej walki, ale wygląda pięknie, bo jest on elegancki jak z żurnala. Jak dama idąca na bal. Nie broni się, nie chce robić hałasu i zakłócać ciszy.

Następnego dnia nie bawi mnie już siedzenie na podwórzu młyna z braćmi i kurami, więc idę na Kuźnicę na szczupaki. Podobno jest tam duży jaz, pod jazem głęboka woda, a w tej wodzie – szczupaki. Tyle że trzeba przejść kawał drogi. Jurek prosi, żebym kupił mu tam papierosy.

Ruszam w górę rzeki, w rzece widać srebro i złote liście. Idę sam i nagle sobie uświadamiam, że auta tu nie trąbią, żebym zszedł z drogi, a tramwaje nie dzwonią, żebym się cofnął. I to jest tak właściwie główny powód, dla którego idę na szczupaki. Nie widzę braci wyciągających leszcze, nie widzę nikogo, ujrzę tylko bażanty, pod lasem sarenki, a w powietrzu latającego po cichu ptaka. Oceniam rzekę: gdzie mógłby leżeć kleń, a gdzie czyhać szczupak. Ale ani razu nie zarzucam wędki. Idę tak całymi godzinami. Gdy docieram do Kuźnicy, zataczam się z wyczerpania. Gospoda jest zamknięta, więc papierosów nie będzie, braciszku, a ja nie ugaszę pragnienia. A zatem idę dalej, w stronę tej głębokiej toni. Dzielą mnie od niej jeszcze dobre dwa kilometry, a gdy wreszcie docieram do celu, wydaje mi się, że umieram. Siadam przy wodzie, wyczerpany tak bardzo, że nie mam siły rozłożyć wędki, więc chwilę odpoczywam, a potem ruszam w drogę powrotną, która zawsze jest, jak wiadomo, dużo dłuższa.

Przy szosie stoi piękna kapliczka z Maryją Panną z porcelany, a pod nią płynie źródełko. Pewien chłop powiedział mi, że jest w nim najlepsza woda w okolicy. Kto jest wielkim kłamcą, temu ręka odpadnie, gdy tylko po tę wodę sięgnie. Zdarza mi się kłamać, a nie chciałbym zostać bez ręki. Na wszelki wypadek nabieram więc wodę lewą – jest mi mniej potrzebna. Dłoń

mi drży. Nic się nie stało, najwyraźniej nie kłamię aż tak dużo. Wlewam w siebie szklankę za szklanką, woda ścieka mi po swetrze i koszuli. Jest wyśmienita, obłędna, najlepsza w okolicy. Wypijam dokładnie dziesięć szklanek, dziękuję chociaż spojrzeniem porcelanowej Panience, że mi tę rękę zostawiła, i wyruszam w drogę powrotną. Podśpiewuję sobie wodniackie i rybackie piosnki, a pod wieczór docieram do młyna. Bracia wciąż siedzą jak wariaci na brzegu, mają pełne siatki leszczy i pytają pewni siebie:

– Co złapałeś?

– Nic. Szczupaki nie brały.

A zatem znów kłamię, nie przyznaję się, że wcale nie łowiłem. Wieczorem myślę o tym, jak szczególny i piękny był ten dzień.

Już zbieramy się do domu. Jestem na grzybach w lasku nad młynem, zbieram żółte listki, gdy nagle słyszę krzyk. Pędzę do młyna, lecz przybiegam za późno. Na młyńskim brzegu leży karp wielki jak małe prosię. Bąbelki nie kłamały. Złowił go Jurek. Zawsze, gdy wyciąga dużą rybę, wzywa pomocy. Tym razem pomógł mu młynarz z synem Emanem, wypłynęli na rzekę łódką. Przemokli do suchej nitki, prawie się utopili, zostawili otwartą izbę, wbiegły do niej kozy, zżarły śrutę dla świń, żona młynarza się wścieka, a Jurek biega po młynie, żeby zważyć karpia. Nie znajduje jednak wagi i częstuje wszystkich śliwowicą. Bardzo mocno pobudzony seksualnie wioskowy kozioł uciekł z szopy. Szczęśliwy Jurek nas obcałowuje, my uśmiechamy się cierpko, ale nie podzielamy jego radości, bo gdzieś w głębi duszy mu zazdrościmy, że złowił takiego karpia. Wkłada go żywego do sadza, ale żeby się tam zmieścił, musi wypuścić leszcze.

Jest jasne, że chce go dowieźć do Pragi żywego.

Wszystko ma obmyślone. Przywiezie karpia do Pragi i rozpisze dla niego godziny wizyt jak u lekarza, żeby wszyscy przyjaciele, a przede wszystkim nieprzyjaciele, mogli przyjść i go sobie obejrzeć. Najpierw wędkarze, potem niewędkarze, będzie zabawy przynajmniej na trzy dni. Jurek weźmie z tej okazji urlop, tylko Hugo musi najpierw sprawić, żeby karp dojechał do Pragi żywy. To ponad sto kilometrów. Jurek obiecuje Hugonowi sto koron, jeśli karp nie zdechnie.

Nazajutrz rano wszystko jest przygotowane.

Młynarz, jego żona i Eman stoją w szpalerze. Żona zapomniała już o śrucie zżartej przez łakome kozy. Podczas fotografowania karp musi się znajdować jak najbliżej obiektywu, żeby wyglądał na większego, niż jest w rzeczywistości, co jednak wcale się nie udało, a Jurek miał o to do nas potem pretensje.

Już wszystko spakowane, jako ostatni wsiada karp. Ze względu na tę obiecaną stówę Hugo wykonuje z nim specjalny zabieg: wciska mu do pyszczka cukier nasączony śliwowicą. Karp mlaska – to oryginalna śliwowica z Wizowic. Ponoć dzięki tej sztuczce karp przetrwa dłużej bez wody. Gdy akurat nie patrzymy, Hugo bierze go w ramiona jak niemowlę i wlewa weń rum prosto z butelki. I uspokaja go przed drogą słowami:

– Już dobrze, kruszynko.

Potem owija karpia mokrą szmatą i powijakiem, który pożyczyła nam gospodyni z sąsiedztwa. Mnie się wydaje, że ryba jest już pijana w sztok i że najchętniej zatańczyłaby teraz na młyńskim podwórzu na ogonie, śpiewając:

– To ja, ten karp z rzeki Nežarki.

Lecz na razie nic takiego się nie dzieje. Leży obok mnie na tylnym siedzeniu. Powierzono mi pilnowanie go i polewanie co jakiś czas wodą z rzeki. Wszystko zostało przemyślane w najdrobniejszych szczegółach.

Według rozkładu jazdy pociągów obliczono czas trasy tak, żebyśmy nigdzie nie natrafili na zamknięty szlaban. Jeść i pić będziemy podczas jazdy. Sikać też będziemy podczas jazdy do puszki po ogórkach. Jurek jako kierowca musi wytrzymać bez sikania aż do Pragi.

Startujemy.

Dosłownie. Właściwie to nie jest jazda, tylko wyścig Grand Prix. Jurek się nie odzywa, wbija wzrok w jezdnię przed nami, włożył białe skórzane rękawice kierowców wyścigowych. Obok niego siedzi Hugo, na jednej z najwytrzymalszych wędek ma przywiązaną białą chustkę i co jakiś czas macha nią za oknem. Ja skrapiam karpia wodą, choć mam wrażenie, że wolałby alkohol. Jurek trąbi, na razie kieruje świetnie, wyprzedzamy jedno auto za drugim.

Mijamy nawet samochody zagranicznych marek.

Kiedy otarliśmy się o ciężarówkę i wjechaliśmy w słup telegraficzny, rozerwało nas na strzępy. Zginęliśmy w kilkanaście sekund.

Gdy podjechał niebieski radiowóz, załoga ujrzała tylko kłębowisko karoserii, drutów i wędek. Nad tym wszystkim powiewała biała flaga pokonanych.

Potem przyjechali ci z autogenami na gaz z butli i wyciągnęli nas z naszego kombi. Oczywiście już na próżno. Po półgodzinnej harówce sierżant pochylił się nad siedzeniem i krzyknął radośnie:

– Chodźcie tu. Wasz trud nie poszedł na marne. Tu ktoś oddycha.

Uniósł szmatę i ujrzał tam kruszynkę. Wziął rybę w ramiona i prawie zemdlał.

Powiedział:

– Przecież ten karp jest urżnięty. Skoro tyle wypiła ryba, to w jakim stanie musieli być pozostali?

A potem spytał mężczyzn z autogenami:

– Chce go ktoś?

Nikt nie chciał pijanego karpia. Przypominałby im tę katastrofę, która wydarzyła się w pobliżu Lużnicy, do której wpada Nežarka. Porucznik zaniósł go więc nad rzekę i wpuścił do wody. Karp przez chwilę się ociągał, a potem odpłynął. Jeszcze zataczał się pod wpływem wypitego alkoholu, a potem ruszył pod prąd do tego pięknego młyna Kruki, gdzie znajdował się jego dom. A ponieważ była przed nim długa droga, podśpiewywał sobie:

– To ja, ten karp z rzeki Nežarki.

Gdy dopłynął, opowiedział pozostałym karpiom, że był w świetnej jeżdżącej knajpie, w której za darmo serwowali śliwowicę i rum.

Jak nie zginęliśmy na rybach

Tyle że nie skończyło się to tak, jak zostało opisane w poprzednim rozdziale. Bo byłbym całkowicie martwy i nie dokończyłbym pracy nad tą książką. Wszystko potoczyło się inaczej. Ten słup telegraficzny minęliśmy o centymetry. Jechaliśmy do Pragi, machaliśmy białą chorągiewką i co jakiś czas sikaliśmy do puszki po ogórkach. Z przedmieść stolicy Jurek zadzwonił do swojej żony, żeby porządnie wyszorowała wannę i napuściła wody aż po brzeg, bo wieziemy karpia wielkiego jak cielak.

Przed ich dom podjechaliśmy w ostatniej chwili, karp już dogorywał, a Hugo, obawiający się o obiecaną stówę, robił mu coś w stylu sztucznego oddychania. Rozwierał i zamykał mu skrzela i wdmuchiwał powietrze z ust do ust. Potem wpuścili karpia do czyściutkiej wanny. Karp obrócił się do góry brzuchem, nikt nie wiedział, czy umiera, czy może jest pijany. Dana i Jurek trzymali go na zmianę w odpowiedniej pozycji. Kiedy wreszcie sam złapał pion i przepłynął kawałeczek, bo wanna była dla niego za krótka, Jurek wyciągnął stówę i podał ją Hugonowi.

Nad wanną Jurek przywiesił tabliczkę z napisem:

ZOSTAŁ ZŁOWIONY WĘDKĄ Z KOŁOWROTKIEM
PODCZAS ŁOWIENIA LESZCZY

NA ŻYŁKĘ PIĘTNASTKĘ.
I NA HACZYK KRYSZTAŁEK.

Tylko prawdziwy wędkarz wie, że taki karp ma dużą wartość. Jurek natychmiast zaczął telefonować do Antka, Jarka, Piotra. Dzwonił do wszystkich niezawodnych przyjaciół i do przyjaciół, o których wiedział, że właściwie są nieprzyjaciółmi. Zawołał sąsiada z kamienicy, Jarka Mirka.

– Złapałem karpika, chodź zobaczyć.

Wszyscy głośno podziwiali i wszyscy potajemnie mu zazdrościli. Ale jeszcze nie widzieli go wszyscy. Nie widziała go jeszcze dzielnica Praga-Szarka, nie widzieli go jeszcze ludzie z pracy. Jurek otwierał okno, wietrzył i zmieniał wodę. Przypomniał sobie, że karp powinien też jeść, i pamiętał, że na Winohradach widział kiedyś ogłoszenie:

PRZYJMIEMY POŁAWIACZA ROZWIELITEK PCHŁOWATYCH!

Pomknął więc na Winohrady, ale rozwielitek tam nie mieli, bo żaden łowca dotychczas się nie zgłosił. Zamówił wywołanie zdjęcia z młyna, ale okazało się, że na fotografiach karp wygląda na mniejszego niż w rzeczywistości. Mnie za to opieprzył, a do Hugona napisał list, w którym wyrzucał mu, że Hugo celowo tak to pstryknął, bo sam nigdy nie złowił takiego okazu.

Jednego dużego karpia złapał kiedyś nasz tata w Braniku, ale tamta historia miała całkowicie odmienne tło. Tata łowił w Pradze i nic nie złowił, więc dał mamie pieniądze na olbrzymiego żywego karpia, żeby kupiła go u Vaňhy. Kiedy nikt nie patrzył, tata powiesił rybę na wędce i w ten sposób pokazał tym wełtawskim głupolom, jakie ryby pływają w Pradze. Nazajutrz wędkarze obstawili całe wybrzeże.

Karp Jurka doszedł do siebie. Zaprzyjaźniła się z nim Nike, suczka Jurka, która wyglądała jak owieczka. Stawała na tylnych łapach i obserwowała majestatyczne ruchy ryby. Ale potem stan karpia zaczął się szybko pogarszać. Chyba Jurek za często zmieniał mu wodę, a on nie był przyzwyczajony do czystej pitnej. Może powinien był mu dolewać trochę rumu?

Któregoś razu Jurek wszedł do łazienki i zobaczył, że karp nie żyje. Skrzela mu zamarły, pyszczek znieruchomiał. Ale najciekawsze było to, że wciąż stał jak żywy. Stał tak jeszcze dwie godziny, opierając się płetwami o dno, by jeszcze sprawić Jurkowi przyjemność. Zaprzyjaźnili się. Jurek wziął nóż i zarżnął rybę, już martwą, żeby mogli ją zjeść i żeby Dana znów traktowała go troszkę lepiej. Zrobili z niego kotlety. Jurek nikomu nie powiedział, że są ze śniętego karpia. Wszystkim je rozesłał, pominął tylko Hugona. Wciąż był na niego wściekły za to, że na zdjęciach karp wyszedł taki mały. Tak naprawdę był bardzo duży, a z czasem w oczach Jurka jeszcze urósł. Dziś jest już tak wielki, że nie objąłby go obiektyw żadnego aparatu fotograficznego na świecie i nie zmieściłby się do żadnej wanny. Trzeba by wybudować dla niego specjalny basen i fotografować obiektywem szerokokątnym.

Kiedy przeczyta to mój braciszek Jurek, powie, że przemawia przeze mnie wielka zawiść. Nie złowiłem jeszcze ryby swojego życia. Ale Hugo będzie stał wtedy przy mnie. Jemu wszystkie dotychczasowe duże karpie niszczyły sprzęt w drobny mak.

Buty Made in Italy

Bardzo lubiłem Emila i od dawna obiecywałem mu, że zabiorę go na węgorze. A zabranie kogoś na węgorze jest równoznaczne z łańcuchem tajemniczych zdarzeń. Nocne łowienie, nieznane drapieżniki, o których wiemy tak mało, wyśmienite mięso dla Emilka i jego żony. Długo go na to przygotowywałem, tak jakbyśmy się wybierali rakietą na Księżyc.

– Emilu, w czwartek jedziemy – powiedziałem cicho i dyskretnie, żeby nie przyczepili się do nas jeszcze jacyś znajomi. Chciałem być tam z Emilem sam.

Wyruszyliśmy fiatem wprost na spotkanie naszych chłopięcych lat. Emil jechał powoli jak większość lekarzy, którzy nie chcą jeszcze jednym wypadkiem spowodować kolejnych zgonów. Fiat mruczał jak kot. Emil palił papierosy Lucky Strike, a ja kładłem mu do głowy:

– Pal. Pal do woli. Przez całą noc nie zapalisz, bo tam nie możemy zapalić nawet zapałki, żeby nikt nas nie zobaczył. Powtórz.

– Przez całą noc nie będę palić. – I dodał: – Ani jednego lucky strike'a!

To mi wystarczyło. Węgorzami zajmę się ja. Emil jeszcze nigdy nie jadł porządnego węgorza, prosto z rzeki.

Emil był nieco po czterdziestce. Z natury nie był strojnisiem, ale o jego schludny wygląd z nutą elegancji dbała żona. Tu nowa marynarka

w delikatną kratę, tam gruby wełniany sweter odpowiedni dla mężczyzny w każdym wieku. A najpiękniejsze z tego, co miał dziś na sobie, były nowe półbuty Made in Italy w kolorze dojrzałej pomarańczy i ze sprzączkami, jakie nosił już Juliusz Cezar.

Mój znajomy przewoźnik rzeczny się uśmiechał, wiedział, że chodzi o węgorze. Pamiętał mnie jeszcze z czasów mojego dzieciństwa. Dałem mu paczkę papierosów, a on stał się niemy i nie wyznałby nikomu, że przewoził kogoś do raju węgorzy.

Jakże cudowny był ten odcinek rzeki! W tle majaczyły kontury skały Szymów, gdzie kiedyś złowiłem w godzinę jedenaście węgorzy. Ale co ja ci tu będę opowiadać, Emilu. Sam zobaczysz.

Zapadał już zmrok, nad rzeką wschodził połowiczny księżyc, taki w sam raz. Rozpakowaliśmy wędki, mieliśmy dużą szansę na złowienie czegoś dużego. Rozpoczął się czas bez lucky strike'ów.

Nadziewałem rybki przeznaczone dla dużych węgorzy na przemian z dżdżownicami, na które łaszczą się mniejsze. Noc pogrążyła się w półśnie. Miałem mnóstwo cudownych przynęt. Lecz wędki stały jak zaczarowane. Wędkarze dobrze to znają. Całkowity bezruch, nic nawet nie drgnie.

Przed północą Emil zaczął żebrać o papierosa.

Do cholery, przecież jest takim świetnym lekarzem! Dlaczego miałby sobie nie zapalić?

No więc mu pozwoliłem.

Z upływającym czasem trochę otępiałem. Nic nie brało. Emil na pewno wyobrażał sobie łowienie ryb zupełnie inaczej. Nazbierał drewna i rozpalił ogień. Wcześniej baliśmy się nawet papierosa, a teraz nad rzeką płonęła watra! To była brawura. Ale Emil tego nie rozumiał, a mnie było to już

obojętne. Emil położył się tuż przy ogniu, ogrzewał sobie nogi, a potem zasnął.

Nie złapałem żadnego węgorza. Bóg wie, gdzie się podziały. Ogarnęła mnie wściekłość, chyba zdarzyło mi się to na rybach po raz pierwszy. Wściekłość na to, że nic nie złowiłem. Na to, że wyciągnąłem tu Emila ze szpitala, w którym był potrzebny, bo wciąż mieli tam mało lekarzy. A jeszcze mniej tak świetnych jak on. I zacząłem marudzić:

– Mieliśmy strasznego pecha, nie przypłynęły. Do diabła! Co za bestie! Odpłaciły mi się za ten dzień, kiedy złapałem ich tu jedenaście! Akurat dziś, żmije wodne! Żmije!

Wracaliśmy wzdłuż rzeki do fiata. Emil dał przewoźnikowi swoje ostatnie pudełko lucky strike'ów, a potem nie miał co palić. Na drugim brzegu spojrzał na mnie i powiedział:

– Nie histeryzuj tak, nie bądź wariat. Kiedy byłem mały, paśliśmy gęsi nad Malszą. Prawie czterdzieści lat temu. Też łowiliśmy tam węgorze i też nic nie złowiliśmy. I dziś przeżyłem to ponownie. Było cudownie.

Tak powiedział Emil, który zjeździł cały świat, Amerykę i Borneo, Honduras i Wenezuelę. Ujrzał noc z czeskim niebem i gwiazdami i znów stał się chłopcem siedzącym przy trzaskającym ogniu. Pozbył się swoich ostatnich papierosów Lucky Strike, więc w drodze powrotnej nie palił, tylko kierował, ostrożnie i powoli. Obserwowałem, jak rozważnie jedzie i ze spokojem pozwala się wyprzedzać piratom drogowym. Spojrzałem na jego nogi i nagle posmutniałem. Z przypalonych czubków wspaniałych butów wystawały skarpetki. Emil wiedział od dawna, że buty od żonki mu się spaliły. Ale w jednym bardzo się różniliśmy. Ja potrafiłem przyjmować zwycięstwa, a on umiał przyjmować porażki. I to właśnie dzięki temu zrozumiał, że tej nocy węgorze z nami wygrały, tak jak wygrywa się

w sporcie. Potem zatrzymał się przy przydrożnym barze i spytał długonogą kelnerkę:

– Macie papierosy Lucky Strike?

Spojrzała na czubki jego butów, z których wystawały skarpety, i odwarknęła:

– Mamy mariki!

Dał jej duży napiwek i podziękował:

– Cudownie!

I zapalił marikę. W aucie się uśmiechał. Znów był przy ognisku jak chłopak, a nad nim – niebo. Na próżno próbował zliczyć gwiazdy. Wrócił do czasów, w których jeszcze nie dźwigał na swoich barkach odpowiedzialności za życie ludzkie i w których matki nie błagały go przez łzy, by uratował ich jedyny skarb: dziecko.

Wyprzedzały nas auta, a niektórzy niedzielni kierowcy trąbili i klęli:

– Jedź, idioto!

A on kierował dalej równie spokojnie, z wyczuciem wciskał pedały, bardziej płynęliśmy, niż jechaliśmy. Podczas wojny był kierowcą transportera i dżipa. W bitwach czołgowych przedarł się z kolegami przez Ardeny, nacierał na najstraszliwsze faszystowskie tygrysy. Widział już tyle trupów, że nie zmieściłyby się one na tej białej pokojowej szosie. Wiedział, że ci, którzy go wyprzedzają, mają go za tchórza, patrzą na niego z pogardą, a przy tym sami nie potrafią kierować zbyt dobrze. A zresztą: on naprawdę się bał. Bał się, żeby kawałek dalej nie zobaczyć ich na drzewie lub słupie z rozbitymi głowami i pokiereszowanymi kończynami. Pragnął choć dziś trzymać się z dala od białych bandaży, krwi, płaczu i bezsensownej śmierci.

Chciał zachować w pamięci tylko tę dzisiejszą węgorzową noc oraz ognisko pachnące białymi akacjami i chłopięcymi latami.

Złote węgorze

Pewnego razu przywiozłem wiązkę wędzonych węgorzyków. Były cienkie jak wczesne szparagi lub gałązki wierzby, a ponieważ były młode, były złote. Wziąłem wstążkę i obwiązałem nią każdego z osobna. Tym, których lubiłem, dawałem złotego węgorza. Dla kogo nie wystarczyło, ten nie dostał nic.

W domu zawsze mówiliśmy na wędzone węgorze „złote", choć nigdy takie nie były. Duże okazy, które przechodziły przez piec, przybierały barwę ciemnych nocy i głębokiego morskiego dna.

– Złowimy kiedyś złote węgorze?

Mówiąc to, tata tak naprawdę pytał, czy kiedyś złowimy tyle węgorzy naraz, że opłaci się nam iść do rzeźnika Franka Janoucha i powiedzieć mu, żeby rozpalił drewnem z akacji i śliwy, kwitnącym bielą, i dorzucił kilka kuleczek jałowca. Zezowaty Franek obiecał nam, że zostawi to drewno na podwórzu tylko dla nas. On i tata się starzeli, a kiedy spotykałem się z Frankiem, śmiał się ze mnie i pytał, gdzie są te moje węgorze ze złota.

Staraliśmy się złowić je uczciwie, tylko na wędki. Zasiadywaliśmy na przełomie dnia i nocy, kiedy to węgorze żerują najchętniej, i do bólu oczu wpatrywaliśmy się w piękne supełki przywiązane do żyłki przy kołowrotkach. Czekaliśmy, aż zaczną drżeć jak membrana i wzniosą się na

maszt wędki. Zazwyczaj czekaliśmy na próżno, rzadko kiedy chorągiewka niczym biały psiak wbiegała na szczyt. A nawet jeśli już, to trafiał się samotny wędrowiec. Czasem trafiały się dwa jednego wieczora, trzy to już był ewenement, który zdarzał się raz w roku, tak jak nasza uczta marcepanowa.

Spałem na poddaszu chatki, a okno zakrywała koronka świecidełek z wozów cyrkowych. Z zewnątrz wpadało światło księżyca i tworzyło na załamaniach sufitu strzałki przypominające lot białych ptaków.

Zszedłem na dół w piżamie, tata leżał na plecach i też nie spał. Ukląkłem przy jego łóżku i znów spytałem:

– Czy te złote węgorze naprawdę istnieją?

– Istnieją. Wprawdzie ja nigdy ich nie widziałem, ale tobie może się to udać. Podnoszą się z dna i płyną. Połkną wszystko, co im zaserwujesz.

Zasnąłem uspokojony.

Potem przepracowałem chyba tysiąc dni i przespałem chyba tysiąc nocy.

Nadeszły okrągłe urodziny taty, a ja nie miałem czym go obdarować, ponieważ zdobył już w życiu wszystko i o niczym więcej nie marzył. Nie chciał już nawet nowych kołowrotków, bo te stare wciąż się kręciły i działały cicho jak wrzeciona. Nowej wędki też nie chciał. Pomyślałem więc, że mógłbym spełnić jego sen. Pokusić się jeszcze raz o te złote węgorze. Pojechać do krainy dzieciństwa, w której wciąż żyje przewoźnik wujek Proszek. On mi doradzi, jak się do tego zabrać.

Pojechałem tam pociągiem.

Przez cztery dni i cztery wieczory chodziłem jak dureń z Branowa nad Berounkę, aż w końcu postanowiłem się poddać niczym Napoleon w przegranej bitwie pod Waterloo. Rzeka była wręcz niemożliwie martwa. Nadawała się raczej do kąpieli niż do łowienia, ciepła jak kawa, a niebo nad

nią było gładkie i wyblakłe niczym mydło z Rakownika. Ryb ani widu, ani słychu, tylko narybek przy brzegu bawił się w ganianego i pluskanego.

Pojadę do domu dzień wcześniej. Skończę wreszcie z tą obsesją na punkcie nieistniejących złotych węgorzy.

Rano wstałem jak zbity pies. Szacunek! Dostałem od ryb porządne lanie. Cztery dni nad wodą i ani rybeczki. Na branowskim podwórzu wkładałem wędki do zielonego futerału. Z kuchni wyszedł Proszek, coś sobie pogwizdywał.

Spytał:

– Co tam, młody?

– Odpuszczam, wujku. Nic z tego nie będzie. Opuściło mnie już szczęście na tej rzece.

Nie odpowiedział. Poszedł na podwórko, żeby ocenić sytuację. Podciągnął spodnie i spojrzał na niebo nad lasami Kourzymca, a potem na niebo nad rzeką. Tak jakby czytał tam coś bardzo ciekawego lub słyszał znajomy głos. Potem zakaszlał, miał astmę, raczej się dusił. Wypluł flegmę na kamieniste podwórko i powiedział stanowczo:

– Dziś jeszcze idź spróbować. A potem jedź w diabły.

Odszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Chyba rozczarowało go to, że czegoś nie zrozumiałem. Stanąłem pośrodku podwórza tak jak on, nawet też podciągnąłem spodnie, zakaszlałem i wpatrywałem się w niebo. Ale niczego tam nie dojrzałem. Tylko niebo wydało mi się jakieś takie nabrzmiałe.

Wyjąłem wędki z futerału i ruszyłem posłusznie nad rzekę. Słońce wgniatało mnie w drogę, przed oczami pojawiały mi się smugi i miałem wrażenie, że w powietrzu wiruje śnieg.

Nad wodą znów próbowałem na wszystkie sposoby zdobyć przychylność ryb, lecz na próżno.

W końcu położyłem się w trawie nad jazem przy skale Szymów, już zrudziałej i rozkruszonej dynamitem. Za plecami ujrzałem pod skałą kałużę.

Wędką z kołowrotkiem łowiłem na rosówkę, a drugą, bez kołowrotka, na rosówkę i jakąś małą rybkę. Przynęty się kąpały, a dla mnie było jasne, że dziś znów nic nie złowię. Nie pojmowałem, jak Proszek mógł się tak pomylić i wysłać mnie nad rzekę.

Na drugim brzegu nezabudicki młyn wygrywał swoim leciwym kołem starą pieśń, a mnie się wydawało, że jest ona o czasach, które już bezpowrotnie minęły. Kiedyś łapano tam węgorze tak, że ustawiano drewniane koryto, węgorze do niego wpływały, po czym wpadały do skrzyni, z której za nic nie potrafiły się wydostać. Przed wojną młynarz Czech złapał w ten sposób niemal sześciokilowy okaz. Potem przełożył go do koryta do parzenia świń, a ludzie ze wsi schodzili się go oglądać jak anakondę w cyrku. Złowiono tu wiele węgorzy, ale te czasy to przeszłość. Powinien pan o tym wiedzieć, panie Proszek, skoro jest pan niekoronowanym królem rybaków. Tak oto sobie medytowałem, ponieważ nic innego mi nie pozostało. Aż nagle poczułem się tak, jakby świat zaczął się szybciej kręcić. Uniosłem wzrok ku niebu – wyglądało, jakby miało zaraz pęknąć i się rozstąpić. Pociemniało, a zrudziała skała nachyliła się nade mną.

Na starym nezabudickim kościele Świętego Wawrzyńca zegar wybijał południe.

Bim! Bam!

Godzina dwunasta.

Bim! Bam!

Przedstawienie czas zacząć.

Nieboskłon pękł i wysypała się z niego ciemność. Pomyślałem: nadchodzą wszyscy święci! Tajemniczy niebiańscy strzelcy strzelali w lasy

i rzeki błyskawicami. Ktoś stukał w pokrywkę. Z nieba lunęła woda. Na rzece pojawiły się fale, unosiły się na niej pęcherze duże jak pięść. Drzewa kołysały się wystraszone, że mogą się połamać i umrzeć.

Gdzieś tam zaskrzeczał ptak.

Nagle przemknęło mi przez myśl, by zerknąć na wędki. Supełki zbliżały się do fal, a przynęta gnała wprost we wzburzony nurt, jakby ktoś w wodzie zachłannie ją połykał. Branie! Ryba ucieka z przynętą! A druga wędka kołysała się niczym ramię pompy, którą dostaliśmy od dziadka Nowaka. Doskoczyłem do wędki, żeby ją przytrzymać i żeby nie pękła. Wyłoniła się tajemnicza głowa węgorza. Przeciągnąłem go po trawie do kałuży za moimi plecami. Odciąłem przynętę i zostawiłem go w wodzie, z której nie mógł uciec. Podbiegłem do drugiej wędki i zaciąłem. Też węgorz! Podholowałem go i wyciągnąłem wędką na brzeg. Dosłownie wskoczył do tej kałuży. Przywiązałem haczyk. Kolejny haczyk. Ręce trzęsły mi się z nerwów, woda zalewała mi twarz. Trzeci węgorz. Czwarty jest już złoty. Na te chwile czekałem od lat.

– To złote węgorze!

Jeden zahaczył mi się gdzieś przy dnie. Józek Wilków, który przybiegł z Łęgu i wszystko widział, popędził po łódkę. Siedziałem i czekałem na główną wędkę. Teraz nie mogę już zmarnować ani chwili. Na dole z pewnością są ich całe zastępy. Poderwały się z dna jak stada antylop. Bezbłędnie odnajdowały każdą moją przynętę i łykały ją natychmiast jak kury. Może się bały, że nadchodzi koniec świata. A może nadchodził, ale jakaś moc go zatrzymała?

Siódmy, ósmy, dziewiąty, dziesiąty, jedenasty.

Nic nie trwa wiecznie. Ani piękno, ani radość, ani ból. Niebo scaliło się błękitnym jedwabiem i posłało na ziemię żółte słońce. Burza minęła, węgorze zniknęły.

Czy mnie się to nie przywidziało?

Czy to nie był sen?

Stałem nad kałużą, a w niej wiły się węgorze. Nie były ani duże, ani małe. Były w sam raz. Tak brzmiała prawda o złotych węgorzach. Włożyłem je do torby i pognałem przez macierzankowe wzgórze w stronę Branowa. Proszek stał na progu, podkręcał żołnierski wąsik i uśmiechał się przebiegle.

Jechałem do domu pociągiem przez Beroun i Karlsztejn i zastanawiałem się, jak Karol Proszek rozpoznał ten odpowiedni dzień. Na pewno chodziło o pogodę, najważniejszą przy łowieniu ryb. A przede wszystkim o ciśnienie atmosferyczne i inne zmienne. Drżenie powieki, astma i do tego ból nagniotka. Z wyprzedzeniem rozpoznał, co wisi w powietrzu, i nie potrzebował do tego radia ani prognozy pogody. Kiedy tak o tym myślałem, stwierdziłem, że te węgorze posłał mojemu tacie na urodziny wujek Proszek. Ja je tylko zacinałem i wyciągałem z wody.

Martwe węgorze zaniosłem do rzeźnika Franka i położyłem na ladzie. Oczy mu się rozjechały.

– A więc jednak je złowiłeś. Jedenaście, jak na murawie na Letnej. Wędzone to będzie poezja.

Janouch był wielkim fanem A.C. Sparty, ale od dawna jej nie widział na te swoje chore oczy, słyszał tylko ze stadionu lub w radiu, jak gromią rywali. Najbardziej kochał starą gwardię Żelaznej Sparty i te chwile, gdy blond pomocnik, złotowłosa primadonna Sparty, Káďa, szedł z piłką na nodze w przód i miękko podawał w czeską uliczkę Vaškowi Pilátowi. Janouch zawsze zamieniał się w słuch, jakby słyszał aplauz kilkudziesięciu tysięcy gardeł skandujących ku chwale tej Sparty, niepokonanej i żelaznej.

A zatem węgorze będą niczym wiersze najlepszych czeskich poetów. Znajdą się w nich morze, księżyc, rzeka, śmierć. I słońce, którego ryby

nienawidzą. Będzie w nich tłuszczyk przepychu z uczt podczas smolistych nocy, a także głód postu i niekończącej się wędrówki.

Tymczasem w sklepie żelaznym pana Rouska kupiłem tandetną pozłacaną tacę za dwanaście koron. I udałem się po wędzone węgorze.

Dziewiętnasty lipca.

Wszystko było przygotowane na urodziny taty. Żółte róże na stole, biały koronkowy obrus i czysty tata, którego mama wyszorowała całego szczotką ryżową. Rosół z wołowiny z kluseczkami i kurczak z ziemniaczkami. Morele w zalewie i świeże piwo od Hartmanów. Zanim zaczęto podawać do stołu, powiedziałem skromnie:

– Mam pewną przystawkę.

– Dawaj ją! – krzyknął rozemocjonowany tata. Chyba spodziewał się szynki lub marynowanych kiełbasek z cebulką.

Lecz ja przyniosłem z szopy na tacy swoją jedenastkę złotych węgorzy przewiązanych przez pana Franka Janoucha piękną niebiesko-czerwoną kokardą A.C. Sparty. W mojej duszy rozbrzmiewały fanfary, stukanie w pokrywkę, a serce wielokrotnie skandowało: cześć i chwała! Wiedziałem, że tata się ucieszy, bo te ryby złowiłem ja, jego syn, a to tak, jakby złowił je on. I nie myliłem się. Postawiłem przed nim złotą tacę i ozdobiłem ją trzema cytrynami z południa Hiszpanii, które wyjąłem z kieszeni. Prawdziwe wędzone węgorze należy bowiem skropić cytryną, bez niej nie miałyby smaku i nie byłyby niczym poezja. Przez okna świeciło na stół słońce, więc nie tylko taca, lecz także węgorze lśniły złotem. Nagle stały się złote jak złoto na koronie króla lub na skarbach Tutanchamona. Tata wpadł w zachwyt i krzyczał do mamy, która była w kuchni:

– Herminko, nasz chłopiec złowił złote węgorze!

I natychmiast się rozpłakał, wierny zasadzie, że płacz jest równie piękny jak śmiech. Ten jego płacz nigdy nie trwał długo. Tata rozciął

hiszpańską cytrynę i powąchał ją tak, jak wącha się różę. Skinął głową. Hiszpanie go zadowolili. Potem włożył do ust pierwszy kęs węgorza, rozgryzł go i wykrzywił się tak, jak później robił to Louis de Funès w Saint-Tropez tuż po zwolnieniu go ze służby w policji. Po policzkach taty spłynęły prawdziwe łzy. Gwałtownie wypluł resztkę węgorza na koronkowy obrus i powiedział:

– Tego się nie da jeść. Franek to dureń. Doprawiał na oko, a poza tym znów myślał o tej swojej wielkiej Sparcie. Przesolił te węgorze.

To powiedziawszy, zabrał się do jedzenia rosołu z kluseczkami. Zaczął mlaskać, by podkreślić, jak bardzo się nim delektuje.

Poczłapałem z powrotem do szopy, nie wiedząc, czy mam tam powiesić węgorze, czy sam się powiesić. W końcu zdecydowałem, że węgorze. Wisiały tam długo i nikt nie zwracał na nie uwagi. Mięso w nich zniknęło, pozostały tylko głowy i skóry. Zawsze gdy otwierano szopę, kołysały się na wietrze jak wisielcy. Postanowiłem urządzić im pogrzeb jak ludziom. Pochowałem je pod brzozą przy źródełku, skąd rozciągał się widok na rzekę oraz na ich wodną drogę do Morza Sargassowego. I pomyślałem wówczas, że kiedy człowiek zabija rybę, nie robi nic złego. Ale jest straszne, jeśli się jej nie spożytkuje. Tak jakby martwe i niepotrzebnie zmarnowane były tylko te ryby, które zagrzebuje się w gnoju, wrzuca do śmietnika lub którym wykopuje się grób.

A to był grób moich złotych węgorzy. Taki zbyteczny grób, jakie czasem zdarzają się nie tylko w wypadku ryb czy ptaków, lecz także ludzi.

Z czasem zmarł Franek Janouch, rzeźnik i masarz c.k. monarchii, później Pierwszej Republiki Czechosłowackiej, a jeszcze później Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Janouch, któremu nigdy nie powiedzieliśmy, że przesolił te węgorze. Wręcz przeciwnie, twierdziłem, że

były niczym poezja Fráni Šrámka. Spytał, czy kojarzyły mi się z jakimś konkretnym wierszem, a ja odparłem, że ze Śluzą.

Odszedł też Proszek. Przewozili go w trumnie jego ukochaną łodzią, a pod tą łodzią płynęła warta honorowa srebrnych ryb. Płakałem na brzegu jak nigdy wcześniej, a płacz nie był wtedy piękny jak śmiech.

Tylko tata trzymał się jeszcze w ogrodzie świata, a na stare lata wyruszył na zachód.

Na zachód kawałeczek od Pragi, do Radotina, gdzie za kilka groszy ze sprzedaży domku letniskowego kupił sobie malutką chatkę, trzymającą się na słowo honoru, taką, żeby tylko słońce jej nie spaliło i nie powalił byle wietrzyk. Miał ogródek z truskawkami i jabłoniami, na których powiesił budki dla szpaków. W tym ogrodzie zbudował jeszcze jedną chatkę, na podwyższeniu, niemal na kurzych nogach. Nazywał ją pracowuchą albo samotniskiem. Siedział w niej, kiedy miał dość całego świata i mamy. Stamtąd wyrzucał nam, że w ogóle nie doceniamy tego, co dla nas zrobił.

Na szczęście kilkaset metrów od domku płynęła jego rzeka Berounka.

Z kolegą Waszkiem Hajkiem zbudował w ogródku kwadratowy betonowy basenik na ryby, a przede wszystkim, jak miałem się wkrótce przekonać, na węgorze. Myślałem, że cała ta sprawa skończyła się wraz z moim przesolonym fiaskiem, lecz ona miała swoją kontynuację i powróciła z dużo większą siłą.

W Radotinie, na skraju miasta, przy transformatorze, panował wówczas bardzo rybacki klimat. Na starym garnku siedział tam i łowił stary Braindl. Kawałek dalej wędkował Alojzy Purchart, który pomimo protestów tamtejszych kobiet nocami z lubością wyłapywał w kalesonach dżdżownice w ogrodach, bywał tam również rybacki mistrz Vodolán. Zaglądał tam też Ferdek, czyli jamnik Hajków, który podkradał i wyżerał wędkarzom najlepsze ciasto przeznaczone na haczyki. A przede wszystkim jeździł tam

mój tata mający hopla na punkcie węgorzy. Z tatą łowił czasem Waszek Hajek, który miał piękne ciało i umiał wybornie pływać, więc gdy komuś z wędkarzy ugrzązł na dnie haczyk, Waszek bezinteresownie do niego podpływał i go odczepiał. Kamieni było tam o wiele więcej niż ryb, a tata, który jeździł tam na ryby rowerem z przyczepką, wkrótce także zahaczył żyłką o dno i krzyczał w zbliżającą się noc:

– Co za rzeka!

– Co to jest za rzeka!

– Do cholery, co za przeklęta rzeka!

A potem stwierdził:

– Mam amerykańską żyłkę USA. Prędzej pęknie dno niż ona.

I przy dopingujących okrzykach pozostałych wędkarzy jął wyciągać z rzeki kamienie i piasek. Z domów wkrótce rozległo się wołanie, żeby ferajna już się uciszyła, bo lud pracujący nie może spać. Jeśli będzie tak co wieczór, pójdzie skarga na milicję lub do rady narodowej.

Dno nie pękło, więc tata zawołał:

– Waszku, nie mogę jej odczepić. Podpłyń no tam.

Waszek się rozebrał, zrobił krótką rozgrzewkę, natarł się wodą i wskoczył do niej. Szybko się okazało, że tata ma tak wytrzymałą żyłkę, że mógłby na niej ciągnąć nawet krowy wodne. I to dlatego nie mógł oderwać tej żyłki Made in USA.

Waszek zanurzył się jak wydra i wyciągnął haczyk spod kamienia. A ponieważ musiał w tej wodzie kawałek przepłynąć, przepłoszył na jakiś czas ryby, więc nie łowiono lub nie traktowano tego zbyt serio. Mężczyźni opowiadali sobie anegdoty i świetnie się przy tym bawili.

Ale zazwyczaj łowienie traktowano tu bardzo poważnie.

Tata wymyślił nową teorię. Nałapie setki, a może nawet tysiące dżdżownic. Drobno je dla tych węgorzy posieka, wrzuci do wody i będzie

w nich wędkować. I w ten sposób nałowi węgorzy. Ale najpierw musiał nałapać dżdżownic. Zgięci wpół, on i mama, chodzili w mokre noce po ogrodzie Nowaków, świecili sobie latarkami, łapali dżdżownice za główki i je wyciągali. Bolały ich potem oczy i krzyż. I chciało im się spać, bo robili to zawsze w porze, kiedy normalni ludzie śpią. W dodatku tata był po ciężkiej operacji, a z oczy płynął mu taki brud i łzy. Mama płakała, że już nie ma na to wszystko siły, i twierdziła, że tata powinien był pojąć za żonę zupełnie inną mamę. Tata ją przekonywał, że musi wytrzymać, i wygłaszał mowy propagandowe. Jednak mama po kilku dniach zgłosiła weto dla kolejnych wypraw i została w domu, a tata sam krążył po nocach z latarką jak Latający Holender.

Kiedy nałapał wystarczająco dużo dżdżownic, wyruszył rowerem nad rzekę. Nie wierzył już, że mu się poszczęści ze złotymi węgorzami, ale zaczął łowić węgorze samotniki.

Wkrótce dostałem od niego wiadomość, żebym przyjechał do Radotina. Otworzył mi ogolony i w świątecznym nastroju. Posadził mnie na przeszklonej werandzie, gdzie na stole ktoś rozłożył biały koronkowy obrus, widelec oraz nóż.

Tata przyniósł długi pergamin, opalony świeczką jak w barze nocnym. A na nim widniały wypisane czterdzieści dwa dania z węgorzy.

Oto one:

Pasztet angielski z węgorza
Ragoût z węgorza
Smażony węgorz wędzony
Węgorz Bonvalet
Węgorz Duranda
Węgorz fines herbes

Węgorz Helly

Węgorz na maśle

Węgorz na niebiesko

Węgorz na rożnie

Węgorz na śmietanie

Węgorz pieczony w popiele

Węgorz po angielsku

Węgorz po beaucairsku

Węgorz po benedyktyńsku

Węgorz po bordosku

Węgorz po burgundzku

Węgorz po flamandzku

Węgorz po francusku

Węgorz po hambursku

Węgorz po hiszpańsku

Węgorz po młynarsku

Węgorz po niemiecku

Węgorz po normandzku

Węgorz po parysku

Węgorz po prowansalsku

Węgorz po rosyjsku

Węgorz po rzymsku

Węgorz po tatarsku

Węgorz po wenecku

Węgorz Robert

Węgorz Rouen

Węgorz smakosza

Węgorz smażony

Węgorz St. Menehould

Węgorz Suffrena

Węgorz Villeroi

Węgorz w potrawce

Węgorz w sosie holenderskim

Węgorz w sosie z homara

Węgorz Wilhelma

Węgorz z ogonkami raka

Wreszcie pojąłem, dlaczego węgorze pływają w nocy, i to tuż przy dnie. Ostrzą sobie na nie zęby najlepsi kucharze i smakosze z całego świata. Czasem płaci się za nie nawet złotem.

Tata przyszedł w fartuchu, niosąc nagrzany talerz jak w wytwornej restauracji. Potem przyniósł na patelni poporcjowanego opieczonego węgorza ze złocistą skórką. Uśmiechnął się przepraszająco i powiedział cicho:

– Czterdzieści jeden dań z węgorza jest wyprzedane. Mamy tylko tego na maśle.

A ja odparłem:

– Tego lubię najbardziej, tato.

I zabrałem się do jedzenia.

Tata posypał rybę drobno posiekaną natką pietruszki z własnego ogródka, więc pachniała tym ogródkiem i kwiatami truskawek rosnących przy pietruszce. Siedział, patrzył na mnie i czekał, aż zjem. Spałaszowałem całego. Dawno nie jadłem tak wyśmienitego węgorza. Powiedziałem, że to poezja, a tata był szczęśliwy jak dziecko.

Później też łowił węgorze. Trzymał je dla mnie żywe w basenie, a ja nie rozumiałem, dlaczego nie zaprasza na nie nikogo innego, na przykład moich braci. Gdy złapał węgorza, zawsze dawał mi znać, żebym przyjechał. Jeździłem tam i tylko raz wziąłem ze sobą kolegę, który wpakował się wtedy w jakieś tarapaty, a ja chciałem go tym węgorzem pocieszyć. Rytuał zawsze wyglądał tak samo. Przepisane skądś menu na pergaminie. Węgorz na maśle. Cisza. Pochwały. Podziw. Papieros. Schłodzone białe wino. Potem zajadanie dojrzałych truskawek w ogrodzie i rozmowa.

Od wędkarzy z Radotina wiem, ile wieczorów tata spędził nad Berounką. Setki godzin w ciemności, z tym jego kiepskim wzrokiem, o takiej porze, gdy nawet bezpańskie psy spały już w swoich kryjówkach. Tkwił tam sam jak włóczęga i łowił włóczęgi, jednego po drugim. Złote węgorze nigdy do niego nie przypłynęły, nie miał tyle szczęścia. Może to było jak gra, a on miał szczęście w miłości. Na rybach nie sprzyjało mu ono prawie nigdy. Musiał te swoje ryby wyczekać, i to długo. W swoim kamieniu wysiedział wklęśnięcie niczym woda, która drąży skałę.

Znów przysłał mi pocztówkę, żebym przyjechał na kolację. Wszystko było jak zawsze. Choć niezupełnie wszystko. Miałem wrażenie, że tata zachowuje się jeszcze uroczyściej niż zazwyczaj. Kiedy zjadłem i uśmiechnąłem się do niego, nie dopuścił mnie do słowa, tylko powiedział:

– To był ten jedenasty, kolego.

A ja nagle wszystko pojąłem. Jak mogłem być tak głupi? Po prostu odpracował i spłacił mi te jedenaście węgorzy. Nie chciał pozostawiać po sobie żadnych długów przed odejściem na tamten świat.

Z Trzebotowa poinformowali nas telegramem, że nie żyje.

Dałem do zrozumienia mistrzowi ceremonii pogrzebowej, że jeśli to dla mnie zrobi, sowicie mu się odwdzięczę. Wiem, że jest to zabronione. Wcisnąłem mu do ręki mały porcelanowy pojemniczek z wieczkiem. Na

jego bieli widniała czerwona pnąca róża, drobna jak rajskie jabłuszko. Poprosiłem, żeby nasypał do pojemniczka kilka ziarenek popiołu.

Po ceremonii oddał mi ten pojemniczek, a ja poszedłem z nim nad najukochańszą rzekę taty Berounkę. Wiał lekki wietrzyk, a po szosie biegał jamnik Ferdek, machając uszami. Poza nim nie było tam nikogo. Kucnąłem przy toni, w której tata złowił najwięcej węgorzy. Wyjąłem pojemniczek z różą i wysypałem ten pył na granicy mielizny i nurtu. Niektóre ziarnka opadły na dno rzeki, inne płynęły na powierzchni. Pragnąłem, żeby rzeka zaniosła go do pięknych i ciepłych mórz, żeby nigdy nie było mu zimno, tak jak bywa czasem zimno ludziom na tej planecie kręcącej się w kółko jak kolorowa karuzela.

Podnoszę głowę i widzę kilka dużych ptaków, białych łabędzi. Machają skrzydłami i lecą w stronę zbrasławskiego zamku, w którym łzy, śmiech i ludzie zmienili się w rzeźby.

Epilog

Zwariowałem na olimpiadzie zimowej w Innsbrucku. Zaciemnił mi się mózg, tak jakby przyszła mgła z Alp. Spotkałem tam jakiegoś mężczyznę, a dla mnie był to diabeł, wypisz wymaluj, miał kopyta, sierść, rogi i stare, zniszczone zębiska. Poszedłem w góry nad Innsbruck, żeby podpalić oborę. Pragnąłem, by pojawiła się duża światłość i rozproszyła mgłę. Kiedy wyprowadzałem krowy i źrebaki, żeby nie spłonęły, przyjechała policja austriacka. Zakuli mnie w kajdanki i sprowadzali w dolinę. Wyklinałem na nich, zsunąłem sobie buty i szedłem po śniegu boso niczym Chrystus wiedziony na krzyż.

Posłali mnie przez Dworzyszcze do praskich lekarzy.

Ten pierwszy etap nie był straszny dla mnie, ale był straszny dla tych, którzy mnie widzieli i kochali. Ja tak właściwie czułem się błogo i robiłem wszystko z zapałem i przekonaniem. Bywało to wręcz przyjemne, cudownie jest być błogosławiącym Chrystusem.

Najgorsza jest chwila, gdy za pomocą leków doprowadza się takiego człowieka do stanu, w którym uświadamia on sobie, że jest wariatem. Oczy zaciągają się wtedy smutkiem, a on już wie, że nie jest Chrystusem, tylko biedakiem bez zdrowego mózgu, a przecież to zdrowy mózg sprawia, że człowiek jest człowiekiem. Takiego kogoś zamyka się za solidniejszymi kratami, choć nikogo nie zabił i nikogo nie skrzywdził. Nie został

osądzony, ale jest pozamiatane. Ludzie na zewnątrz żyją, a on zaczyna im zazdrościć.

W takiej sytuacji uratować może tylko cud. Czekałem na cud przez pięć lat. Siedziałem samotnie na krześle tygodniami, miesiącami, latami. Nie mogę powiedzieć, że cierpiałem jak zwierzę, bo żaden człowiek nie wie, jak cierpi zwierzę, choć w naszym języku często używa się tego porównania. Wiem tylko, że cierpiałem straszliwie, nie da się tego opisać. Zresztą i tak nikt by mi nie uwierzył, ludzie nie chcą słuchać o tej chorobie, bo bardzo się jej boją.

Kiedy czułem się lepiej, myślałem o tym, co było w życiu najpiękniejsze. Nie myślałem o miłości ani o swoich wędrówkach po świecie. Nie myślałem o nocnych lotach nad oceanem ani o tym, jak grałem w hokeja kanadyjskiego w praskiej Sparcie. Znów chadzałem nad potoki, rzeki, stawy i zapory. Uświadomiłem sobie, że to były najpiękniejsze chwile, jakie przeżyłem.

Dlaczego najpiękniejsze?

Nie potrafię dokładnie tego wyjaśnić, ale próbowałem opisać to w tej książce. Wiem, że nie zawsze pamiętałem, gdzie złowiłem daną rybę ani ile mierzyła od głowy do ogona, ale pamiętałem wszystko, co się z rybami łączyło. Przede wszystkim jak na nie szedłem lub jechałem. Nad Żeliwkę jeździłem na pstrągi rozklekotanym rowerem, kiedy wszyscy jeszcze spali. Wszystko odbywało się tam jak w olbrzymim teatrze. Trawa i pole lśniły rosą, ptaki śpiewały, a pod lasem pasły się sarny, które już mnie znały. Kiedy dojeżdżałem do tego pięknego potoku, zawsze byłem pełen pokory, nabierałem wody w dłonie i chciałem przeżegnać się w imię Boga, ale nigdy tego nie zrobiłem. Wspominałem tę zaporę na odludziu nad Janowem, gdzie łowiłem ze swoją mamą pstrągi olbrzymie jak karpie, a woda była zielona niczym trawa na niebiańskiej łące, o której śniłem.

Najczęściej myślałem o okolicach Krzywoklatu. O młynie w Nezabudicach i jego niegasnącym światełku, płonącym dla kłusowników i żandarmów. Rozmyślałem o tajemniczych węgorzach z małymi wężowymi oczkami, które ciągnęły tędy w opętaniu, pielgrzymując z mórz i oceanów. Ciekawe było to, że wiele rzeczy z mojego życia zniknęło, ale ryby w nim pozostały. Były powiązane z przyrodą, w której nie podskakiwał po ulicy śmiesznie podrygujący tramwaj cywilizacji. Dziś już wiem, że wielu osobom nie chodzi w łowieniu tylko o ryby. Chcą po prostu pobyć sami jak w dawnych czasach, chcą jeszcze usłyszeć nawoływania ptaków i zwierzyny, chcą usłyszeć spadające jesienne liście. Kiedy tak tam powoli umierałem, widziałem przede wszystkim rzekę, która znaczyła w moim życiu najwięcej i którą kochałem. Kochałem tak bardzo, że zanim zaczynałem łowić, nabierałem jej wody w muszlę dłoni i całowałem ją tak, jak całuje się kobietę. Potem resztką wody chlustałem sobie w twarz i rozkładałem wędkę. Przede mną płynęła rzeka. Niebo człowiek widzi, do lasu może zajrzeć, ale do porządnej rzeki nie zajrzy nigdy. Do porządnej rzeki można zajrzeć tylko wędką.

Kiedy czasem siedziałem przy zakratowanym oknie i we wspomnieniach łowiłem ryby, było to wręcz bolesne. Musiałem porzucać to piękno i myśleć o tym, że na świecie istnieją brud, ohydztwa i zmącone wody. To pomagało mi przestać marzyć o wolności.

I tak oto wreszcie dotarłem do tego najważniejszego słowa: wolność. Łowienie ryb to przede wszystkim wolność. Przemierzanie kilometrów w poszukiwaniu pstrągów, picie wody ze źródełek, bycie samotnym i wolnym choć przez godzinę, przez dzień, a nawet tygodnie i miesiące. Wolnym od telewizji, gazet, radia i cywilizacji.

Sto razy chciałem się zabić, kiedy nie mogłem już wytrzymać, ale nigdy tego nie zrobiłem. Chyba podświadomie pragnąłem jeszcze raz pocałować

usta rzeki i łowić srebrne ryby. To wędkarstwo nauczyło mnie cierpliwości, a wspomnienia pomagały mi żyć.

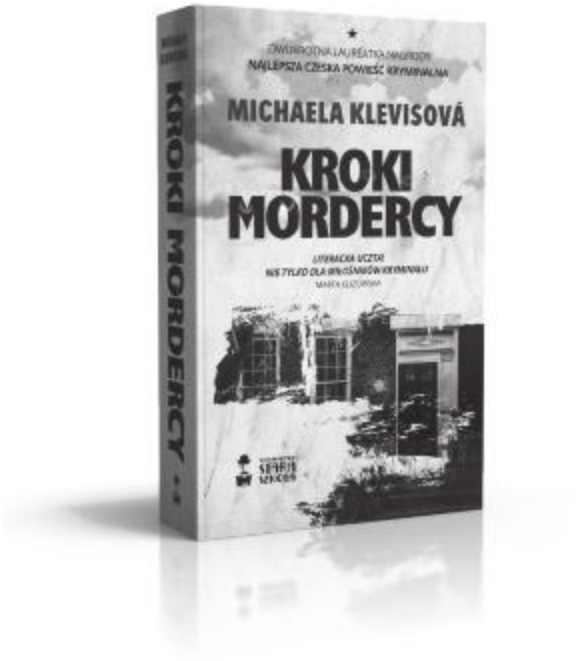

W lasku miejskim na peryferiach Pragi zostaje zamordowana młoda kobieta. Czy jej podobieństwo do córki mieszkającej w pobliżu dziennikarki jest przypadkowe? Śledztwo rozpoczyna inspektor Bergman.

Powieść Michaeli Klevisovej to doskonałe studium psychologiczne i obraz społeczeństwa, w którym pod powłoką pozornej normalności skrywają się tajemnice i pragnienia.

Inspektor Bergman – dwukrotnie rozwiedziony miłośnik kotów, wielbiący porządek i rzeczowość. Empatyczny, stanowczy i systematyczny. W pracy pomagają mu podwładni: Sylwia Rolnik i Adam Danesz.

Kroki mordercy to pierwsza część cyklu z inspektorem Bergmanem.

Trybecz, pasmo górskie na Słowacji. Od dziesięcioleci krążą o nim legendy z powodu tajemniczych zaginięć. Niektóre ofiary zostały znalezione martwe. Niektóre zniknęły bez śladu. A jeszcze inne powróciły – ranne i niezdolne do życia. Igor zdobył tytuł magistra. Po pięciu latach wreszcie może zacząć karierę jako… robotnik budowlany. Na swojej pierwszej budowie odkrywa tajemniczy sejf. Znajduje w nim płyty gramofonowe sprzed kilkudziesięciu lat. Słyszy na nich głos człowieka, który przez ponad trzy miesiące błąkał się w górach Trybecza.

Legenda, mistyfikacja czy przerażająca rzeczywistość? Świetna powieść najpopularniejszego słowackiego pisarza. Jozef Karika staje twarzą w twarz z legendą Trybecza.

***Szczelina* zdobyła najważniejszą słowacką nagrodę literacką ANASOFT LITERA w kategorii NAGRODA CZYTELNIKÓW!**

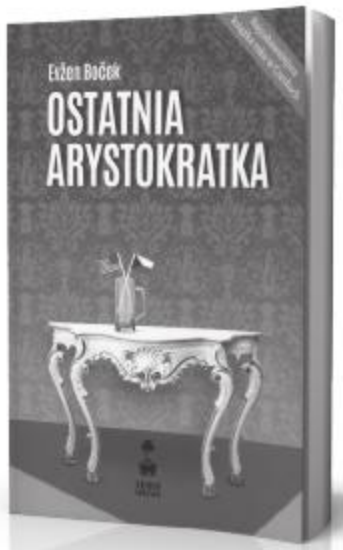

Osobliwy świat arystokracji, w którym bohaterowie są jak kukiełki zmagające się z rolami przypisanymi im przez złośliwą historię. Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Evžen Boček mistrzowsko bawi się konwencją, serwując gagi i humor sytuacyjny, za które pokochały go setki tysięcy czytelników!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?

Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

SPIS TREŚCI:

Okładka
Karta tytułowa
Śmierć pięknych saren
Najdroższa w Europie Środkowej
W służbie Szwecji
Śmierć pięknych saren
Karpie dla Wehrmachtu
Jak rywalizowaliśmy z Wilkami
Kwestia owadów rozwiązana
Prosiaka nie będzie
Króliki z mądrymi oczami
Moje spotkania z rybami
DZIECIŃSTWO
Koncert
Czarny szczupak
Moja pierwsza ryba
Pojedynek na szczupaki
Pod skałą Szymów
Jak z tatą uraczyliśmy węgorze
Prawdziwki
Mogą cię nawet zabić

Długa mila
ODWAŻNY MŁODY MĘŻCZYZNA
U Proszków po wojnie
Mały pstrąg
Długi Janek
Na ryby łodzią podwodną
Pelamidy
POWROTY
Pumperdentlich
Żelazko
Przyjeżdżaj, bo biorą jak głupie!
Złodziej wędek
Jak zginęliśmy na rybach
Jak nie zginęliśmy na rybach
Buty Made in Italy
Złote węgorze
Epilog
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Smrt krásných srnců, Jak jsem potkal ryby*

Copyright © Ota Pavel – heirs c/o DILIA, 1971, 1974
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2021
All rights reserved

Książka została wydana dzięki wsparciu finansowemu
Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski
Projekt okładki: Radosław Bączkowski, Quite Studio
Redakcja: Iwona Huchla
Korekta: Agnieszka Madyńska

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-61-2

Na zlecenie Woblink

woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek